

# Obcy 3

Alan Dean Foster

Książka III z Obcy



calibre 0.9.27

ALAN DEAN FOSTER

OBCY 3

Tłumaczył MICHAŁ JAKUSZEWSKI

Tytuł oryginału:

ALIEN3

Nowelizacja Alana Deana Fostera

Na podstawie scenariusza Davida Gilera & Waltera Hilla

Oraz Larry'ego Fergusona (wg pomysłu Vincenta Warda)

ROZDZIAŁ 1

Złe sny.

Śmieszna sprawa z tymi koszmarami. Są jak chroniczna, nawracająca choroba. Umysłowa malaria. Kiedy już myślisz, że się z nimi załatwiłeś, uderzają w ciebie znowu z całą mocą.

Atakują zniemacka w chwili, gdy jesteś na to nie przygotowany, całkowicie odprężony i najmniej się ich spodziewasz. Nie można też za cholerę nic na to poradzić. Za cholerę. Nie pomogą żadne tabletki czy medykamenty. Nie można też poprosić o zastrzyk o działaniu wstecznym. Jedyne lekarstwo stanowi zdrowy, mocny sen, a ten podsyca tylko infekcję.

Usiłujesz więc unikać snu. Jednakże w głębokim kosmosie nie masz wyboru. Jeśli nie udasz się do komory hibernacyjnej, nuda podróży przez pustkę zabije cię. Albo gorzej, przeżyjesz, otumaniony i mamroczący, poświęciwszy dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści lat przytomności na darmo. Życie zmarnowane na gapienie się w przyrządy pomiarowe i poszukiwanie oświecenia w ich niezmiennym blasku o ograniczonym zestawie kolorów.

Można czytać, oglądać vidy i ćwiczyć, a także myśleć o tym, co by się stało, gdybyś zdecydował się na zabicie nudy za pomocą snu hibernacyjnego. Nie ma wielu zawodów, w których spanie podczas pracy uważa się za pożądane. To całkiem niezła robota. Płacą dobrze i

masz przy tym szansę na obserwowanie postępu społecznego i technicznego z niepowtarzalnej perspektywy. Co prawda odroczenie śmierci nie jest równoznaczne z nieśmiertelnością, jednak jest przynajmniej jakąś jej namiastką.

Z wyjątkiem koszmarów. Bo te są nieuniknionym dodatkiem do służby na statku kosmicznym dalekiego zasięgu. Najlepszym na nie lekarstwem jest przebudzenie. Podczas snu hibernacyjnego jest to jednak niemożliwe. Maszyny na to nie pozwolą. Ich zadaniem jest trzymać cię w uśpieniu, spowolnić funkcje ciała, oddalić świadomość. Z tym, że inżynierowie nie wykombinowali jeszcze sposobu na eliminację koszmarów, bękarcich kuzynów snów. Razem więc z krążeniem i oddychaniem twoje podświadome rozmyślania ulegają rozwleczeniu, przedłużeniu, rozciągnięciu. Pojedynczy sen może trwać rok lub dwa. Koszmar także.

W pewnych sytuacjach zanudzenie się na śmierć może stanowić bardziej pociągającą alternatywę. W trakcie hibernacji nie ma się jednak wyboru. Zimno, regulowana atmosfera, igły, które kłują cię i sondują, zgodnie ze wstępnie ustalonymi programami medycznymi, władają twoim ciałem, jeśli nawet nie życiem. Gdy pogrążasz się we śnie hibernacyjnym, wyrzekasz się wolnej woli na rzecz maszyn, ufasz im i polegasz na nich. Dlaczegoż by nie? W ciągu dziesięcioleci dowiodły one, że są diabło bardziej godne zaufania niż ludzie, którzy je wynaleźli. Maszyn nie możesz urazić, maszyny nie odczuwają też wrogości. Ich sądy są oparte wyłącznie na obserwacji i analizie. Uczucia nie są czymś, co muszą uwzględniać w swoich rachunkach, a tym bardziej kierować się nimi w działaniu.

Maszyna, którą był Sulaco, wykonywała swe zadania. Czwooro śpiących na pokładzie śniło i wypoczywało na przemian. Gdy podążali swym z góry ustalonym kursem, chuchały i dmuchały na nich produkty najbardziej zaawansowanej techniki, jaką miała do zaoferowania cywilizacja. Utrzymywały ich przy życiu, kontrolowały działanie ich organów, zajmowały się

krótkotrwałymi zaburzeniami w organizmach Ripley, Hicksa, Newt, a nawet Bishopa, choć to, co pozostało z tego ostatniego, łatwo było utrzymać w dobrym stanie. Bishop przyzwyczał się do tego, że włączano go i wyłączano. Z całej czwórki on był jedynym, który nie śnił ani nie miał koszmarów. Było to coś, czego żałował. Sen bez snów wydawał się okropną stratą czasu. Niemniej konstruktorzy androidów z zaawansowanej serii, do której należał, zapewne uznali sny za kosztowny kaprys i nie starali się znaleźć rozwiązania tego problemu.

Nikt, rzecz jasna, nie pomyślał, by zapytać androidy, co na ten temat sądzą.

Po Bishopie, który formalnie stanowił część statku, a nie załogi, i w związku z tym się nie liczył, Hicks był najcięższym przypadkiem spośród śpiących. Nie dlatego, że jego koszmary były straszniejsze od snów jego towarzyszy, lecz ze względu na fakt, że rany, które niedawno odniósł, źle znosiły długotrwałe zaniechanie. Potrzebna mu była pomoc udzielana w nowoczesnym, w pełni wyposażonym ośrodku medycznym. Najbliższy podobny ośrodek znajdował się jednak niewyobrażalnie daleko stąd, w odległości dwóch lat podróży.

Ripley zrobiła dla niego, co mogła. Ostateczną diagnozę i wybór terapii pozostawiła niezawodnemu osądowi urzędów medycznych Sulaco. Ponieważ jednak nikt z personelu medycznego statku nie przeżył tragedii na Acheronie, terapia miała siłą rzeczy charakter minimalny. Dwa lata zamknięcia i snu hibernacyjnego nie sprzyjały szybkiemu zdrowieniu. Ripley nie mogła działać wiele, patrzyła tylko, jak Hicks pogrąża się w chroniącej go nieświadomości i miała nadzieję, że wydobrzeje.

Podczas gdy statek robił co w jego mocy, organizm mężczyzny przystąpił do naprawy uszkodzeń. Spowolnienie funkcji życiowych było pomocne, gdyż ograniczało rozszerzanie się potencjalnej infekcji, lecz w sprawie obrażeń wewnętrznych statek nie mógł uczynić nic.

Pacjent przeżył tak długo dzięki swej determinacji. Korzystał z rezerw. Teraz potrzebna mu była operacja.

Wewnątrz komory snu poruszyło się coś, co nie było częścią statku, choć ze względu na fakt, że kierował nim również wyłącznie program, nie różniło się aż tak bardzo od chłodnych, obojętnych korytarzy, które przemierzało. Jego nie ustającym poszukiwaniem, bezmyślnym pędem naprzód, rządził tylko jeden nakaz. Nie głód, gdyż nie było głodne i nie przyjmowało pożywienia. Nie seks, którego nie znało. Jego jedynym, wszechogarniającym motywem było pragnienie rozmnażania. Mimo organicznego charakteru było ono maszyną w równym stopniu jak komputery kierujące statkiem, choć cechowała je determinacja, która była im całkowicie nie znana.

Ze wszystkich ziemskich stworzeń najbardziej przypominało skrzyplocza wyposażonego w giętki ogon. Posuwało się po gładkiej podłodze komory snu na zbudowanych z niezwykle bogatej w węgiel chityny nogach o wielu stawach. Jego fizjologia była nieskomplikowana, jednokierunkowa. Miało za zadanie spełniać tylko jedną funkcję biologiczną i robić to skuteczniej niż jakakolwiek znana, porównywalna konstrukcja. Żadna maszyna nie mogłaby sprawić się lepiej.

Kierowane przez zmysły będące niepowtarzalną kombinacją prymitywu i zaawansowania, gnane przez głęboko osadzony imperatyw, nie mający sobie równych w żadnym z żywych stworzeń, przemykało z determinacją przez komorę.

Wdrapanie się po gładkiej ścianie cylindra hibernacyjnego było łatwym zadaniem dla czegoś skonstruowanego w tak znakomity sposób. Górna część komory została wykonana z przezroczystego szkła metalicznego. W środku spał mały organiczny kształt. Nie w pełni uformowana, jasnowłosa, niewinna - nie licząc prześladujących ją koszmarów, które były równie wyrafinowane, a często miały jeszcze szerszy zasięg niż u dorosłych śpiących tuż obok. Dziewczynka spała z zamkniętymi oczyma, nieświadoma okropieństwa, które badało otaczającą ją cienką kopułę.

Nie śniła. W tej chwili koszmar miał charakter materialny i bardzo rzeczywisty. Całe szczęście, że nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia.

Stworzenie badało niecierpliwie cylinder hibernacyjny. Zaczęło od jednego końca i posuwało się metodycznie ku drugiemu. Cylinder był szczelny, zamknięty trzema pieczęciami. Pod wieloma względami stanowił lepszą barierę niż kadłub samego Sulaco. Choć stworzenie gnał niepokój, uczucie frustracji było mu obce. Perspektywa rychłego spełnienia biologicznego imperatywu podniecała je tylko i skłaniała do większego wysiłku. Rozciągliwy przewód sterczący z jego brzusznej strony badał nieustępliwą przezroczystą ścianę, która chroniła bezsilne ciało leżące na nieosiągalnych poduszkach. Bliskość ofiary wprawiała stworzenie w szal aktywności.

Ześliznąwszy się na jedną stronę, odkryło wreszcie niemal niezauważalną linię oddzielającą przezroczystą pokrywę cylindra od jego metalowej podstawy. Maleńkie pazury wbiły się w wąziutką szczelinę, a niewiarygodnie silny ogon znalazł punkt zaczepienia na instrumentach znajdujących się z przodu cylindra. Stworzenie z ogromną siłą zadziało jak dźwignia. Jego małe ciało drżało z wysiłku. Pieczęcie zostały poddane działaniu silnych naprężeń. Istota nie ustawała w wysiłkach. Rezerwy jej sił były niewyobrażalne.

Dolna krawędź przezroczystej kopuły pękła. W metalicznym szkłe pojawiła się równoległa do podłogi szczelina. Odprysk przezroczystego materiału, ostry jak instrument chirurgiczny, przebił na wylot ciało stworzenia. Z cylindra buchnęło lodowate powietrze. Ale po chwili zadziało uszczelnienie awaryjne, przywracając wnętrzu hermetyczność.

Leżąca twarzą w dół na swym łożu niespokojnych snów Newt jęknęła cicho. Zwróciła głowę w bok. Jej oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami, nie obudziła się jednak. Szczelność cylindra została przywrócona akurat na czas, by ocalić jej życie.

Wydając z siebie co chwila nieziemski skrzek, śmiertelnie ranny pełzacz rzucił się w

drugą stronę pomieszczenia. Nogi i ogon tłuły spazmatycznie w przezroczysty odprysk, który przeszył mu ciało. Wylądował na szczycie cylindra, w którym spoczywał nieruchomy Hicks. Nogi pęłacza objęły konwulsyjnym ruchem szczyt kopuły. Drżał i dygotał, usiłując wbić pazury w metaliczne szkło, podczas gdy z rany wypływały kwasowe płyny ustrojowe. Przeżarły one szkło, przedostały się przez metalową podstawę cylindra i przenikały dalej, przez podłogę. Skądś spod pokładu zaczął się wydobywać dym, który wypełnił komorę. Wokół pomieszczenia i na całym statku przebudziły się urządzenia alarmowe. Zaśniły ostrzegawcze światła i zawyły syreny. Żaden człowiek ich nie słyszał, nie wpłynęło to jednak na reakcję Sulaco, który wykonywał swe zadania zgodnie z programem. Tymczasem dym nie przestawał buchać z otworu o nierównych brzegach wyżartego w pokładzie. Z pęłacza, w obrzydliwy sposób przygarbionego na szczycie cylindra Hicksa, nadal wypływał siejący zniszczenie kwas.

Kobięcy głos, spokojny i przepojony sztuczną pogodą, rozległ się, nie słyszany, wewnątrz komory.

- Uwaga. Wewnątrz pomieszczenia kriogenicznego gromadzą się wybuchowe gazy.

Wewnątrz pomieszczenia kriogenicznego gromadzą się wybuchowe gazy.

Sufitowe wentylatory zaszumiały, wchłaniając w siebie wirujący, coraz bardziej gęstniejący gaz. Kwas wciąż sączył się z nieruchomego, martwego już pęłacza.

Pod podłogą coś eksplodowało. Rozbłysło jasne, aktyczne światło, po czym pojawiły się ostre, żółte płomienie. Ciemny dym zaczął się mieszać z rzadszymi gazami, które wypełniały teraz komorę. Światła na suficie zamrugały niepewnie.

Wentylatory wysysające dym zatrzymały się.

- Ogień w pomieszczeniu kriogenicznym - oznajmił nieporuszony kobięcy głos tonem kogoś, kto nie ma nic do stracenia. - Ogień w pomieszczeniu kriogenicznym.

Z sufitu wyłonił się pysk gaśnicy wirujący jak miniaturowe działko. Wycelował w płomień i gaz wydostający się z otworu w pokładzie. Na końcu pojawiły się bąbelki płynu, który trysnął w kierunku płomieni. Chwilowo ich postęp został opanowany. Podstawa gaśnicy zaiskrzyła. Strumień przestał bić. Z wylotu urządzenia sączyły się tylko nie przynoszące żadnego pożytku krople.

- System przeciwpożarowy nieczynny. System przeciwpożarowy nieczynny. System wentylacji nieczynny. System wentylacji nieczynny. Ogień i gazy wybuchowe w komorze kriogenicznej.

Silniki przebudziły się z pomrukiem. Cztery czynne cylindry hibernacyjne dźwignęły się na hydraulicznych podnośnikach ze swych leży. Ich światła alarmowe mrugały. Cylindry zaczęły się przesuwac na drugą stronę pomieszczenia. Coraz intensywniejsze płomień przesłaniały widok, lecz nie spowalniały ich ruchu. Martwy pełzacz, nadal przebity odpryskiem metalicznego szkła, ześliznął się z poruszającej się trumny i upadł na podłogę.

- Cały personel zgłosił się do promów ratunkowych nalegał głosem niezmiennym tonem. - Za minutę nastąpi zapobiegawcza ewakuacja:

Jeden za drugim cylindry hibernacyjne wsunęły się do przewodu transportowego, przemknęły z wielką prędkością przez wnętrza statku, aż wreszcie wynurzyły się w śluzie na prawej burcie, gdzie automatyczne ładowarki umieściły je w oczekującym promie ratunkowym. Były jego jedynym ładunkiem. Pod przezroczystą płytą Newt szarpnęła się przez sen.

Światła błyskały, silniki buczały. Głos przemawiał, mimo że nie było nikogo, kto by go słuchał:

- Wszystkie promy ratunkowe zostaną wystrzelone za dziesięć sekund. Dziewięć...

Wewnętrzne śluzy zamknęły się szczelnie, zewnętrzne otworzyły na oścież. Głos



kontynuował odliczanie.

Gdy padło "zero", jednocześnie wydarzyły się dwie różne rzeczy: dziesięć promów, w tym dziewięć pustych, zostało wyrzuconych ze statku, zaś mieszanina wydostających się w uszkodzonej komorze hibernacyjnej gazów weszła w krytyczną reakcję z płomieniami buchającymi z wyżartej przez kwas dziury w podłodze. Przez krótką chwilę wybuchu cała przednia lewa burta Sulaco rozbłysła w gorejącej imitacji ognia odległych gwiazd.

Połowa oddalających się promów uległa na skutek eksplozji poważnym wstrząsom. Dwa zaczęły koziołkować, tracąc sterowność. Jeden odbył krótką podróż po krzywej, która, gdy zakreślił szeroki łuk, zaprowadziła go z powrotem do statku, z którego został wyrzucony. Nie zwolnił nawet, gdy zbliżył się do swej gondoli, lecz uderzył z pełnym przyspieszeniem w bok statku, którym wstrząsnęła druga, większa eksplozja. Włókł się ranny przez pustkę, od czasu do czasu emitując nieregularne salwy światła i ciepła oraz zaśmiecając nieskazitelnie czystą przestrzeń stopionymi, poszarpanymi na strzępy fragmentami swej nieodwracalnie uszkodzonej istoty.

Na pokładzie statku ratunkowego, w którym znajdowały się cztery cylindry hibernacyjne, błyskały światła alarmowe, migotały i iskrzyły obwody. Mniejsze i mniej zmyślne komputery promu ratunkowego usiłowały wyizolować, zminimalizować i powstrzymać skutki uszkodzeń spowodowanych przez zaszłą w ostatniej sekundzie eksplozję. Kadłub promu nie został naruszony, jednakże wstrząs uszkodził delikatne instrumenty.

Prom zwrócił się do statku macierzystego o informację na temat stanu i, gdy ta nie nadeszła, rozpoczął przegląd bezpośredniego otoczenia. W połowie pośpiesznie wykonywanych czynności niezbędne instrumenty zawiodły, szybko jednak zastąpił je system rezerwowy. Trasa Sulaco daleko odbiegła od uczęszczanych fotonowych szlaków. Misja zawiodła go aż na kresy znanej człowiekowi przestrzeni. Do chwili, gdy nastąpiła katastrofa,

nie pokonał dużego odcinka drogi wiodącej do domu. Obecność człowieka w tym sektorze przestrzeni dawała się zauważyć, nie miała jednak charakteru ciągłego. Jego instalacje były nieliczne i rozsiane w dużych odległościach od siebie.

Komputer kierujący promem odnalazł coś. Nie to, co chciałby znaleźć, najbardziej pożądanym celem. W obecnej sytuacji jednak nie miał wyboru. Statek nie potrafił ocenić, jak długo jeszcze będzie funkcjonował, biorąc pod uwagę poważny charakter uszkodzeń. Jego najważniejszym zadaniem była ochrona życia znajdujących się na pokładzie ludzi. Dokonał wyboru kursu. Napęd niewielkiego, wciąż rozstrojonego i usiłującego ze wszystkich sił naprawić się promu przebudził się, pulsując, do życia.

Fiorina nie była zachwycającym światem. Jej wygląd okazywał się jeszcze mniej zachęcający, była to jednak jedyna planeta w całym sektorze Neroid, która posiadała czynną latarnię kierunkową. Banki danych promu ratunkowego zsynchronizowały się ze stałym sygnałem. Uszkodzony system nawigacyjny dwukrotnie gubił wiązkę naprowadzającą, lecz statek nie zbaczał z wyznaczonego kursu. W obu wypadkach odnalazł sygnał na nowo.

Informacji na temat Fioriny była niewiele, i do tego przestarzałych, ze względu na jej izolację i specyficzny status.

"Fiorina »Fury« 361," głosił odczyt, "Rafineria Rud Mineralnych. Welon zewnętrzny. Ośrodek pracy poprawczej o najwyższym stopniu zabezpieczenia."

Te słowa nie oznaczały nic dla komputera. Dla pasażerów statku znaczyłyby wiele, lecz nie byli oni w stanie czegokolwiek przeczytać.

"Czy potrzebne są dodatkowe informacje?" żałośnie rozbłysnął komputer. Gdy nikt nie nacisnął odpowiedniego guzika, ekran posłusznie zgasł.

W kilka dni później prom ratunkowy pogrążył się w szarej, mętnej atmosferze celu podróży. W ciemnych chmurach przesłaniających powierzchnię planety nie było nic

pociągającego. Nie prześwitywał przez nie ani skrawek błękitu czy zieleni. Nie było żadnych oznak życia. Katalog wykazywał jednak, że znajduje się tam ziemski przyczółek, latarnia kierunkowa zaś wysyłała w pustkę swój niezmienny sygnał z precyzją automatu.

Systemy pokładowe nadal odmawiały posłuszeństwa ze zniechęcającą regularnością.

Komputer promu usiłował zachować panowanie nad statkiem, podczas gdy systemy rezerwowe zdychały jeden po drugim. Chmury koloru pyłu węglowego gnały na zewnątrz luków, przy których nikt nie siedział, podczas gdy atmosferyczne błyskawice odbijały się groźnym blaskiem w mroźnych, opieczętowanych trumnach znajdujących się wewnątrz.

Komputer nie odczuwał żadnego napięcia próbując sprowadzić prom bezpiecznie na powierzchnię planety. W jego czynnościach nie było szczególnego pośpiechu. Działałby w sposób identyczny, gdyby niebo było czyste, wiatr łagodny, a jego własne systemy funkcjonowały w sposób optymalny zamiast psuć się - w rosnącym tempie.

Podwozie promu nie zareagowało na sygnał wysunięcia. Nie było już czasu ani wystarczającej mocy, by próbować drugiego podejścia. Biorąc pod uwagę nierówną, poszarpaną przepaściami powierzchnię wokół latarni i tego, co uchodziło za teren lądowiska, komputer zdecydował, że spróbuje posadzić statek na stosunkowo gładkiej, piaszczystej plaży.

Gdy jednak zażądał zwiększenia mocy, okazało się, że nie jest to możliwe. Komputer próbował. To było jego zadanie. Jednakże prom nie zdołał dotrzeć do plaży, lecz uderzył w powierzchnię morza pod zbyt ostrym kątem.

Wewnątrz grodzie i tężniki usiłowały zamortyzować wstrząs. Metalowo-węglowe kompozyty zajęczały, gdy zatrzęsły nimi siły, do znoszenia których nie były przystosowane.

Podtrzymujące rozpory pękły lub powyginały się. Ściany także uległy deformacji. Komputer skupił wszystkie wysiłki na próbach sprawienia, by cztery cylindry znajdujące się pod jego

opieką pozostały nienaruszone. Kryzysowa sytuacja nie pozostawiła mu wiele czasu na cokolwiek innego. O siebie komputer nie dbał. Nie była to funkcja, w którą go wyposażono. Powierzchnia Fioriny była równie pusta, jak jej niebo skłębione masy szaro-czarnego kamienia, chłostane przez wyjący wicher. Nieliczne powykręcane, pokrzywione rośliny rosły jedynie w osłoniętych zagłębieniach skał. Nieustanny deszcz mącił powierzchnię wilgotnych, zimnych bajor.

Po całej tej ponurej okolicy poniewierały się martwe kształty ciężkiej maszyneryi. Ładowarki, transportery, ogromne koparki oraz dźwigi spoczywały tam, gdzie je porzucono, zbyt masywne i drogie, by zabrać je z terenu niewiarygodnie bogatego złoża, które niegdyś wymagało ich użycia. Trzy olbrzymie zwałowarki opierały się wichrowi niczym trio gigantycznych drapieżnych robaków. Ich wyloty były uśpione, pomieszczenia operatorów ciemne i porzucone. Mniejsze maszyny i pojazdy zbiły się w stada, jak tłum zagłodzonych pasożytów. Sprawiały wrażenie, iż czekają, aż jedna z większych maszyn przebudzi się z chrzęstem do życia, by mogły pracowicie zbierać okruszyny z jej boków.

Poniżej kopalni ciemne bałwany uderzały systematycznie w plażę pokrytą błyszczącym czarnym piaskiem, wytracając energię na pozbawionym życia brzegu. Żadne eleganckie stawonogi nie przemykały po powierzchni tej cienistej zatoki, żadne ptaki nie spadały w dół na sprawnych, przywykłych do polowań skrzydłach, by znaleźć w spienionych bałwanach małe jadalne stworzonka.

A jednak w wodzie żyły jakieś ryby. Niezwykle podłużne stworzenia z wyłupiastymi oczyma i małymi ostrymi zębami. Ludzie, którzy czasowo mieszkali na Fiorinie i którzy nazywali ją swoim domem, spierali się niekiedy o ich prawdziwą naturę, ale ponieważ nie należeli do osób, dla których długie dyskusje na temat równoległej ewolucji stanowiłyby ulubioną formę rozrywki, z reguły przyjmowali do wiadomości fakt, że żyjące w oceanie stworzenia,

bez względu na ich przynależność systematyczną, są jadalne, i to im wystarczało. Świeże wiktuały stanowiły tu rzadkość. Lepiej, być może, nie wnikać zbyt głęboko w pochodzenie tego, co lądowało w garnku, dopóki dawało się przełknąć.

Człowiek idący plażą pogrążony był w myślach. Nie śpieszyło mu się szczególnie. Jego inteligentna twarz wyrażała zaabsorbowanie połączone z rezerwą. Lekkie, plastikowe nakrycie chroniło jego całkowicie łysą głowę przed wiatrem i deszczem. Od czasu do czasu kopał ze złością miejscowe owady, które gromadziły się wokół jego stóp, próbując się przedostać przez gładki, impregnowany plastik. Podczas gdy goście Fioriny od czasu do czasu zbierali wątpliwej jakości owoce jej burzliwych wód, bardziej prymitywne miejscowe formy życia próbowały zająć się gośćmi.

Mężczyzna spacerował w milczeniu obok porzuconych żurawi i skamieniałych dźwigów, całkowicie zatopiony w myślach. Nie uśmiechał się. W jego postawie dominowała spokojna rezygnacja wywodząca się nie z determinacji, lecz obojętności, jak gdyby mało go obchodziło, co zdarzyło się dzisiaj i czy jutro nadejdzie. W każdym razie znacznie większą przyjemność dawało mu spoglądanie w głąb siebie. Aż nazbyt znajome otoczenie dawało mu niewiele radości.

Naraz usłyszał jakiś dźwięk. Spojrzał ku górze. Zmrużył oczy ocierając zimną mżawkę z maski zasłaniającej twarz. Odległy ryk przyciągnął jego wzrok ku określonemu punktowi na niebie. Bez ostrzeżenia z groźnie wyglądającej chmury wyrwała się i runęła w dół metalowa drzazga. Lśniła lekko. Powietrze rozstępowało się przed nią z gwizdem.

Mężczyzna zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć w miejsce, gdzie uderzyła w ocean, po czym wznowił wędrówkę. W połowie drogi poprzez plażę spojrzął na swój chronometr, po czym odwrócił się i zaczął wracać tą samą drogą, którą przyszedł. Od czasu do czasu spoglądał na morze. Nie zobaczył nic, nie spodziewał się więc, że cokolwiek znajdzie.

Dlatego, ujrawszy przed sobą na piasku bezwładną postać, poczuł zaskoczenie. Przyspieszył kroku i nachylił się nad ciałem, którego stopy omywały drobne fale. Po raz pierwszy krew zaczęła mu krążyć nieco szybciej. To była kobieta. Żyła jeszcze. Przewrócił ją na plecy. Spojrzał w dół, w nieprzytomną, pokrytą śladami soli twarz Ripley.

Podniósł wzrok, lecz plaża nadal należała wyłącznie do niego. Do niego oraz do tego absolutnie nieoczekiwanego przybysza. Gdyby ją zostawił, by sprowadzić innych, pomoc mogłaby przyjść za późno, nie wspominając już o tym, że wydałby ją na pastwę małych, lecz pełnych entuzjazmu drapieźników fiorińskich.

Ujął ją pod pachy i pociągnął mocno, obejmując jej tułów ramionami. Obrócił się do niej tyłem i napinając mięśnie nóg podniósł z wysiłkiem. Z kobietą na plecach ruszył powoli z powrotem w kierunku śluzy.

W środku zatrzymał się, by zaczerpnąć oddechu, po czym podjął marsz w kierunku odwszalni. Trójka więźniów, którzy pracowali na zewnątrz, zajęta była odwszaniem. Stali nago pod prysznicem, w gorących silnych strumieniach wody zmieszanej ze środkiem dezynfekcyjnym. Jako oficer medyczny Clemens posiadał pewien autorytet. Teraz nie omieszkał z niego skorzystać.

- Słuchajcie - Mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na niego z ciekawością.

Clemens rzadko wchodził w kontakt z więźniami, nie licząc tych, którzy zgłaszali się na apel dla chorych. Ich początkowa obojętność zniknęła, gdy tylko dostrzegli ciało zwisające mu z pleców.

- Wylądował prom ratunkowy. - Wymienili spojrzenia. - Nie stójcie tak tutaj - warknął, starając się odwrócić ich uwagę od ładunku na plecach. - Jazda na plażę. Mogą tam być inni. I zawiadomcie Andrews.

Zawahali się na chwilę, by zaraz się ożywić. Gdy wychodzili z odwszalni i łapali za

ubrania, nie spuszczała wzroku z kobiety, który dźwigał Clemens. Nie odważył się złożyć jej na ziemi.

2.

Andrews nie lubił pracy przy komunikatorze. Każdorazowo użycie maszyny zapisywano w jego aktach. Łączność dalekiego zasięgu była kosztowna i oczekiwano od niego, że będzie korzystał z urządzenia jedynie wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne i nieuniknione. Mogło się okazać, że jego ocena sytuacji będzie się kłócić z poglądem jakiegoś tępogłowego dupka z centrali. W takim wypadku groziło mu potrącenie kosztów z pensji lub odmowa awansu. Nie będzie miał też żadnej szansy, by się bronić, ponieważ - gdy wróci do domu z piekła Fioriny - kretyn, który go załatwił, zapewne dawno już umrze lub pójdzie na emeryturę. Niech to diabli, czym się tu przejmować? Wszyscy, których znał, umrą na długo przed jego powrotem do domu. Mimo to niezmiennie pragnął tej jakże oczekiwanej podróży. Wykonywał więc tę parszywą robotę jak najlepiej w nadziei, że jego parszywi pracodawcy zauważą wreszcie jego zdolności i profesjonalizm i zaproponują mu wcześniejszą emeryturę. Teraz jednak pojawiła się nieprzewidziana, parszywa komplikacja, której jedynym celem było utrudnienie mu życia. Andrews odczuwał głęboką niechęć do rzeczy nieprzewidywanych. Jedną z nielicznych zalet jego pracy była jej niezmienna przewidywalność. Aż do tej chwili, kiedy musiał skorzystać z komunikatora. Walił gniewnie w klawisze.

FURY 361-ZESPÓŁ WIĘZIENNY KLASY C-IRIS 12037154.

ZGŁASZAM ROZBICIE PROMU RATUNKOWEGO 2650.

ZAŁOGA: ANDROID TYPU BISHOP-NIEAKTYWNY,

KAPRAL HICKS-EKSTRASOLARNA PIECHOTA MORSKA-L55321-NIE ŻYJE.

PORUCZNIK RIPLEY-INSPEKTOR TOWARZYSTWA-B515617-OCALONA.

NIE ZIDENTYFIKOWANA MŁODA OSOBA PŁCI ŻEŃSKIEJ-NIE ŻYJE.

PROSZĘ O JAK NAJSZYBSZĄ EWAKUACJĘ-CZEKAM NA ODPOWIEDŹ-

NACZELNIK ANDREWS M51021.



[Transmis. z opóźnieniem 1844-Fiorina]

Clemens wyciągnął kobietę z wody i jak najszybciej sprowadził do zespołu. Tak szybko, że to jej stan zdominował ich myśli, a nie płeć. Czas na refleksję przyjdzie później, a wraz z nim kłopoty, które przewidywał Andrews.

Co do samego promu, wyciągnięto go na brzeg używając wołów-mutantów. Każdy wehikuł kopalniany dokonałby tego szybciej i z większą łatwością, ale te, które porzucono na zewnątrz, dawno już utraciły nawet resztki swej aktywności, a te, które znajdowały się wewnątrz kompleksu, uznane zostały za zbyt cenne, by narażać je na działanie środowiska zewnętrznego, o ile zresztą ludzie zdołaliby bezpiecznie wyholować na powierzchnię odpowiedni pojazd. Zdecydowali, że łatwiej użyć wołów, choć nie były przyzwyczajone do podobnych zadań. Dały sobie jednak radę, poza jednym, który zaraz potem padł martwy, bez wątplenia dlatego, że został narażony na nie znany mu dotąd wysiłek prawdziwej pracy.

Gdy tylko prom znalazł się w zasięgu jedyne go znajdującego się w posiadaniu kopalni, nadal czynnego zewnętrznego dźwigu, można było stosunkowo łatwo unieść ciężko uszkodzony wehikuł i opuścić go pod ziemię. Andrews był na miejscu, gdy ludzie weszli do środka. Po chwili wynurzyli się oznajmiając, że kobieta nie była sama. Przybyli z nią inni. Naczelnik nie był zadowolony. Dodatkowe komplikacje, dodatkowe wyrwy w codziennej, spokojnej rutynie jego pracy. Dodatkowe decyzje do podjęcia. Nie lubił tego. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że któraś z decyzji okaże się błędna.

Kapral piechoty morskiej był martwy, podobnie jak nieszczęsne dziecko. Android się nie liczył. Andrews poczuł lekką ulgę. Miał więc na głowie tylko tę kobietę. Całe szczęście. Sama wywołała wystarczająco wiele komplikacji.

Jeden z mężczyzn poinformował go, że komunikator zatrzymał dla niego wiadomość.

Pozostawiwszy prom i jego zawartość pod opieką innych, naczelnik wrócił do gabinetu.

Andrews był potężnym mężczyzną zbliżającym się do pięćdziesiątki, muskularnym, silnym i zdecydowanym. Musiał posiadać wszystkie te cechy, a również więcej. W przeciwnym razie nigdy nie skierowano by go na Fiorinę.

Odpowiedź była równie zwięzła jak jego wiadomość.

DO: FURY 361-ZESPÓŁ WIĘZIENNY 12037154 KLASY C

OD: CENTRALA SIECI 01500-WEYLAND-YUTANI

WIADOMOŚĆ ODEBRANO.

No tak, to było ekstra. Andrews gapił się na ekran monitora, nic więcej się tam jednak nie pojawiło. Żadnych sugestii czy prośby o dodatkowe informacje ani eleganckich urzędowych wyjaśnień. Żadnej krytyki czy pochwał. Z jakiegoś powodu spodziewał się więcej.

Mógł wysłać następną wiadomość z prośbą o dodatkowe dane, z tym, że ci na górze z pewnością uznaliby ją za zbyt dużą i potrącili jej koszt z jego pensji. Przecież mu odpowiedzieli, prawda? Nawet jeśli właściwie nie była to odpowiedź. Nie mógł nic na to poradzić, jedynie uporać się z sytuacją tak, jak uważał za stosowne... i czekać.

Kolejny sen. W snach nie ma poczucia czasu, rozpiętości czasu. Ludzie widują w snach najróżniejsze rzeczy - zarówno intensywnie realistyczne, jak i całkowicie urojone. Rzadko widują zegary.

Dźwigając w rękach ciężki miotacz ognia o dwóch lufach zbliżała się ostrożnie do cylindrów hibernacyjnych. Szybki rzut oka ujawnił, że wszyscy trzej lokatorzy są nietknięci. Spokojny Bishop, rozbity na części. Eteryzna Newt ze swą doskonałą dziecięcą urodą, tak nie pasująca do miejsca i czasu, w którym się, wbrew swej woli, znalazła. Spokojny Hicks, wolny od blizn. Zbliżając się poczuła niepewność, lecz jego kopała była nadal zamknięta, podobnie jak oczy.

Jakiś dźwięk. Odwróciła się nagle, szarpiąc przełącznik na ożebrowaniu broni, podczas

gdy jej palec nacisnął konwulsyjnie spust. Rozległ się trzask pękającego plastiku. To wszystko. Rozpaczliwie spróbowała po raz drugi. Krótkotrwały, niechętny płomień wytrysnął na odległość kilku cali od wylotu lufy i zgasł.

W panice obejrzała broń. Sprawdziła poziom paliwa, spust, i te przewody, które były widoczne. Wszystko wydawało się w porządku. Broń powinna działać, musiała działać...

Coś było blisko, tuż obok. Śniło się jej, że się wycofuje ostrożnie krok za krokiem w poszukiwaniu osłony litej ściany, szarpiąc się z miotaczem ognia. Był blisko. Znała go zbyt dobrze, by sądzić, że jest inaczej. Jej palce walczyły z opornym urządzeniem. Znalazła przyczynę trudności. Była tego pewna. Potrzebowała jeszcze tylko minuty. Doładować, przestawić i przygotować się do strzału. Pół minuty. Przypadkowo spojrziała w dół.

Ogon obcego spoczywał pomiędzy jej nogami.

Odwróciła się z krzykiem, prosto w czekające na nią ramiona. Usiłowała uruchomić miotacz ognia. Dłoń zacisnęła się. Przerażliwie eleganckie, niewiarygodnie potężne palce zmiażdżyły broń w połowie jej długości. Obie lufy zapadły się pod ich uściskiem. Drugie ramię zamknęło ją jak w pułapce. Walila pięściami w lśniącą, połyskującą klatkę piersiową - gest bezużyteczny, jak już wszystko w tej chwili.

Odwrócił ją i popchnął do najbliższej kapsuły hibernacyjnej. Popchnął ją ponownie. Jej twarz była mocno przyciśnięta do chłodnego nieorganicznego szkła. Pod nią Hicks otworzył oczy i uśmiechnął się raz jeszcze. I raz jeszcze.

Krzyknęła.

Ambulatorium było ciasne i niemal puste. Przylegało do znacznie większej instytucji medycznej, obliczonej na załatwianie tuzinów pacjentów dziennie. Górnicy, którzy mieli być tymi pacjentami, dawno już opuścili Fiorinę. Wypełnili przed laty swoje zadanie - wydobyli spod ziemi cenną rudę i udali się w ślad za nią do domu. Zostali jedynie więźniowie, a im tak

obszerny przybytek nie był potrzebny.

Opróżniono więc szpital ze wszystkiego, co dało się zabrać, a mniejszą salę operacyjną przekazano więzieniu. Tak było taniej. Mniej przestrzeni do ogrzewania, mniejsze zużycie energii, oszczędność pieniędzy. Gdy w grę wchodził więźniowie, zawsze była to podstawowa kwestia.

Nie zostawiono ich jednak z niczym. Zapasów i ekwipunku było więcej, niż potrzebował ten przyczółek. Towarzystwo mogło sobie pozwolić na hojność. Poza tym przewóz na inną planetę, nawet cennych materiałów, był bardzo drogi. Lepiej zostawić ich część - niższej jakości - i zdobyć uznanie za okazanie miłosierdzia. Dobra opinia była więcej warta niż utracony sprzęt.

Oprócz szpitalika był jeszcze Clemens. Podobnie jak część zapasów był on zbyt dobry jak na Fiorinę, choć trudno byłoby przekonać kogoś, kto znał jego sprawę, że tak jest. On sam zaś raczej się nie skarżył. Więźniowie mieli po prostu szczęście, że go dostali i wiedzieli o tym. Z reguły nie byli głupi. Najwyżej niesympatyczni. Było to połączenie, dzięki któremu niektórzy ludzie stawali się magnatami przemysłowymi i filarami rządu. U innych prowadziło ono jedynie do klęski i degradacji. Gdy skutki tej sytuacji były skierowane do wewnątrz, dotkniętych nią poddawano terapii lub umieszczano w odosobnieniu w takich miejscach jak Ziemia.

Gdy natomiast wydostawały się na zewnątrz, by zagrozić niewinnym ludziom, mogła ona zaprowadzić gdzie indziej. Na przykład na Fiorinę. Clemens był jedynie jednym z wielu, którzy zbyt późno zdali sobie sprawę, że ich prywatna ścieżka zboczyła z trasy charakteryzującej normalnych ludzi, by zaprowadzić ich w to miejsce.

Kobieta usiłowała coś powiedzieć. Jej wargi poruszały się. Wyginała ciało ku górze, choć Clemens nie umiał stwierdzić, czy próbowała coś popchnąć, czy też od czegoś się odsunąć.

Nachylił się nad nią i przytknął ucho do jej ust. Dobiegly stamtąd bulgocące dźwięki, brzmiące jak gdyby docierały na powierzchnię z wielkiej głębokości.

Wyprostował się i odwrócił jej głowę na bok. Krztusząc się i dusząc zwymiotowała strumieniem ciemnej słonej wody. Wymioty skończyły się nagle i kobieta opadła na łóżko, nadal nieprzytomna, lecz teraz już spokojna, cicha, odprężona. Ułożył jej głowę z powrotem na poduszce. Przyjrzał się z powagą obliczu przypominającemu maskę. Mimo wieku rysy jej twarzy były delikatne, niemal dziewczęce. Unosiła się wokół niej aura kogoś, kto spędził zbyt wiele czasu w piekle jako turysta.

Cóż, została wypchnięta ze statku na pokładzie promu ratunkowego, a potem przebudziła się z hibernacji podczas katastrofy... no cóż, takie wypadki zostawiłyby ślady na każdym, powiedział sobie.

Drzwi ambulatorium otworzyły się z cichym sykiem, by wpuścić do środka Andrewsa i Aarona. Clemens nie przepadał zbyt za naczelnikiem ani za jego zastępcą, ale zdawał sobie też sprawę, że i Andrews nie kocha jedynego przedstawiciela personelu medycznego w kompleksie. Choć jego status był odrobinę wyższy niż ogółu populacji, Clemens nadal pozostawał więźniem odbywającym karę, o czym żaden z tamtych dwóch nie pozwalał mu nigdy zapomnieć. Nie dziwiło go to zresztą wcale ani martwiło. Wielu rzeczy trudno było dokonać na Fiorinie, lecz zapominanie należało tutaj do sztuk kompletnie obcych.

Zatrzymali się obok łóżka i spojrzeli na nieruchome ciało. Andrews chrząknął bez żadnego widocznego powodu.

- Co z nią, panie Clemens?

Technik odchylił się lekko do tyłu i spojrział w górę na człowieka, który w gruncie rzeczy był panem i władcą Fioriny.

- Żyje.

Andrews zacisnął usta i obdarzył rozmówcę ironicznym uśmiechem.

- Dziękuję, panie Clemens. To ważne. Choć, jak przypuszczam, nie powinienem chcieć, żeby było inaczej, bo oznacza to także, że mamy problem, prawda?

- Nie ma się czym przejmować, sir. Myślę, że ją z tego wyciągniemy. Nie ma krwotoków wewnętrznych, złamań, a nawet poważnych wywichnięć. Myślę, że w pełni wróci do zdrowia.

- Co, jak pan wie, panie Clemens, właśnie mnie niepokoi. - Otaksował wzrokiem kobietę leżącą na łóżku. - Wolałbym, żeby do nas nie trafiła. Wolałbym, żeby jej tu teraz nie było.

- Z całym szacunkiem, sir, ale mam wrażenie, że chętnie przyznałaby panu rację. Sądząc z tego, co opowiedziano mi o jej lądowaniu i z tego, w jakim stanie, co sam widziałem, znajduje się jej prom, jestem zdania, że miała cholernie mało do powiedzenia w tej sprawie.

Wie pan, skąd oni są? Z jakiego statku?

- Nie - mruknął Andrews. - Powiadomiłem Weyland-Y.

- Odpowiedzieli? - Clemens złapał Ripley za nadgarstek udając, że chce jej zbadać puls.

- Jeśli można to nazwać odpowiedzią. Potwierdzili odbiór wiadomości. I tyle. Chyba nie są w nastroju do rozmów.

- To zrozumiałe, jeśli mieli udziały w statku, który zaginął. Biegają teraz w kółko jak szaleni, próbując określić znaczenie pańskiego raportu. - Wyobrażenie skonsternowanych nababów Towarzystwa sprawiło mu przyjemność.

- Proszę mnie powiadomić, jeśli zajdzie jakaś zmiana w jej stanie.

- Na przykład jeśli grzecznie przeniesie się na tamten świat?

Andrews spojrział na niego ze złością.

- Jestem już wystarczająco podenerwowany tym wszystkim, Clemens. Proszę postępować rozsądnie i nie pogarszać sprawy. Niech pan się pilnuje, żeby nie zaczął zbyt mocno koić pana z całym tym interesem. Nie ma powodu do ponurych dowcipów. Może to pana

zdziwi, ale mam nadzieję, że ona wyżyje. Co prawda, jeśli odzyska przytomność, może sama być innego zdania. Chodźmy - powiedział do swego totumfackiego.

Obaj mężczyźni wyszli.

Kobieta jęknęła cicho. Poruszyła nerwowo głową z boku na bok. Odruchowa reakcja, zastanowił się Clemens, czy też skutki uboczne leków, które, pełen nadziei, wprowadził pośpiesznie do jej organizmu? Siedział i obserwował ją, nieskończenie wdzięczny za możliwość odpoczynku w jej orbicie, za szansę na to, by po prostu być blisko niej, obserwować ją, czuć jej zapach. Zapomniał już niemal, co znaczy przebywać w obecności kobiety. Wspomnienia wróciły szybko, przebudzone jej widokiem. Pod siniakami i stłuczeniami jest całkiem piękna, pomyślał. Bardziej, znacznie bardziej niż miał prawo się spodziewać.

Jęknęła po raz drugi. To nie lekarstwa, uznał, ani ból głowy wywołany obrażeniami. Coś się jej śniło. Nie ma powodu do obaw. Ostatecznie parę snów nie wyrządzi jej krzywdy.

Słabo oświetlona sala zebrań miała wysokość czterech kondygnacji. Mężczyźni stali oparci o balustradę na drugim poziomie i szeptali cicho do siebie; niektórzy palili wysuszone rośliny zmieszane z różnymi środkami chemicznymi. Górne piętra były puste. Podobnie jak większa część kopalni na Fiorinie, sala została zbudowana z myślą o znacznie większej liczbie ludzi niż dwa tuziny, które zebrały się w tej gigantycznej jaskini.

Przyszli tu na żądanie naczelnika. Wszystkich dwudziestu pięciu więźniów. Twardzi, chudzi, łysi, młodzi, nie tak już młodzi, i ci, dla których młodość była tylko miłym, blaknącym wspomnieniem. Andrews usiadł naprzeciw nich. Jego zastępca Aaron tkwił obok. Clemens stał w pewnej odległości zarówno od więźniów, jak i od strażników, stosownie do swego specyficznego statusu.

Dwóch strażników, dwudziestu pięciu więźniów. W każdej chwili mogli się rzucić na

naczelnika i jego zastępcę i uporać się z nimi stosunkowo łatwo. Ale po co? Bunt dałby im jedynie panowanie nad kompleksem, którym i tak już kierowali. Uciekać nie było dokąd. Na Fiorinie nie istniało żadne lepsze miejsce, którego nie wolno by im było odwiedzać. Gdyby następny statek dostawczy po przybyciu stwierdził, że doszło do buntu, nie zrzuciłby po prostu dostaw i złożył raport. Następnie przybyliby ciężko uzbrojeni komandosi, stłumili bunt raz, dwa i wszyscy biorący w nim udział, a raczej ci, co przeżyli, stwierdziliby, że ich wyroki zostały przedłużone.

Drobne przyjemności, których mogło dostarczyć stawienie oporu władzy, nie były warte dodatkowego miesiąca pobytu na Fiorinie, a tym bardziej roku czy dwóch. Nawet najbardziej zatwardziali z więźniów zdawali sobie z tego sprawę. Nie było więc żadnych buntów ani sprzeciwów wobec władzy Andrews'a. Przeżyć Fiorinę i, co ważniejsze, uciec z niej, można było wyłącznie postępując zgodnie z oczekiwaniami. Więźniowie mogli nie być zadowoleni, zachowywali się jednak spokojnie.

Aaron dokonał przeglądu szepczącej gromady i niecierpliwie podniósł głos.

- W porządku, w porządku. Weźmy się do roboty. Zaczniemy to wreszcie. Zgoda? Zgoda.

Proszę pana, panie Dillon.

Dillon wystąpił naprzód. Był przywódcą uwięzionych, i to nie tylko ze względu na swój wzrost i siłę. Druciane okulary, które miał na nosie, były w znacznie większym stopniu pozą, ustępstwem na rzecz tradycji niż koniecznością. Wolał je od szkieł kontaktowych, a - rzecz jasna - trudno się było spodziewać, że Towarzystwo poświęci czas i pieniądze na wyposażenie więźnia w przeszczepy. Dillonowi to odpowiadało. Okulary były antykiem. Stanowiły dziedzictwo rodzinne, które w jakiś sposób przetrwało pokolenia nienaruszone. W pełni spełniały jego wymagania.

Pojedynczy warkoczyk, który zwisał z jego łysej pały, kołysał się powoli w rytm kroków.



Zachowanie tej ozdoby z włosów pomimo nieustępliwych pasożytów fioreskich kosztowało mnóstwo czasu i wysiłków, Dillon był jednak gotów znieść pewne niewygody, żeby tylko zachować ów drobny przejaw indywidualności.

Chrząknął dobitnie.

- Daj nam siłę, o Panie, byśmy wytrwali. Wyznajemy, że jesteśmy nieszczęsnymi grzesznikami w rękach gniewnego Boga. Niechaj krąg pozostanie nie przerwany... aż nie nadejdzie dzień. Amen.

Inwokacja była krótka, ale w sam raz. Gdy skończył, więźniowie jak jeden mąż podnieśli prawe pięści i opuścili je w milczeniu: To był gest pogodzenia się z losem i rezygnacji, nie buntu. Na Fiorinie bunt nie przynosił nic poza ostracyzmem ze strony towarzyszy i możliwością przedwczesnego wylądowania w grobie, ponieważ, jeśli ktoś wychylił się zbyt daleko, Andrews mógł go praktycznie bezkarnie wygnać z kompleksu. Nie było tu nikogo, kto mógłby się sprzeciwić, kto by go nadzorował i oceniał słusność jego postępów. Żadna niezależna komisja śledcza nie badała przyczyn śmierci więźniów. Andrews strzelał i Andrews kule nosił. Sytuacja ta byłaby nie do zniesienia, gdyby nie fakt, że naczelnik, choć surowy, był również sprawiedliwy. Więźniowie uważali, że mają pod tym względem szczęście. Równie dobrze mógłby się im tracić ktoś zupełnie inny.

Andrews obrzucił wzrokiem swych podopiecznych. Znał każdego z nich dobrze, znacznie lepiej niż wyraziłby na to ochotę, gdyby dano mu prawo wyboru. Znał ich słabe i mocne strony, grzeszki i rzeczy, do których czuli odrazę, szczegóły ich spraw. Niektórzy byli prawdziwymi bydlakami, inni zaś jedynie ludźmi w fatalny sposób aspołecznymi. Istniał też szeroki wachlarz przypadków pośrednich.

Andrews chrząknął z powagą.

- Dziękuję wam, panowie. Wiele mówiono na temat tego, co wydarzyło się dziś rano.

Większość opowieści miała niezbyt poważny charakter. Możecie więc uznać to posiedzenie za okazję do sprawdzenia plotek. Oto fakty. Jak niektórzy z was wiedzą, prom ratunkowy typu 337 rozbił się tutaj o godzinie 0600 podczas wachty porannej. Jedna osoba przeżyła, dwie zginęły. Był tam też android, który został roztrzaskany w takim stopniu, że naprawa nie wchodzi w grę. - Przerwał na chwilę, by jego słowa dotarły lepiej do słuchających. - Ocalona osoba jest kobietą.

Zaczęły się pomruki. Andrews nasłuchiwał i obserwował z uwagą. Próbował oszacować, jakie wrażenie wywołały jego słowa. Nie było źle... jak dotąd.

Jeden z więźniów wychylił się ponad górną poręczą. Morse zbliżał się do trzydziestki, wyglądał jednak starzej. Na Fiorinie jej mimowolni obywatele szybko się starzeli. Człowiek ów miał sporą kolekcję pokrytych złotem zębów, co było konsekwencją pewnych społecznych działań. Wybrał złoty kolor ze względów kosmetycznych. Wydawał się podenerwowany, co u niego było normalne.

- Chcę tylko powiedzieć, że kiedy tu przybyłem, złożyłem śluby czystości. To znaczy żadnych kobiet ani seksu pod jakąkolwiek postacią. - Omiótł zebranych podnieconym wzrokiem. - Wszyscy złożyliśmy te śluby. Powiem teraz, że ja osobiście nie pochwalam polityki Towarzystwa, które pozwala tej kobiecie na swobodne kontakty...

Gdy Morse nie przestawał głądzić, Aaron szepnął do swego przełożonego.

- Bezczelny sukinsyn, prawda, sir?

Wreszcie Dillon wystąpił przed szereg współwięźniów. Jego dźwięczny głos był cichy, lecz zdecydowany.

- Nasz brat chce nam powiedzieć, że odbieramy obecność obcego przybysza, zwłaszcza kobiety, jako pogwałcenie harmonii, potencjalne zniweczenie duchowej jedności, która pomaga nam przetrwać kolejne dni i pozostać przy zdrowych zmysłach. Słyszycie pan, co

mówię, panie naczelniku? Rozumie pan, co mam na myśli?

Andrews spojrzał śmiało Dillonowi w oczy.

- Proszę mi wierzyć, zdaję sobie doskonale sprawę z waszych uczuć. Zapewniam was wszystkich, że uczynimy co tylko w naszej mocy, by zaradzić waszym troskom, i że rozwiążemy tę kwestię jak najszybciej. Myślę, że leży to we wspólnym interesie nas wszystkich.

Z gromady dobiegły szepty.

- Z pewnością ucieszy was wiadomość, że już wezwałem ekipę ratunkową. Jest nadzieja, że przybędą tu nie dalej niż za tydzień, aby jak najszybciej ją stąd zabrać.

Ktoś mu przerwał.

- Za tydzień, panie naczelniku? Nikt nie może tu dotrzeć tak szybko. Z żadnego miejsca.

Andrews spojrzał na mówiącego.

- Najwyraźniej chodzi o statek znajdujący się w drodze na Motinę. Figurował w rozkładzie od miesiąca. To stan zagrożenia. Istnieją zasady, których nawet Towarzystwo musi przestrzegać. Jestem pewien, że nawiążą kontakt ze statkiem, obudzą z hibernacji przynajmniej pilota i skierują ich w naszą stronę, by ją zabrali. To będzie koniec sprawy.

Nic, rzecz jasna, na ten temat nie wiedział, ale takie postępowanie ze strony Towarzystwa byłoby logiczne i uznał, że może je przepowiedzieć z niejaką dozą pewności. Gdyby statek kierujący się na Motinę nie zboczył z trasy, postąpi tak, jak będzie tego wymagała sytuacja.

Należy rozwiązywać kryzysy jeden po drugim.

Popatrzył na Clemensa.

- Czy miał pan już czas na dokonanie oceny?

Technik skrzyżował niepewnie ramiona na piersi.

- Poniekąd. Zrobiłem wszystko co możliwe przy użyciu naszego sprzętu.

- Mniejsza o żale. W jakim jest stanie?

Clemens zdawał sobie świetnie sprawę, że wszystkie oczy w pomieszczeniu skierowały się nagle na niego. Zignorował to jednak, skupiając uwagę na naczelniku.

- Nie wydaje się, by odniosła ciężkie obrażenia. Jest posiniaczona i poobijana. Może mieć złamane jedno zebro. Jeśli nawet, jest to tylko pęknięcie przeciążeniowe. Groźniejsze konsekwencje może mieć fakt, że przebudziła się z hibernacji zbyt, gwałtownie - przerwał, by zebrać myśli. - Proszę posłuchać, jestem tylko nie wyspecjalizowanym technikiem, ale nawet ja dostrzegam, że ona potrzebuje specjalistycznej opieki. Jeśli kogoś wyrwie się przedwcześnie z hibernacji, bez odpowiedniego przygotowania biofizycznego, mogą wystąpić najróżniejsze komplikacje. Nieprzewidywalne efekty uboczne, ukryte zaburzenia krążenia i oddychania, uszkodzenia na poziomie komórkowym, które czasami nie ujawniają się przez całe dni lub nawet tygodnie... nie mam pojęcia, jak mógłbym rozpoznać takie rzeczy, a co dopiero je leczyć. Mam więc nadzieję, że ten statek ratunkowy jest w pełni wyposażony w urządzenia medyczne.

- Czy będzie żyła? - zapytał go Andrews.

Technik potrząsnął głową w niemym zdumieniu. Naczelnik dobrze słyszał jedynie to, co chciał usłyszeć.

- Sądzę, że nic jej nie będzie, pod warunkiem, że nic już później nie wyskoczy. Proszę jednak nie powtarzać głośno mojej opinii. Zwłaszcza oficjalnie zarejestrowanemu lekarzowi.

- Czego się boisz? - zachichotał ktoś za nim. - Że cię oskarżą o błąd w sztuce?

Niektórzy z członków grupy wybuchnęli okrutnym śmiechem.

Andrews przerwał im szybko, zanim Clemens lub ktokolwiek inny zdążył zareagować.

- Posłuchajcie. Nikt z nas nie jest naiwny. Leży we wspólnym interesie nas wszystkich, żeby ta kobieta nie wychodziła z ambulatorium do czasu przybycia ekipy ratunkowej. A już

zwłaszcza bez eskorty. Czego oczy nie widzą, sercu nie żal, prawda? - Nikt nie kwapił się do wypowiedziania komentarzy. - Wszyscy powinniśmy się więc trzymać swoich zadań i unikać nadmiernego podniecenia. Zgadza się? Dobrze. - Wstał. - Dziękuję, panowie.

Nikt się nie poruszył. Dillon odwrócił się i powiedział cicho:

- W porządku.

Tłumek zaczął się rozchodzić. Mężczyźni wracali do swych codziennych zajęć. Andrews nie czuł się obrażony okazanym mu lekceważeniem. To był drobny gest ze strony więźniów.

Był gotów pozwolić im na drobne gesty. To upuszczało trochę pary, łagodziło chęć do poważniejszych wyskoków.

Zebranie poszło tak dobrze, jak można było tego oczekiwać. Miał wrażenie, że poradził sobie z sytuacją jak należy. Powstrzymał plotki i spekulacje, zanim wyrwały się spod kontroli.

Skierował się z powrotem do gabinetu. Aaron szedł u jego boku.

Przydałaby się jednak bardziej treściwa wiadomość od Towarzystwa.

Gdy Clemens chciał wyjść, Dillon zagroził mu drogę.

- Coś cię gryzie?

Wielki mężczyzna sprawiał wrażenie zatroskanego.

- Pigularzu, lepiej uważaj na tę babkę.

Clemens uśmiechnął się.

- W jej stanie nie może narobić kłopotu. Czyż nie powinniśmy dać szansy wszystkim dzieciom Bożym?

- Nie wiemy, czyim jest dzieckiem.

Obaj mężczyźni spoglądali na siebie jeszcze przez chwilę. Wreszcie Dillon ustąpił technikowi z drogi. Jego spojrzenie podążało za Clemensem aż do bramy prowadzącej do tunelu D.

Kobieta leżała nieruchomo na łóżku. Tym razem nie jęczała. Nic się jej nie śniło.

Clemens sprawdził kroplówkę przytwierdzoną do jej ramienia. Nie znając szczegółów jej stanu zmuszony był zastosować terapię przeciwko ogólnemu osłabieniu. Oprócz glukozy i sacharozy kroplówka zawierała szeroki zestaw dobrze tolerowanych antybiotyków, środki modyfikujące sen fazy REM oraz specyfiki przeciwbólowe. Wykonany z twardego materiału identyfikator, który nosiła, uległ zniszczeniu podczas katastrofy, był więc zmuszony przystąpić do leczenia nie posiadając kluczowych informacji, które zostały w nim zakodowane. Obserwował ją uważnie w poszukiwaniu oznak odrzucenia i poczuł ulgę, gdy żadne się nie pojawiły. Przynajmniej nie była uczulona na nic, co do tej pory wpompował do jej organizmu.

Z radością zauważył, że kroplówka jest już niemal pusta. To oznaczało, że jej ciało robiło dobry użytek z leczniczego roztworu. Gdy przesunął kontroler funkcji życiowych nad jej czaszką i klatką piersiową, zielone światełka nie zmieniły koloru. To mu dodało odwagi, wrzucił więc do strzykawki kapsułkę i odwrócił lekko ramię pacjentki, by odsłonić większy fragment mięśnia trójgłowego.

Jej oczy otworzyły się nagle, jak gdyby udawała tylko, że śpi. Zdumiony szybkością jej reakcji, zawahał się. Wskazała na urządzenie, które trzymał w ręku.

- Co to jest?

- Strzykawka do użytku ogólnego.

- To widzę. Wie pan, o co mi chodzi.

Uśmiechnął się lekko.

- Lekki cocktail mojej własnej recepty. Coś na otwarcie oczu. Adrenalina, trochę wybranych syntetycznych endorfin, no i parę tajemniczych protein. Do smaku. Mam wrażenie, że pani ciało wróciło już do zdrowia w wystarczającym stopniu, by włączyć tę mieszankę w

przemianę materii. W pięć minut po tym, jak te środki rozejdą się po pani organizmie, poczuje się pani znacznie lepiej niż w tej chwili.

Nie przestawała przyglądać mu się ostrożnie.

- Jest pan lekarzem?

Wzruszył ramionami i odwrócił na chwilę wzrok, jak gdyby to pytanie było dla niego nieprzyjemne.

- Nie, wyspecjalizowanym technikiem medycznym. Mam tylko kategorię 3 C. Tutaj nie znajdzie pani jednak nikogo lepszego. - Pochylił się do przodu i zmrużył oczy, przyglądając się uważnie jej włosom. - Naprawdę powinienem ogolić pani głowę. Trzeba to było zrobić od razu, ale byłem zajęty ważniejszymi sprawami.

Ta uwaga sprawiła, że Ripley poderwała się i usiadła nagle na łóżku, przyciskając prześcieradło do szyi obronnym gestem.

- Spokojnie. Nie jestem mordercą. Chociaż znajdzie tu pani i takich.

- Dlaczego musi pan ogolić mi głowę?

- Mikroskopijne pasożyty. Drapieżne stawonogi, endemiczne dla Fioriny. Na szczęście ludzie nie wydają się im zbyt smacznymi... nie licząc keratyny w naszych włosach. Z jakiegoś powodu nie odczuwają podobnego apetytu na paznokcie. Może konsystencja jest nieodpowiednia. Mówimy na nie po prostu "wszy" i niech diabli wezmą naukową nomenklaturę.

- Nie może pan użyć jakiegoś aerozolu, szamponu ochronnego czy czegoś w tym rodzaju?

- Nie spuszczała oczu z brzytwy.

- Och, Towarzystwo próbowało tego, gdy zakładano kopalnię, ale te małe bydlaki są twarde. Wszystkie stworzenia, które chcą tu przeżyć, muszą takie być. Okazało się, że od każdego środka wystarczająco mocnego, by zaradzić pasożytom, robią się na skórze pęcherze.

Na głowie jest wystarczająco paskudnie. Na dole bez porównania gorzej. Golenie okazało się prostszym, tańszym i bardziej efektywnym rozwiązaniem. Niektórzy faceci starają się utrzymać coś z włosów z czystej złości i walczą z pasożytami, jak mogą. Na przykład brwi. Nie przypuszczałyby pani, że komuś może zależeć na czymś tak ulotnym, jak brwi. Jeśli jednak chodzi o gęste włosy, to wykluczone. Gdyby spróbowała pani żyć z wszami, doprowadziłyby panią do obłędu swym pełzaniem, żarciem, swędzeniem...

- Już dobrze, dobrze - odparła pośpiesznie Ripley. Wyobrażam to sobie.

- Dam pani elektryczną maszynkę do dolnych części. Może się tym pani zająć, gdy poczuje się pani lepiej. Można powiedzieć, że ambulatorium jest najbardziej sterylnym pomieszczeniem w całym kompleksie, więc przez pewien czas nic się pani nie powinno stać, ale te robale znajdą panią wcześniej czy później. Są zbyt małe, żeby zatrzymały je filtry.

Proszę się tylko ogolić, a zostawią panią w spokoju.

Zawahała się, zamyślona, po czym skinęła ze zrozumieniem głową.

- Nazywam się Clemens. Jestem głównym oficerem medycznym tu na Fury 361.

Zmarszczyła brwi.

- To nie brzmi jak nazwa kopalni.

- Kiedyś to była kopalnia. Resztkę wartą eksploatacji rudy wydobyto, oczyszczono i wywieziono z planety jakiś czas temu. Wysokie koszty zmusiły Weylanda-Yutaniego do porzucenia kopalni, żeby więc odzyskać parę kredytów, wynajęli jej nadającą się do użytku część na więzienie o najwyższym stopniu zabezpieczenia. Wszyscy na tym skorzystali.

Spółeczeństwo wyizolowało najbardziej niepożądane ze swych niepożądanych elementów, a Towarzystwo zdobyło darmowych dozorców. Skorzystali wszyscy, z wyjątkiem tych spośród nas, których tu wysłano. - Wykonał gest strzykawką. - Nie będzie się pani sprzeciwiać? To tylko rodzaj stabilizatora.



Czuła się już teraz na tyle bezpiecznie, że pozwoliła mu się zbliżyć i przeniosła swą uwagę na otoczenie.

- Jak się tu znalazłam?

- Pani prom ratunkowy uległ rozbiciu. Nikt nie wie, co się stało ze statkiem macierzystym ani dlaczego panią z niego wyrzucono. Jeśli nawet Harry Andrews, on jest tu naczelnikiem, wie, to nic nie chce powiedzieć. Katastrofa, która spowodowała wyrzucenie promu, musiała też uszkodzić urządzenia sterujące lądowaniem, ponieważ uderzyła pani w zatokę ze znaczną siłą. Przyholowaliśmy prom tutaj. Sam nie byłem w środku, jeśli jednak wygląd zewnętrzny może świadczyć o tym, jakich uszkodzeń doznał, ma pani cholerne szczęście, że pani żyje, i jeszcze większe, że dotarła tu pani mniej więcej w jednym kawałku.

Przełknęła ślinę.

- A co z resztą?

- Tak. Sam się nad tym zastanawiałem. Gdzie reszta załogi? Czy uciekli pozostałymi promami?

- Nie było żadnej "reszty załogi" - poinformowała go zwięźle. - To długa historia i nie mam teraz szczególnej ochoty jej opowiadać. Chodzi mi o tych, którzy byli razem ze mną. Ilu ich było?

- Dwoje. Troje, jeśli liczyć androida - przerwał. Obawiam się, że nie mieli szczęścia.

- Co? - Nie rozumiała.

- Nie żyją.

Myślała przez dłuższą chwilę, po czym potrząsnęła gwałtownie głową.

- Chcę obejrzeć statek. Muszę to zobaczyć sama. Zaczęła siadać na łóżku. Położył rękę na jej ramieniu. - Hej, spokojnie. Jako lekarz muszę pani powiedzieć, że pani stan na to nie pozwala.

- Nie jest pan lekarzem, pamięta pan? - Ześliznęła się z drugiej strony łóżka i stanęła w oczekiwaniu, całkiem naga. - Chce pan, żebym założyła jakieś ubranie, czy mam iść tak, jak stoję?

Clemens poświęcił na zastanowienie się dłuższą chwilę. Fakt, że udało mu się ją tak ujrzeć w pozycji pionowej, nie był przykry.

- Biorąc pod uwagę charakter miejscowej populacji, zdecydowanie radzę się ubrać.

Wstał z miejsca, otworzył szufladę znajdującą się po drugiej stronie pomieszczenia i zaczął przerzucać jej zawartość.

- Podczas gdy będzie pani hasać po naszej małej krainie czarów, proszę nie zapominać, że penitenci to wyłącznie mężczyźni i że żaden z nich nie widział kobiety od wielu lat. Ja też nie, jeśli już o tym mowa.

Stała z ręką opartą na biodrze i szacowała go spojrzeniem.

- Tak, ale o pana nie muszę się martwić, ponieważ jest pan niby-lekarzem, pamięta pan?

Uśmiechnął się mimo woli.

### 3.

Clemens zauważył, jak jej oczy wędrowały we wszystkich kierunkach, gdy prowadził ją korytarzami i chodnikami. Jak u nerwowego dziecka... albo wysoce rozwiniętego drapieżnika. Nic jej nie umykało. Najcichszy dźwięk natychmiast przykuwał jej uwagę. Ich stopy nie robiły wiele hałasu, gdy stąpali po wytartym metalu. Strój, który dla niej wyszukał, był trochę za mały, nie sprawiała jednak wrażenia, że jej przeszkadza.

- Nie mam pojęcia, ile czasu spędziła pani w stanie hibernacji, ale podobne przebudzenie może stanowić cholerny wstrząs dla organizmu. Niech więc pani nie wpada w panikę, gdy popatrzę na panią z ukosa. Po prostu obserwuję, czy nie wystąpią u pani opóźnione efekty uboczne. Ruszajmy więc naprzód spokojnie, Ripley.

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

- Skąd zna pan moje nazwisko?

- Jest wypisane z tyłu pani szortów - uśmiechnął się usprawiedliwiająco. - Znaleźliśmy też pani identyfikator. Był tak pokiereszowany, że komputer ledwo mógł go odczytać, trochę jednak się z niego dowiedzieliśmy. Niestety większość danych medycznych uległa zniszczeniu. Musiałem sporo zgadywać.

Ripley na próbę poruszyła ramionami do przodu i pokręciła głową w obie strony.

- Wygląda na to, że wykonał pan niezłą robotę. Dziękuję.

Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu stwierdził, że jest lekko zażenowany.

- Hej, byle frajer potrafi podłączyć kroplówkę.

Uśmiechnęła się.

- Nie sądzę. To musi być frajer o specjalnych kwalifikacjach.

Gdy robotnicy ustawiali kadłub promu na pośpiesznie wzniesionym podwyższeniu, obchodzili się z nim bardzo ostrożnie. Stary dźwig jęczał z wysiłku. Odkąd zamknięto

kopalnię, rzadko zachodziła potrzeba korzystania z niego i uruchomienie go na nowo niesło ze sobą pewne ryzyko. Jednakże maszyna zareagowała w prawidłowy sposób. Wehikuł opuszczono łagodnie przy akompaniamencie skrzypienia lin.

Gdy po raz pierwszy wciągnięto prom do wnętrza kompleksu, przyciągnął wiele spojrzeń. Ripley, zbliżając się do niego w towarzystwie Clemensa, przyciągnęła ich zdecydowanie więcej. Znacznie lepiej wychodziło jej udawanie, że tego nie dostrzega, niż więźniom udawanie, że na nią nie patrzą.

- Jakim właściwie miejscem jest to więzienie? - zapytała swego przewodnika, gdy ruszyli w górę rampy ku poobijanemu wrakowi statku ratunkowego.

Clemens trzymał się blisko niej.

- Kiedyś tyła to kopalnia z rafinerią. Głównie minerały z grupy platynowców. Rzecz jasna rudę poddawano oczyszczeniu na miejscu. To znacznie tańsze niż przewozić ją w tym celu na inną planetę. Jak rozumiem, moment odkrycia tego złoża zbiegł się w czasie ze znacznym wzrostem cen platyny. W przeciwnym razie Towarzystwu nie opłacałoby się budować kopalni tych rozmiarów tak daleko od miejsca zbytu. To była bogata żyła, o bardzo dużym stopniu skoncentrowania.

- A teraz? - Stała obok promu, by przyjrzeć się uszkodzonemu kadłubowi.

- Weyland-Yutani zawiesił jej działalność. Handel międzygwiazdny nie jest właściwie moją specjalnością i nie słyszałem, żeby ktokolwiek tutaj ekscytował się śledzeniem wahań cen surowców, chyba jednak dowiedziałem się skądś, że spadkowi ceny oczyszczonego metalu towarzyszyło zmniejszenie zapotrzebowania. Dlatego większą część urządzeń zabezpieczono na miejscu. Nie opłacało się ich przewozić. Miały zbyt małą wartość. W skałach jest jeszcze ruda i o ile cena pójdzie w górę, jestem pewien, że Towarzystwo otworzy kopalnię na nowo. To oznacza, że nas pewnie przeniosą gdzie indziej. Nie byłoby dobrze,

gdyby przestępcy zadawali się z miłymi, uczciwymi górnikami. Nikt, co prawda, nie ma nic przeciwko wyjazdowi z tej skały. Zmiana byłaby słodka. Raczej trudno sobie wyobrazić, żeby gdzieś mogło być gorzej niż tutaj. Jesteśmy więc właściwie dozorcami. Po prostu personel strażniczy. Pilnujemy, żeby ogień nie wygasł, na wypadek, gdyby cena rudy albo zapotrzebowanie na nią poszło w górę. To korzystne dla rządu i dla Towarzystwa.

- Myślę, że można stracić rozum, spędziwszy choć rok w podobnym miejscu.

Clemens musiał się roześmiać.

- Mówią, że niektórzy byli już szaleńcami, zanim ich tu wysłano. Nie sądzę jednak, żebyśmy nimi byli. Przynajmniej nie większość z nas. Izolacja nie jest aż tak dokuczliwa, kiedy się człowiek nauczy myśleć o sobie jako o spędzającym czas na kontemplacji pokutniku, a nie uwięzionym przestępcy.

- Były tu kiedyś jakieś kobiety?

- Przykro mi, porucznik Ripley. To zakład dla ludzi z podwójnym chromosomem Y. Sami mężczyźni.

Skinęła głową, po czym odwróciła się i schyliła, by precyzyjnie przejść przez to, co pozostało z roztrzaskanej śluzki powietrznej. Clemens poczekał, aż utworzy sobie drogę, po czym podążał za nią.

Poobijany kadłub statku można by uznać za nietknięty w porównaniu z tym, co znalazła wewnątrz. Zdruzgotane i powyginane ściany, porozbijane monitory i konsole, sprzęt poniewierający się chaotycznie na podłodze. Wszystko przesiąknięte gęstą wonią słonej wody. Zatrzymała się zdumiona, że ktoś lub coś mogło przeżyć te zniszczenia nienaruszone, zwłaszcza jej własne, kruche ciało.

- Gdzie są zwłoki?

Na Clemensie zasięg zniszczeń wywarł podobne wrażenie. Dziwił się, że Ripley nie

odniosła poważniejszych obrażeń.

- Mamy tu kostnicę. W górnictwie niezbędna. Przechowujemy tam pani przyjaciół do chwili, gdy przybędzie ekipa śledcza, zapewne za tydzień.

- Był też android...

Clemens skrzywił się.

- Nieczynny i rozbity na części. Jego fragmenty walały się po całym statku. To, co zostało, wyrzuciliśmy na śmietnik. Kapral nadział się na belkę podtrzymującą. Przebiła mu pierś na wylot. Nawet gdyby był przytomny, nie zdążyłby zauważyć, co się z nim stało. Najwyraźniej nie obudził się z hibernacji na tyle, by poczuć ból.

- A dziewczynka?

Była bardzo lakoniczna. Clemens nie miał pojęcia, jak wiele ukrywała.

- Utonęła w swej kapsule hibernacyjnej. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła być przytomna w chwili, gdy to się stało. Można powiedzieć, że jej śmierć była jeszcze lżejsza niż śmierć kaprała. Przykro mi.

Ripley przełknęła wieści ze spokojem. Potem ramiona zaczęły jej drżeć i w oczach pojawiły się łzy. To było wszystko. Żadnych krzyków czy wrzasków ani gwałtownego wyrzekania na niesprawiedliwy, obojętny wszechświat. Mała Newt. Newt, która nie miała szans. Przynajmniej była teraz wolna. Ocierając oczy Ripley odwróciła się, by dokonać oględzin szczątków kapsuły dziewczynki. Szyba została stłuczona, co było zrozumiałe.

Nagle zmarszczyła brwi. Metal poniżej szyby był dziwnie odbarwiony. Pochyliła się do przodu i przebiegła palcami po plamie.

Clemens spojrział na nią z ciekawością.

- Co to takiego?

Ripley podniosła się. Uczucia chwili przekształciły się w coś innego. W jej głosie nie było

teraz troski. Ani śladu czułości, którą zauważył poprzednio.

- Gdzie ona jest?

- Powiedziałem pani, że w kostnicy. Czy pani nie pamięta?

Spojrzał na nią zatroskany. Obawiał się, że mogła to być reakcja na coś, co podał jej w kroplówce.

- Jest pani zdezorientowana. Połowa pani organizmu sądzi, że nadal jest pogrążona w hibernacji.

Odwróciła się w jego stronę tak błyskawicznie, że aż podskoczył z wrażenia.

- Chcę obejrzyć to, co zostało z jej ciała.

- Jak to, co zostało? Ciało jest nienaruszone.

- Na pewno? Chcę je zobaczyć. Muszę przekonać się sama.

Zmarszczył brwi, lecz powstrzymał się od zadawania pytań. W wyrazie jej twarzy dostrzegł coś... Jedno było jasne. Nie sposób odmówić jej dostępu do zwłok. Nie było zresztą ku temu powodu. Miał wrażenie, że pragnienie ujżenia przez nią ciała nie ma nic wspólnego z nostalgią. Trudno było określić, jaką jest osobą, po tak krótkim okresie znajomości, z pewnością jednak nie miała nadmiernych upodobań do makabry.

Biegące po spirali schody były wąskie i śliskie, lecz tą drogą docierało się z magazynu, w którym przechowywano prom, do kostnicy znacznie szybciej. Clemens nie potrafił dłużej powstrzymać ciekawości.

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego pani nalega?

- Muszę się upewnić, dlaczego umarła - odparła spokojnym tonem - że nie było czegoś innego.

- Czegoś innego? - W odmiennej sytuacji Clemens mógłby się poczuć urażony. - Z

niechęcią wracam do tego nieprzyjemnego dla pani tematu, jest jednak jasne, że jej kapsuła

uległe przebiciu i że dlatego się utopiła. - Zastanawiał się przez chwilę. - Czy to była pani córka?

- Nie - odparła spokojnie Ripley. - Nie była. Moja córka umarła już dawno temu.

Mówiąc to unikała wzrokiem jego spojrzenia. Rzecz jasna była jeszcze słaba i musiała koncentrować uwagę na wąskich, spiralnych schodach.

- Skąd więc ta potrzeba?

Zamiast odpowiedzieć mu wprost, stwierdziła:

- Mimo że nie byliśmy ze sobą spokrewnione, była mi bardzo bliska. Czy pan sądzi, że chcę ją ujrzeć taką, jak pan opisał? Zdecydowanie wolałabym zapamiętać ją taką, jaka była.

Nie prosiłabym o to, gdyby nie było to dla mnie cholernie ważne.

Zaczął jej odpowiadać, lecz powstrzymał się. Wiedział już, że Ripley nie jest osobą, którą można zmusić do udzielenia odpowiedzi. Jeśli miała mu cokolwiek powiedzieć, zrobi to wtedy, gdy sama uzna to za stosowne.

Otworzył wejście i wszedł przed nią do środka. Dolna szuflada zareagowała na jego oficjalny kod i wysunęła się na bezszelestnych rolkach. Ripley przysunęła się do niego, by stanąć obok. Razem spoglądali na małe, spokojne ciało.

- Proszę mi dać chwilę czasu.

Clemens skinął głową i przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, by pogrzebać przy monitorze. Od czasu do czasu odwracał się i spoglądał na swą towarzyszkę, która dokonywała oględzin zwłok dziewczynki. Mimo uczuć, jakie z pewnością ją rozdzierały, robiła to sprawnie i dokładnie. Kiedy uznał, że skończyła, odezwał się:

- Wszystko w porządku?

Oczekiwał skinięcia głową, być może ostatniego westchnienia. Z pewnością jednak nie spodziewał się tego, co po chwili powiedziała.



- Nie. Potrzebna będzie sekcja.

- Pani żartuje. - Wbił w nią wzrok.

- W żadnym wypadku. Czy sądzi pan, że lubię żartować? Musimy się upewnić, w jaki sposób zmarła.

Wzrok Ripley był twardy jak stal.

- Powiedziałem już pani. Utonęła. - Zaczął chować szufladę, lecz powstrzymała go.

- Nie jestem taka pewna. - Odetchnęła głęboko. Chcę, żeby pan otworzył ciało.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Proszę mnie posłuchać. Chyba jest pani dezorientowana. Połowa pani organizmu nadal przebywa w hibernacji.

- Niech pan posłucha - odparła całkowicie rzeczowym tonem. - Mam bardzo poważny powód, żeby o to prosić. Chcę, żeby pan to zrobił.

- Czy zechciałaby pani wyjawić mi ten powód? - Był bardzo opanowany.

Zawahała się.

- Czy nie wystarczy, że o to proszę?

- Nie, nie wystarczy. "Prośba bliskiej znajomej" nie jest wytłumaczeniem dla inspektorów Towarzystwa. Musi pani powiedzieć mi więcej.

Stał i czekał zniecierpliwiony.

- Zgoda - odparła wreszcie. - Ryzyko infekcji.

- jakiego rodzaju "infekcji"? - warknął.

Najwyraźniej zdołała go zainteresować.

- Nie jestem lekarzem. Pan nim jest.

Potrząsnął głową.

- Musi mi pani powiedzieć więcej.

- Infekcji cholery. - Spojrzała na niego wyzywająco. Jej determinacja była godna uznania.

- Nie mówi pani poważnie. Od dwustu lat nie zanotowano ani jednego przypadku. No dobra, czekam na następny kawał. W tym miejscu jest mało okazji do śmiechu. Może ospa? Denga?

- Mówię panu. Cholera. Byłam członkiem ekipy bojowej, która rzuciła bombę atomową na Acheron. Eksperymentowali tam z najróżniejszymi zmutowanymi bakteriami i wirusami w, jak im się zdawało, bezpiecznym, odizolowanym środowisku. Może zna pan niektóre z przedmiotów zainteresowania Towarzystwa. Infekcja wymknęła się spod kontroli... i zaczęła się szerzyć. Była wyjątkowo zjadliwa. Nie znaleziono skutecznego antidotum. Nie sposób też było jej powstrzymać, choć znajdujący się tam ludzie próbowali tego dokonać.

- Więc rzucili bombę? Mam wrażenie, że to dość radykalna recepta. Rzecz jasna nie dociera tu zbyt wiele wiadomości, ale Sądzę, że o tym byśmy usłyszeli.

- Czyżby? Coś mi się zdaje, że pracuje pan dla innego Towarzystwa niż ja. Możliwe zresztą, że wiadomość do was dotarła. Wasz naczelnik nie wygląda mi na szczególnie gadatliwego faceta. Może wie o tym wszystko i uznał tylko, że nie ma potrzeby dzielić się tą informacją.

- Aha.

Clemens musiał przyznać, że skutecznie zamieszała mu w głowie. No i wzbudziła ciekawość. Czy Andrews faktycznie ukrywał tę informację? Nie był właściwie zobowiązany do powiadamiania więźniów o aktualnych wydarzeniach.

Ale cholera? Zmutowana bakteria czy nie, cała opowieść wyglądała jednak na lipę. A jeśli Ripley mówiła prawdę i zwłoki dziewczynki są zarażone czymś, czemu, być może, nie zdołają się przeciwstawić...

A może była to półprawda. Może istniało niebezpieczeństwo jakiejś innej infekcji, a

historijkę o cholercie wymyśliła na poczekaniu. Najwyraźniej uważała, że ma ku temu powody. Była wojskowym. Co, u diabła, mógł na ten temat wiedzieć?

Stała w milczeniu. Obserwowała go. Czekała.

Co mi szkodzi, do diabła, pomyślał.

- Jak sobie pani życzy.

W porównaniu z kostnicą reszta nie zmienionego, zaniedbanego kompleksu była równie radosna i jasna jak alpejska łąka w pełnym rozkwicie wiosny. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się szereg szuflad z nierdzewnej stali. Do niektórych przytwierdzono paski z oznaczeniami kodowymi. Twarde, pokrywające podłogę kafelki były pokruszone i popękane. Łatwo byłoby wszystko odnowić, brakowało im jednak narzędzi i umiejętności, a poza tym nikomu na tym nie zależało.

Na środku pomieszczenia stał lśniący kremowo biały stół, nieskazitelnie pusty pod zawieszonymi u góry lampami. Odziany w fartuch i maskę Clemens nachylił się nad przygotowanymi do sekcji zwłokami dziewczynki. Dokonał pierwszego nacięcia za pomocą skalpela, po czym zatrzymał się, by wytrzeć pot z czoła. Nie robił sekcji od lat. Nie tylko że wyszedł całkowicie z wprawy, lecz i nie był też pewien, po co to w ogóle robi w tej chwili. Piła przecięła cicho i skutecznie maleńką klatkę piersiową.

- Jest pani pewna, że trzeba to zrobić do końca? zapytał gapiącą się Ripley. Nie zwróciła na niego uwagi. Obserwowała w milczeniu z sercem zimnym, a uczuciami ukrytymi bezpiecznie w miejscu, gdzie nie będą przeszkadzać. Wzruszył ramionami i wrócił do pracy. Wsunął obie ukryte w rękawiczkach dłonie do otworu, który wykonał, oparł je o siebie kostkami palców, zaczerpnął głęboko powietrza i rozciągnął krawędzie otworu z całej siły, rozrywając klatkę i odsłaniając jej wnętrze. Zajrzał w skupieniu do środka. Od czasu do czasu nachylał się, by spojrzeć z boku pod innym kątem. Wreszcie wyprostował się i rozluźnił

palce.

- Nie mamy tu nic niezwykłego. Wszystko jest na swoim miejscu. Nic nie brakuje.

Żadnych oznak choroby, niezwykłych odbarwień czy cech infekcji. Zwróciłem szczególną uwagę na płuca. Można zgoła powiedzieć, że są anormalnie zdrowe. Wypełnione płynem, tak jak podejrzewałem. Jestem pewien, że analiza wykaże, iż jest to woda morska z Fioriny.

Raczej dziwny stan, jak na cholere, hmm?

Dokonał ostatniego, poprzecznego cięcia, zajrzał do środka, po czym spojrzał w górę.

- Nadal nic. Zadowolona?

Odwróciła się.

A teraz, ponieważ nie jestem zupełnym durniem, czy zechce mi pani powiedzieć, czego naprawdę pani szuka?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi na drugim końcu pomieszczenia otworzyły się gwałtownie, uderzając z łoskotem o ścianę wewnątrz sali. Dwie posępne postacie, które wkroczyły do środka, nie zwróciły na to uwagi.

Wyraz twarzy Andrews'a był jeszcze mniej radosny niż zwykle.

- Panie Clemens.

- Panie naczelniku - odpowiedział Clemens w sposób regulaminowy, lecz nie unizony.

Ripley z zainteresowaniem obserwowała nie wyrażoną w słowach rozgrywkę pomiędzy nimi.

- Mam wrażenie, że nie poznał pan jeszcze porucznik Ripley.

Podejrzewała, że tęgi naczelnik zatrzymał na niej swe taksujące spojrzenie dłużej, niż było to jego zamiarem. Przeniósł uwagę na stół operacyjny, a potem znów na technika medycznego.

- Co się tu dzieje, panie Clemens?

- No właśnie, sir - pisnął Aaron stanowiący odbicie swego szefa zarówno w słowach, jak i

pod względem budowy. - Co się tu dzieje, panie Clemens?

- Po pierwsze przyjemnie mi powiadomić pana, że porucznik Ripley czuje się już znacznie lepiej. Jak pan widzi, jest w całkiem dobrym stanie fizycznym. - Andrews nie zareagował na zaczepkę. Lekko rozczarowany Clemens ciągnął. - Po drugie w interesie zdrowia i bezpieczeństwa publicznego dokonuję sekcji zwłok zmarłego dziecka.

- Bez mojego pozwolenia? - naczelnik niemal zawarczał.

Technik nie przestraszył się w najmniejszym stopniu. - Miałem wrażenie, że nie ma na to czasu - odparł rzeczowym tonem.

Andrews uniósł lekko brwi.

- Niech pan nie gada bzdur, Clemens. Czas to jedyna rzecz, której mamy na Fiorinie pod dostatkiem.

- Chciałem powiedzieć, że porucznik niepokoiła się, iż w ciele może się znajdować zmutowany zakaźny organizm.

Naczelnik spojrzał w milczeniu na Ripley.

- Czy to prawda?

Skinęła głową, nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień.

- Okazało się, że wszystko w porządku - wtrącił się Clemens. - Ciało jest całkowicie normalne i nie wykazuje żadnych oznak infekcji. Byłem pewien - dokończył suchym tonem - że chciałby pan, bym załatwił tę sprawę jak najszybciej. Dlatego zdecydowałem się przystąpić do roboty natychmiast.

Niemal widać myśli tańczące w mózgu Andrewsa, pomyślała Ripley. Fermentujące.

- Dobrze - oznajmił wreszcie naczelnik. - Ale lepiej by było, gdyby porucznik Ripley nie paradowała na oczach więźniów tak, jak mi powiedziano, że zrobiła to w ciągu ostatniej godziny. Bez względu na półklasztorne śluby. Rozumie pani, pani porucznik, nie ma w tym

nie osobistego. Radzę to pani zarówno ze względu na pani bezpieczeństwo, jak i dla mojego spokoju.

- Mogę to zrozumieć - odparła na w pół uśmiechnięta.

- Nie wątpię. - Odwrócił się do technika. – Dobrze by też było, gdyby informował mnie pan o wszelkich zmianach w jej stanie. Wciąganie podobnych rzeczy do dziennika należy do moich zadań. Czy może żądam za wiele?

Ripley postąpiła krok naprzód.

- Musimy dokonać kremacji ciał.

Andrews zmarszczył brwi.

- Bzdura. Zatrzymamy je w lodówce, zanim nie przybędzie ekipa ratunkowa. Trzeba będzie wypełnić pewne formularze. Nie posiadam tego rodzaju swobody jurysdykcyjnej.

- Kremacja... dobre sobie, sir - zachichotał zawsze pragnący się przypodobać Aaron.

- Niech pan posłucha, to nie jest bezpodstawne żądanie - stwierdziła Ripley. - Nie chodzi tu bynajmniej o... uczucia osobiste. Kwestia dotyczy zdrowia publicznego. - Spojrzała wyczekująco na Clemensa.

Co u diabła aż tak ją niepokoi? zastanawiał się tamten. Na głos powiedział:

- Porucznik Ripley uważa, że nadal istnieje niebezpieczeństwo choroby zakaźnej.

Naczelnik zmrużył podejrzliwie oczy.

- Zdawało mi się, że pan powiedział, iż nie było żadnych śladów choroby.

- Stwierdziłem tylko, że o ile wiem, ciało było czyste i nie wykazywało oznak infekcji.

Wie pan, jak nowoczesnym sprzętem dysponuję i jak znakomitą reputacją cieszę się w międzyplanetarnym świecie medycznym.

Andrews chrząknął ze zrozumieniem.

- Nawet jeśli oznajmiłem, że ciało jest wolne od infekcji, nie musi to wcale oznaczać, że

tak faktycznie jest. Wygląda na to, że dziecko po prostu się utopiło, choć bez odpowiednich testów nie sposób tego stwierdzić z absolutną pewnością. Sądzę zatem, że byłoby nierozsądne ryzykować choćby najmniejszą możliwością, że zmutowany wirus wydostanie się na swobodę wewnątrz kompleksu. Nie wydaje mi się też, by członkowie ekipy ratunkowej byli zadowoleni odkrywając, że nie zastosowaliśmy wszystkich środków ostrożności. Mogliby się trzymać od nas z daleka, a my przecież bardzo cenimy te tak rzadko składane nam wizyty, prawda? Nie potrzebuję też dodawać, że gdyby zarazki, dla których zniszczenia piechota morska musiała rzucić na Acheron bombę atomową, rozprzestrzeniły się, wyglądałoby to bardzo niekorzystnie w pańskich aktach, prawda? Zakładając, że pozostałby pan przy życiu.

Andrews wyglądał na mocno nieszczęśliwego.

- Zamrożenie ciała powinno unieszkodliwić wszelkie wirusy.

- Niekoniecznie - powiedziała mu Ripley.

- Skąd pani wie, że nie?

- Mówimy o skomplikowanych, sztucznie wywołanych mutacjach. Skąd pan wie, jak się zachowują?

Naczelnik zaklął pod nosem. Miał coraz bardziej zakłopotany wyraz twarzy.

- W tej chwili znajduje się tu dwudziestu pięciu więźniów. W drugiej kolejności pełnią oni funkcję dozorców. Wszyscy mają podwójny chromosom Y, a więc są wśród nich dawni zawodowi przestępcy, złodzieje, gwałciciele, mordercy, podpalacze, napastujący dzieci, handlarze narkotyków... swołocz - przerwał dla zwiększenia efektu. Jednakże ta swołocz zaraziła się religią. Mogą się wydawać łagodni, osobiście jednak nie uważam, żeby stali się mniej niebezpieczni. Niemniej doceniam łagodzący efekt ich przekonań, staram się więc ich nie obrażać. Oni mają uznanie dla mojej tolerancji i odwdzięczają mi się zachowaniem spokojniejszym, niż można by się tego spodziewać w podobnej sytuacji. Nie chcę burzyć

ustalonego porządku. Nie chcę mącić wody. A już zwłaszcza nie chcę, żeby kobieta włączyła się pomiędzy nimi, podsuwając im różne pomysły i budząc wspomnienia, które udało im się szczęśliwie pogrzebać w przeszłości.

- Tak - zgodziła się Ripley. - To oczywiste, jak pan sam powiedział, ze względu na moje własne bezpieczeństwo. Ponadto, wbrew temu, co pan najwyraźniej myśli, nie jestem całkowicie nieświadoma dodatkowych problemów, jakich przyczyniam panu moją tymczasową obecnością w tym miejscu.

- No właśnie. - Andrews był wyraźnie zadowolony, że okazała chęć współpracy. Albo, innymi słowy, jak największego ułatwienia mu życia. Spojrzał ponownie na technika. - Pan załatwi szczegóły kremacji, panie Clemens. - Odwrócił się i skierował ku wyjściu.

- Jeszcze jedno, panie naczelniku.

Andrews zatrzymał się.

- Słucham?

- Kiedy skończę, czy zechce pan otrzymać raport odnośnie czasu i okoliczności? Do oficjalnego dziennika, rzecz jasna.

Andrews wyjął wargi w zamyśleniu.

- To nie będzie konieczne, panie Clemens. Niech mnie pan tylko powiadomi przez interkom. Ja się zajmę resztą.

- Jak pan sobie życzy, panie naczelniku. - Clemens uśmiechnął się niewyraźnie.



## 4.

Mięso. Niektóre rodzaje znajome, inne nie. Ciemna, rdzawa czerwień poprzesywana błyskami jaśniejszego koloru karmazynowego. Małe tusze zwisające ze starych haków.

Wielkie kloce, z których sterczą wyniosłości - wspomnienia poobcinanych kończyn - zarysowane na tle zamrożonego tłuszczu.

Tuż obok kury i bydło, nieświadome swego przyszłego losu. Samotna owca. Żywe mięso.

Większa część hali była pusta. Rzeźnię zbudowano z myślą o zaspokojeniu codziennych potrzeb setek techników, górników oraz pracowników rafinerii. Była o wiele za duża jak na potrzeby więźniów, którzy pełnili funkcję dozorców. Mogli zostawić więcej miejsca pomiędzy zapasami, jednakże rozległa tylna część olbrzymiej sali, z jej echem wytaczania krwi, cięcia i rąbania, była miejscem, którego woleli unikać. Czało się tam zbyt wiele ożywionych duchów, szukających kształtu pośród kotłujących się cząsteczek zanieczyszczonego powietrza.

Dwaj mężczyźni borykali się wspólnie z wózkiem, na którym spoczywała nieporęczna tusza martwego wołu. Frank próbował kierować pojazdem, podczas gdy Murphy starał się uruchomić samoładujący się silnik. Ten jednak krztusił się i iskrzył żałośnie. Kiedy się zupełnie zużyje, uruchomią po prostu następny wózek. Wśród mieszkańców więzienia nie było żadnego specjalisty w zakresie napraw.

Frank wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć. Jego znacznie młodszy towarzysz był o wiele mniej wyniszczony. Jedyne oczy Murphy'ego zdradzały skrytą naturę kogoś, kto krył się nieustannie przed prawem od chwili, gdy osiągnął wiek wystarczający, by rozpatrzyć możliwość pracy bez trzymywania się konkretnej posady. Znacznie łatwiej przywłaszczać sobie zarobki innych, najchętniej, lecz niekoniecznie bez ich wiedzy. Czasami go łapano, czasami zaś nie.

Owego ostatniego razu przebrał miarękę i wysłano go, by odbył swój wyrok na gościnnej egzotycznej Fiorinie.

Murphy dotknął przełącznika i masywna tusza zwała się na mocno poplamioną podłogę.

Frank czekał już z łańcuchami. Razem umocowali je wokół tylnych nóg zwierzęcia i zaczęli podnosić tuszę z podłogi, używając kołowrotu. Uniosła się powoli, drżąc, w nierównych szarpnięciach. Cienkie, lecz nadspodziewanie mocne ogniwa ze stopu zaszczękały pod wpływem obciążenia.

- No, przynajmniej w tym roku Boże Narodzenie będzie wcześniej. - Frank borykał się z ładunkiem, oddychając ciężko.

- Niby dlaczego? - zapytał Murphy.

- Każdy martwy wół to dobry wół.

- Boże, czy to nie racja. Śmierdzące sukinsyny, całe pokryte wszami. Wolę je zeżreć niż czyścić.

Frank spojrzał w stronę obór.

- Zostały jeszcze trzy bydlaki i koniec z tą zabawą. Boże, nie znoszę polewania węzem tych zwierzątek. Zawsze mam potem gówno na butach.

Murphy ssał dolną wargę. Myślami był daleko stąd.

- Jak już mowa o wężu, Frank...

- Hę?

W głosie drugiego z mężczyzn zabrzmiały wspomnienia. Ich cień padł na jego twarz. Nie były przyjemne.

- Chcę powiedzieć, że gdybyś miał okazję... przypuścimy... co byś jej powiedział?

Jego towarzysz zmarszczył brwi.

- Że niby jak, okazję?

- No, wiesz. Okazję. - Murphy oddychał teraz ciężiej.

Frank zamyślił się.

- Że niby tak po prostu?

- No. Gdyby przyszła sama, kurwa, bez Andrewsa czy Clemensa. Jak byś jej to powiedział, gdybyś ją spotkał na stołówce albo gdzieś?

Oczy drugiego z mężczyzn zalśniły.

- Nie ma sprawy. Nigdy nie miałem trudności z paniami. Powiedziałbym: Dzień dobry, najdroższa. Jak leci? Czy mogę w czymś pomóc? Potem bym ją sobie obejrzał. Kapujesz, od stóp do głów. Potem bym mrugnął do niej i uśmiechnął się paskudnie, a ona już by się pokapowała.

- Jasne - odparł Murphy z ironią. - Uśmiechnęłaby się i powiedziała: Pocałuj mnie w dupę, ty stary, niewyżyty kutasie.

- Z chęcią bym ją pocałował w dupę. Albo gdzie by tylko chciała.

- No - twarz Murphy'ego pociemniała złowieszczo ale kobietę trzeba trzymać krótko, no nie, Frank?

Starszy mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Królowe trzeba traktować jak kurwy, a kurwy jak królowe. To się zawsze sprawdza.

Pociągnęli wspólnie łańcuchy, aż wreszcie umieścili tuszę w odpowiednim miejscu.

Następnie Frank umocował podnośnik i cofnęli się obaj, pozwalając, by martwe zwierzę zwisło na łańcuchu.

Zamyślili się i milczenie zapadło między nimi na dłuższą chwilę. Wreszcie Frank zaklął od niechcienia.

- Frank?

- He?

- Jak myślisz, co zabiło Babę? - Wskazał głową w stronę tuszy.

Frank wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Po prostu odwaliła kitę. Może atak serca.

- Niby skąd atak serca? - odezwał się z drugiej strony wózka Murphy. - Ile miała lat?

- W papierach napisali jedenaście. W sile wieku. Jej pech, nasze szczęście. Wiesz, że naczelnik nie pozwala nam zabić żadnego zwierzaka na mięso, chyba że przy specjalnych okazjach. Co do mnie, uważam to za premię za dobrze wykonaną robotę. Obrobimy ją i będzie z niej gulasz. Taki wielki zwierzak powinien wystarczyć na długo. Suszona żywność zacznie smakować jak prawdziwe żarcie.

- No! - Murphy czuł już smak gulaszu wylanego na gorące bochny samorosnącego i samopiekącego się chleba z magazynów.

Coś na wózku przykuło jego uwagę. Cokolwiek to było, zostało zmiążdżone na płask pod masywnym kadłubem martwego zwierzęcia. Wciąż można było dostrzec małe, dyskoksztalne ciało, gruby giętki ogon i dużą liczbę pajęczych odnóży, zmiążdżonych teraz i połamanych. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy ujął je za ogon. Połamane odnóża zwisły bezwładnie.

- Co to takiego?

Frank nachylił się, żeby przyjrzeć się z bliska i wzruszył obojętnie ramionami.

- Nie wiem. Co ja, kurwa, jestem, ksenolog? Wygląda jak jakaś meduza z plaży.

Drugi z mężczyzn wciągnął powietrze. Stwór nie wydzieliał żadnego zapachu.

- Jasne.

Odrzucił go obojętnie na bok.

Huta ołowiu była swojego rodzaju płynnym piekłem, pełnym ognia i buzujących fal ciepła, w którym zarówno wzrok, jak i obserwowane przedmioty falowały, jak gdyby ich zarysy stawały się nieokreślone. Podobnie jak większą część kopalni, pozostawiono ją w

stanie praktycznie nienaruszonym. Jediną różnicę stanowił fakt, że huta dostarczała więźniom zajęcia, gdyż wytapianie ołowiu było znacznie mniej skomplikowane niż, powiedzmy, produkcja platynowego drutu lub obsługiwanie ciężkiej maszynery. Mieszkańców Fioriny zachęcano do korzystania z urządzeń huty nie tylko dla zajęcia i rozrywki, lecz również po to, by umożliwić im zastępowanie niektórych z psujących się elementów nowymi.

W tej chwili automatyczne urządzenia wyciągały płynny ołów z rozżarzonego kotła w cienkie rury, którymi miano zastąpić zniszczone, znajdujące się w starszej części kopalni.

Pełniący dyżur więźniowie obserwowali zautomatyzowaną w znacznym stopniu procedurę ze znużeniem i fascynacją na przemian. Praca w hucie cieszyła się popularnością nie tylko dlatego, że dostarczała możliwości rozrywki, lecz również dlatego, że huta była niezmiennie jednym z najcieplejszych miejsc w całym kompleksie.

- Pójdiesz? - Człowiek, który zadał pytanie, dokonał odczytu dwóch prostych parametrów na konsoli monitorowej. Jak zwykle mieściły się one w granicach dopuszczalności.

Jego towarzysz zmarszczył brwi.

- Jeszcze nie wiem. To nie ma z nami nic wspólnego.

- Zawsze jakieś urozmaicenie.

- No, kurwą, nie wiem.

Trzeci mężczyzna odwrócił się od gorącego kotła i przesunął okulary ochronne na czoło.

- Dillon będzie?

W tej samej chwili, gdy zadał pytanie, pojawił się wysoki więzień, o którym była mowa.

Szedł szybko w ich stronę po metalowym pomoście.

- Wyłączcie to - powiedział po prostu, gdy już do nich dotarł.

Pierwszy z więźniów posłusznie przesunął dźwignię i kocioł natychmiast zaczął stygnąć.

- No i jak, facet? - zapytał mężczyzna w okularach ochronnych, mrugając oczyma, by usunąć z nich cząsteczki pyłu.

- No - odezwał się więzień stojący w środku. - Gadaliśmy o tym, ale nie mogliśmy nic postanowić.

- Już postanowione - poinformował go Dillon. Jego wzrok spoczął po kolei na każdym z nich. - Wszyscy pójdziemy. Może i nie znaliśmy tych ludzi, ale okażemy im szacunek. Jak chcą spalić zwłoki, to proszę bardzo, pod warunkiem, że to nie żaden z nas. - Przekazawszy im tę informację odwrócił się i odszedł.

Trzej mężczyźni podążyli za nim. Ten, który miał okulary ochronne, zawiesił je sobie na szyi.

- Dawno już nie mieliśmy pogrzebu.

- Zgadza się - przytaknął jego towarzysz ponurym tonem. - Jakoś mi tego, kurczę, było brak. To całkiem jak odjazd, kapujesz? Odjazd stąd.

- Powiem: "Amen", bracie - odparł pierwszy z mężczyzn przyspieszając kroku, by nadążyć za wyższym Dillonem.

Stary piec skrzypiał i jęczał, gdy przebudzono go do życia. Olbrzymią halę wykuto i uformowano za pomocą środków wybuchowych w litej skale bezpośrednio nad złożem rudy, po czym tam, gdzie to było potrzebne, otoczono odbijającymi ciepło osłonami. Wzdłuż przejść i balustrad widniały monitory i tablice rozdzielcze. Dźwigi i inny ciężki sprzęt gaśnicowy spoczywały spokojnie tam, gdzie pozostawili je odjeżdżający górnicy. W półmroku wywołanym przez zredukowane oświetlenie przypominały mezozoiczne skamieniałości zbiegłe z jakiegoś odległego muzeum.

Płomienie zaczęły migotać wokół ściętych skośnie krawędzi wykopu. Na ich tle posępne postacie dwóch więźniów stojących na dźwigu zawieszonym nad czeluścią wydawały się

wyższe niż w rzeczywistości. Pomiędzy sobą trzymali dwa nylonowe worki. Ich bezwładna zawartość sprawiała, że w połowie długości w widoczny sposób ciążyły ku ziemi.

Ripley spojrzała w górę na mężczyzn i ich brzemię. Zaciśnęła dłonie na poręczy oddzielającej ją od znajdującego się poniżej sztucznego piekła. Clemens stał tuż obok niej. Chciał coś powiedzieć, lecz jak zwykle nie mógł znaleźć właściwych słów. Zużył już wszystkie znane sobie słowa pocieszenia dla siebie samego przed dobrymi paroma laty i teraz stwierdził, że nie pozostało mu już nic dla samotnej, opuszczonej kobiety, która stała tuż obok niego.

Byli tam też Aaron, a także Dillon i wielu innych więźniów. Mimo faktu, że zabity mężczyzna był w istocie przedstawicielem rządowego aparatu przymusu, nikt się nie uśmiechał ani nie wypowiadał sarkastycznych uwag. Śmierć była dla nich wszystkich zbyt dobrze znaną towarzyszką, z którą aż nazbyt często stykali się w życiu codziennym, by mogli traktować ją bez szacunku.

Andrews chrząknął donośnie i otworzył cienką książeczkę, którą przyniósł ze sobą.

- Oddajemy to dziecko i tego mężczyznę pod twoją opiekę, o Panie. Ich ciała zabrano z cienia naszych nocy. Są już wolni od wszelkiej ciemności i bólu. Nie pozwól, by ich dusze błąkały się w pustce, lecz przyjmij je do siebie wraz z tymi, które podażyły przed nimi.

W sterowni na dole więzień nazwiskiem Troy słuchał przez interkom uroczystości odbywającej się na pomoście ponad nim. Gdy Andrews dotarł już do wyznaczonego miejsca w swej mowie, więzień ów zaczął manipulować tablicą rozdzielczą. Światła ostrzegawcze zmieniły kolor z żółtego na zielony. Za nim rozległ się głęboki jęk, który przeszedł w głośną skargę, po czym umilkł. Rozbłyły kolejne światła.

Pod pomostem gorący biały płomień wypełnił wykop. Głośny ryk robił w półmroku głębokie wrażenie. Tym razem na spotkanie z ogniem nie oczekiwała góra rudy. Tłum

techników nie stał gotowy do nadzorowania procesu przeróbki ton skalistego gruzu na szlakę.

Płomienie przypalały ściany wykopu i nic poza tym.

Łzy ściekały wolno po policzkach Ripley, gdy patrzyła na tę kontrolowaną pożogę.

Milczała, pogrążona w smutku i wspomnieniach. Nie wydawała z siebie żadnych dźwięków.

Były tylko łzy. Clemens spoglądał na nią z sympatią. Pragnął wziąć ją w ramiona, objąć,

pocieszyć. Byli tam jednak inni, wśród nich Andrews. Nie ruszył się z miejsca.

- To dziecko i ten mężczyzna opuścili nasz świat ciągnął Andrews. - Ich ciała spoczywają

w prochu, lecz dusze są na zawsze wieczne i nieśmiertelne.

- My, którzy cierpimy, zadajemy pytanie: Dlaczego? Spojrzenia przeniosły się z

naczelnika na Dillona. - Dlaczego niewinni cierpią karę? Po co istnieje poświęcenie? Po co

ból? Nie ma żadnych obietnic - recytował uroczystym tonem wysoki więzień. - Nie ma

pewności poza tą, że niektórzy będą powołani. Niekterzy będą zbawieni.

Żar buchający z pieca stał się w końcu nie do zniesienia. Ludzie stojący na dźwigu

zakołysali swym brzemieniem kilka razy i cisnęli je w czeluść, po czym pośpiesznie wycofali

się ku chłodniejszym klimatom. Worki opadły w dół, wykonawszy kilka obrotów, zanim

pochłonęło je gorejące inferno. Przy brzegu wykopu płomienie podskoczyły na chwilę nieco

w górę, w momencie gdy worki wraz ze swą zawartością uległy natychmiastowemu spaleni.

Ripley zachwiała się lekko i chwyciła Clemensa za ramię. Był zaskoczony, nie zawiódł

jednak jej oczekiwań, lecz dostarczył jej oparcia, którego potrzebowała. Pozostali mężczyźni

przypatrywali się im. W ich spojrzeniach nie było zazdrości, jedynie współczucie. Dillon nie

zwrócił uwagi na ten incydent. Recytował dalej.

- Lecz te duchy, które odeszły, nigdy nie zaznają trudu, żalu i bólu, które czekają tych z

nas, którzy pozostali. Oddajemy więc te ciała pustce z radością w sercu, ponieważ w każdym

nasionku kryje się zapowiedź kwiatu, a w każdej śmierci, nawet najmniejszej, zawsze jest



nowe życie. Nowy początek.

W rzeźni coś się poruszyło pomiędzy zwisającymi tuszami i przypominającymi widmowych tancerzy płatkami zamrożonego powietrza. Masywne ciało wołu zadrżało i rozpoczęło potępieńczy taniec na podtrzymujących je łańcuchach.

Nikt nie widział, jak brzuch wydał się i rozciągnął, aż martwa skóra naprężyła się niczym powłoka oszalałego sterowca. Nikt nie widział, jak pękła pod wpływem naporu, a w powietrze trysnęły kawałki mięsa i tłuszczu. Organy wewnętrzne - wątroba, żołądek i długie sploty jelit - plasnęły z trzaskiem o podłogę. A wraz z nimi coś jeszcze.

Głowa uniosła się gwałtownie w górę ruchem pełnym spazmatycznej, instynktownej pewności i zatoczyła nieśpieszne krąg. Skondensowana zmora badała otoczenie. Już polowała. Stworzenie zaczęło pełzać, z początku niezgrabnie, lecz zdumiewająco szybko jego poszukiwania nabrały pewności. Odnalazło kanał powietrzny i badało go przez chwilę, zanim skryło się wewnątrz.

Od chwili, w której wyłoniło się z brzucha wołu, do dobrze zaplanowanego zniknięcia, upłynęła niespełna minuta.

Zakończywszy przemowę Dillon pochylił głowę. Pozostali więźniowie postąpili tak samo.

Ripley spojrzała na nich, po czym przeniosła wzrok w stronę wykopu, gdzie ogień przygaszano za pomocą elektronicznego regulatora. Uniosła rękę i podrapała się w głowę, a potem w ucho. W chwilę później zrobiła to znowu. Tym razem przyjrzała się swoim palcom.

Były pokryte czymś, co wyglądało jak ciemny ruchliwy pył.

Wytarła je gwałtownie z obrzydzeniem o pożyczony skafander. Podniosła wzrok i ujrzała, jak Clemens przypatruje się jej ze zrozumieniem.

- Ostrzegalem panią.

- Dobra, przekonał mnie pan. Co mam z tym zrobić?

- Można się przyzwyczaić - oznajmił - albo... - Potarł swą łysą czaszkę i uśmiechnął się z żalem.

Skrzywiła się.

- Nie ma innej rady?

Potrząsnął głową.

- Gdyby istniał jakiś sposób, już byśmy go odkryli. Co prawda nikt specjalnie nie szukał.

Próżność to jedna z paru cech charakteru, które w pierwszej kolejności dostają w kość na Fiorinie. Lepiej niech to pani zrobi, dla wygody po prostu. Odrosną, gdy już pani odleci, a jeśli nic pani nie zrobi, i tak wszy zeżrą je przez ten czas aż do skóry. Są co prawda malutkie, ale mają wielki apetyt i paskudnie zachowują się przy stole. Proszę mi uwierzyć. Będzie pani gorzej wyglądać, jeśli spróbuje je pani zignorować, a poza tym będzie się pani drapać jak szalona.

Spuściła głowę.

- Dobra. którądy do salonu kosmetycznego?

- Obawiam się, że to ja nim jestem - odparł technik przeproszającym tonem.

Szereg natrysków sprawiał ponure, sterylne wrażenie jasna biel w świetle sufitowych lamp. W tej chwili wszystkie natryski poza jednym były puste. Podczas gdy gorąca, chemicznie uzdatniona woda spływała po jej ciele, Ripley przejrzała się w lustrze stanowiącym część jednej ze ścian.

Dziwnie się czuła bez włosów. Stanowiły tak nie znaczną, ulotną część ciała. Jedyne element wyglądu, który można w każdej chwili zmienić bez większego wysiłku. Czuła się w jakiś sposób fizycznie umniejszona, jak królowa nagle pozbawiona korony. Ale włosy odrosną. Clemens ją o tym zapewnił. Więźniowie musieli golić się regularnie. Ani wszy, ani żaden składnik powietrza nie niszczyły włosów w sposób rwały.

Namydliła swą nagą czaszkę. Było to dziwne uczucie. Mimo że woda była gorąca, poczuła, iż przeszył ją dreszcz. W starej kopalni połączonej z hutą mogło brakować wielu rzeczy, lecz woda do nich nie należała. Wielki zakład odsalający wodę morską, który leżał nad zatoką, zbudowano z myślą o zaspokajaniu potrzeb całego kompleksu, w tym personelu w pełnej obsadzie. Nawet pracując na minimalnych obrotach, produkował tyle wody, że więźniowie mogli sobie pozwolić na jej marnowanie.

Zamknęła oczy i weszła z powrotem pod prysznic. Woda biła z całą mocą. Jej własnym zdaniem ostatnie dziesięć tysięcy lat historii ludzkiej cywilizacji stworzyło trzy naprawdę ważne wynalazki: mowę, pismo oraz wodociągi i kanalizację.

Poza natryskiem oczekiwała na nią stara śmierć oraz nowe problemy, chociaż te ostatnie nie wydawały się istotne w porównaniu z tym, przez co musiała przejść do tej pory

Clemens, Andrews i pozostali nic nie rozumieli. Nie byli w stanie niczego zrozumieć.

Ona zaś nie uważała, by wyjaśnianie wchodziło w zakres jej obowiązków.

Po tym, przez co przeszła, perspektywa spędzenia kilku tygodni w towarzystwie garstki zatwardziałyh kryminalistów napawała ją równym lękiem, jak spacer po parku.

Pomieszczenie, gdzie więźniowie spożywali posiłki, stanowiło, w czasie gdy kopalnia była czynna, stołówkę nadzorców. W dalszym ciągu przerastało ono skromne wymagania swoich użytkowników. Choć jednak sala nadal wywierała wrażenie, mimo że ogołocono ją z dawnych, kosztownych dekoracji, jedzenie było całkiem inną parą kaloszy. Mimo to skarżono się rzadko i niezbyt donośnie. Kuchnia nie reprezentowała może wysokich standardów sztuki kulinarnej, lecz za to jedzenia było pod dostatkiem. Towarzystwo nie zamierzało rozpieszczać swych przymusowych dozorców, nie chciało też jednak, by pomarli z głodu.

W określonym, powszechnie znanym przedziale czasu ludzie mogli jeść posiłek tam, gdzie chcieli. Ze względu na nadmiar miejsca wykazywali tendencję do zbijania się w małe

grupki. Kilku wołało jeść osobno. Ich samotności nikt nie zakłócał. W zamkniętym środowisku Fioriny wymuszona rozmowa była groźną rozmową.

Dillon wybrał sobie podgrzaną tackę i omiół wzrokiem salę. Mężczyźni gwarzyli ze sobą podczas posiłku, udając, że prowadzą normalne życie. Jak zwykle naczelnik i jego zastępca jedli w tej samej sali co więźniowie, choć siedzieli oddzielnie, z boku. Dillon bez słowa skierował się w stronę stolika, przy którym siedziało trzech ludzi o szczególnie zaabsorbowanym wyrazie twarzy. Nie, nie zaabsorbowanym, poprawił się. Posępnym. Cóż, na Fiorinie nie była to niespotykana sytuacja. Mimo to Dillon poczuł ciekawość. Golic uniósł wzrok, gdy cień wielkiego ciała nowo przybyłego padł na stół. Pośpiesznie odwrócił spojrzenie. Popatrzył w oczy kumplom - Boggsowi i Rainsowi. Cała trójka skupiła się na swych pozbawionych smaku posiłkach z nadzwyczajną intensywnością od chwili, gdy Dillon opadł na puste krzesło. Nie mieli nic przeciwko jego obecności, nie byli też jednak z niej zadowoleni.

Cała czwórka jadła w milczeniu. Dillon obserwował uważnie pozostałych, a oni zdawali sobie z tego sprawę, nikt jednak nie odezwał się ani słowem.

Wreszcie wielki mężczyzna miał tego dosyć. Zatrzymał rękę z łyżką w połowie drogi do ust i zwrócił się do Boggsa.

- No dobra. To czas na jedzenie i wzajemne oddziaływanie, a nie seminarium kontemplacyjne. Wszyscy gadają, że mamy tu jakieś zakłócenie harmonii. Któryś z was zechce mi powiedzieć, w czym sprawa?

Boggs odwrócił wzrok. Golic skoncentrował się na swojej brei. Dillon nie podniósł głosu, lecz wyraźnie można w nim było usłyszeć zniecierpliwienie.

- Powiedzcie mi to, bracia. Znacie mnie wszyscy i wiecie, że potrafię być nieustępliwy. Czuję, że coś was dręczy. Chcę wam tylko pomóc.

Łagodnym ruchem położył masywną, potężną pięść na stole obok tacki.

- Ulżyjcie swemu duchowi. Powiedzcie mi, w czym sprawa.

Rains zawahał się, po czym odłożył widelec i odepchnął tackę w kierunku środka stołu.

- No dobra, chcesz wiedzieć, co tu nie gra? Powiem ci to. Nauczyłem się radzić tu sobie.

Nigdy nie myślałem, że tak będzie, ale się nauczyłem. Nie przeszkadza mi ciemność. Nie

przeszkadzają mi wszy. Nie przeszkadza mi izolacja ani całe to gadanie o duchach w

maszynerii. Ale przeszkadza mi Golic. - Machnął ręką w kierunku osobnika, o którym mówił.

Ten nie przestawał z błogością pochłaniać jedzenia.

Dillon zwrócił się do Boggsa.

- Ty też tak sądzisz?

Boggs wciąż grzebał nerwowo w jedzeniu.

- Nie jestem facetem, który lubi rozrabiać. Chcę tylko żyć dobrze z innymi i odbyć

wyrok tak jak wszyscy.

Wielki mężczyzna pochylił się do przodu. Stół zatrzeszczał lekko pod jego ciężarem.

- Pytałem cię, czy ty też tak sądzisz.

- Już dobrze. Tak. No. Hej, ten facet to wariat. Wisi mi, co mówi Clemens czy "oficjalne"

sprawozdania. Jest stuknięty. Nawet jeśli nie był, kiedy tu trafił, to teraz mu odbiło.

Zwariował pod wpływem planety albo tego miejsca, czy może i tego, i tego. Kopci bez

przerwy i paskudnie śmierdzi. Nie wyjdę z nim więcej na zewnątrz. Ani na plażę, ani

sprawdzać tunele, ani nigdzie. I nikt mnie, kurwa, nie zmusi - dokończył bojowym tonem. -

Znam swoje prawa.

- Twoje prawa? - Dillon uśmiechnął się niewyraźnie. - No jasne. Twoje prawa. - Spojrzał

w lewo. - Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Golic podniósł wzrok. Cząsteczki jedzenia przywarły do jego grubych warg. Uśmiechnął

się jak idiota i spróbował wzruszyć obojętnie ramionami, po czym ponownie zajął się posiłkiem.

Dillon spojrział zdecydowanym wzrokiem na pozostałą dwójkę.

- To fakt, że Golic nie lubi mówić, ale to nie znaczy, że jest z niego wariat. Po prostu jest małomówny. Szczerze mówiąc, sądząc ze wszystkiego, co widziałem, potrafi wyrazić swe uczucia równie dobrze jak każdy. Nie ma tu krasomówców.

- Do rzeczy - wymamrotał z niezadowoleniem Boggs.

- Rzecz w tym, że Golic pójdzie z wami. Stanowi część waszej drużyny i pozostanie w niej, dopóki nie wprowadzimy zmian albo do chwili, gdy uczyni coś bardziej groźnego niż trzymanie gęby na kłódkę. Macie wspólnie robotę do wykonania. Uwierzcie mi, przyzwyczajcie się do Golica i jego drobnych słabostek. On jest tylko kolejnym biednym, nieszczęśliwym, cierpiącym sukinsynem, takim samym jak wy czy ja, a z tego wynika, że nie jest większym wariatem niż każdy z nas.

- Tylko że gorzej śmierdzi - odszczeknął z niesmakiem Rains.

- I jest wariatem - dodał nieustępliwy Boggs.

Dillon wyprostował się na krześle.

- Posłuchajcie, za bardzo się tym przejmujecie. Widziałem to już nieraz. Takie rzeczy się zdarzają, kiedy za cholere nie ma nic do roboty. Zaczynacie wybrzydzać na jedzenie, potem narzekać na wszy, a wreszcie czepiać się siebie nawzajem. Golic jest inny i to wszystko. Nie jest lepszy ani gorszy niż reszta z nas.

- Śmierdzi - mruknął Rains.

Dillon obrzucił go ostrzegawczym spojrzeniem.

- Nikt z nas tu nie jest chodzącym bukietem. Odpierdolcie się od niego. Macie robotę do wykonania. Cała trójka. To jest dobra robota.

- Nie prosiłem o nią - mruknął Boggs.

- Tutaj nikt o nic nie prosi. Bierzesz to, co dają, i cieszysz się z tego. To jest recepta na przetrwanie. Dla was i dla każdego. To nie jest jakieś zasrane więzienie na Ziemi. Jak zrobicie tu bunt, nie przyłecą żadni niezależni dziennikarze, by wysłuchiwać waszych skarg.

Osiągniecie tylko to, że wasza sytuacja stanie się znacznie bardziej nieprzyjemna. Albo zginiecie. - Boggs zaszurał stopami z niepokojem. - Teraz mnie posłuchajcie. Nie brak innych, którzy z chęcią przejmą od was robotę szperaczy. Na wypadek, gdybyście tego nie zauważyli, powiem wam, że Andrews nie jest teraz w najbardziej układny n nastroju. Nie radziłbym się do niego zwracać o zamianę przydziałów czy zmianę rozkładu służby.

- Wielki mężczyzna uśmiechnął się zachęcająco. - Hej, możecie pracować we własnym tempie i schodźcie tylko z oczu naczelnikowi i jego fagasowi. Może się wam poszczęści i znajdziecie coś dobrego, co będziecie mogli spróbować zatrzymać dla siebie.

- Już to widzę. - Rains był nadal rozgoryczony, lecz już w mniejszym stopniu. Dillon przypomniał mu o pewnych możliwościach.

- To już lepiej - powiedział ten ostatni. - Myśl tylko o pracy, a nawet nie zauważysz Golica. Jesteście szperaczami. Wiecie, co to oznacza. Polowanie na pozostawione zapasy i użyteczny sprzęt. Jak się dowiedzieliśmy z poprzednich wypraw poszukiwawczych, szlachetni, rzetelni górnicy z Weylanda-Yutaniego mieli ten pożyteczny zwyczaj, że przywłaszczali sobie zapasy należące do ich pracodawców i chomikowali je w małych prywatnych składzikach i schowkach, które wykuwali w skale, w nadziei, że uda im się przemycić część materiałów poza planetę i sprzedać je na wolnym rynku. Chcieli sobie dorobić do pensji. Nam to jest potrzebne do życia. Nie chcę już słyszeć żadnych sprzeciwów i nie zamierzam więcej na ten temat dyskutować. Jeśli będziecie się upierać, to znajdą się dla was gorsze zadania. Macie to zrobić po to, by pomóc swym towarzyszom-więźniom, a

również po to, by dowieść swej lojalności wobec mnie. Nie chcę już słyszeć ani słowa o biednym Golicu.

- Tak, ale... - Rains chciał się spierać, lecz przerwał, zanim zaczął na dobre.

Boggs podniósł wzrok. Podobnie Golic. Dillon odwrócił się powoli.

W drzwiach stała Ripley. Omiotła spojrzeniem jadalnię, w której od momentu jej wejścia zapanowała absolutna cisza. Dostrzegała wszystko, lecz nie spoglądała nikomu w oczy.

Podeszła do kolejki po jedzenie i obejrzała z niesmakiem identyczne tacki. Więzień obsługujący pozostałych gapił się na nią bezwstydnie. Manipulator zwisał mu bezwładnie z ręki. Wzięła z wielkiego plastikowego kosza pajdę chleba kukurydzianego, po czym odwróciła się i po raz drugi omiotła salę wzrokiem, aż wreszcie zatrzymała spojrzenie na Dillonie.

Ta milcząca scena przykuła uwagę Andrewsa i jego zastępcy w równym stopniu, jak więźniów. Naczelnik obserwował w zamyśleniu, jak porucznik podchodzi do stolika wielkiego mężczyzny i zatrzymuje się. Gdy zwrócił się z powrotem w stronę talerza, na jego twarzy widniał wyraz świadomej rezygnacji.

- Tak, jak myślałem, panie Aaron. Tak, jak myślałem. Jego zastępca zmarszczył brwi, wciąż gapiąc się na siedzącą po drugiej stronie sali Ripley.

- Pan to przewidział, sir. Co teraz?

Andrews westchnął.

- Nic. Jak na razie. Proszę jeść spokojnie.

Podniósł widelec i zagłębił go w parującą brązową masę spoczywającą na środku tacki.

Ripley stanęła naprzeciw Dillona, za Boggsem. Czwórka mężczyzn zajęła się posiłkiem, zdecydowana ignorować jej obecność.

- Dziękuję za pańskie słowa na pogrzebie. Pomogły mi. Nie przypuszczałam, że jestem



jeszcze zdolna reagować w podobny sposób na coś tak jałowego, jak słowa, byłam jednak w błędzie. Chciałam pana powiadomić, że cenię to sobie.

Wielki mężczyzna wbił wzrok w talerz. Szufłował jedzenie ze szczerą determinacją, która mogła zrobić wrażenie na obserwatorze. Kiedy nie chciała odejść, podniósł wreszcie wzrok.

- Nie powinno pani tu być. Nie na Fiorinie... w tej sprawie nie miała pani wyboru. W tym pomieszczeniu. Z nami. Powinna pani zostać w ambulatorium, gdzie jest pani miejsce. Nie rzucać się w oczy.

Odgryzła kawałek kukurydzianego chleba i przeżuła go w zamyśleniu. Jak na produkt oparty na suszonej żywności, był niemal smaczny.

- Byłam głodna.

- Clemens mógł pani coś przynieść.

- Nudziłam się.

Odłożył, sfrustrowany, widelec i podniósł wzrok, by spojrzeć na nią.

- Nie wiem, dlaczego pani to robi. Istnieją rzeczy gorsze od nudy. Nie wiem, dlaczego pani ze mną rozmawia. Nie chciałaby pani, żebym był pani znajomym, pani porucznik. Jestem mordercą i gwałcicielem. Kobiet.

- Doprawdy? - Uniosła brwi, które przerzedziła, lecz nie zgoliła ich całkowicie. - W takim razie pewnie czuje się pan w mojej obecności nerwowo.

Widelec Boggsa zatrzymał się w połowie drogi do ust. Rains zmarszczył brwi, Golic zaś po prostu jadł dalej, nie zwracając kompletnie uwagi na tę wymianę słów. Dillon zawahał się przez chwilę, po czym na jego zahartowaną twarz powoli wypłynął uśmiech. Skinął głową i

Ripley usiadła na jedynym wolnym krześle

- Czy masz w sobie wiarę, siostrze?

- W co? - zapytała, wgryzając się w chleb.

- W cokolwiek.

Nie potrzebowała przerwy na zastanowienie się.

- Nie za dużo.

Uniósł rękę i machnął dłonią - szeroki gest obejmujący jadalnię i jej mieszkańców.

- My tutaj mamy mnóstwo wiary. Nie mamy wiele więcej, to prawda, lecz wiara nam pozostała. Nie zajmuje ona dużo miejsca, ale Towarzystwo i rząd nie mogą nam jej odebrać i każdy z nas pełni straż przy swym prywatnym zapasie. W takim miejscu jak to wiara jest nie tylko przydatna. Jest cholernie potrzebna. W przeciwnym razie popadnie się w rozpacz, a to jest zgubą dla duszy. Rząd może odebrać ci wolność, ale nie duszę. Na Ziemi w podobnym miejscu sprawa wyglądałaby inaczej. To jednak nie jest Ziemia. Nawet nie system Sol. Tutaj ludzie reagują w inny sposób. Zarówno wolni ludzie, jak i więźniowie. Jesteśmy czymś mniej niż ludzie wolni, ale czymś więcej niż martwi. Jedną z rzeczy, które pozwalają nam w ten sposób wytrwać, jest nasza wiara. Mamy jej mnóstwo, pani porucznik. Wystarczy jej nawet dla pani.

Wielki mężczyzna nie wypadł z rytmu. Nie przestał też jeść.

- Czekamy - oznajmił z pełną powagą - aż Bóg powróci i odkupi swe sługi.

Zmarszczyła brwi.

- Myślę, że poczekać długo.

## 5.

Później Clemens pokazał jej salę zebrań, zwracając uwagę na szczegóły, które, jak sądził, mogły ją zainteresować. Wreszcie usiedli razem, sami w przestronnej sali. Siedzący obok więzień Martin zerwał się cicho z miejsca.

- Co wiesz o historii tego kompleksu?

- Tyle, ile mi opowiedziałeś. I co powiedział Andrews. Trochę też usłyszałam od niektórych więźniów.

- No. Widziałem, jak rozmawiałaś z Dillonem. - Nalał sobie odrobinę whisky z metalowej manierki, którą nosił ze sobą. Sufit majaczył wysoko w górze, cztery piętra nad nimi.

- Jest dość interesująca z psychospołecznego punktu widzenia. Dillon i cała reszta zarazili się, że tak powiem, religią, około pięciu lat temu.

- Co to za religia?

Clemens pociągnął łyk trunku.

- Nie wiem. Trudno powiedzieć. Jakiś rodzaj milenarystyczno-apokaliptycznej chrześcijańskiej mikstury fundamentalistycznej.

- Hmm.

- No właśnie. Rzecz w tym, że gdy Towarzystwo postanowiło zamknąć tę kopalnię, Dillon i pozostali nawróceni chcieli tu zostać. Towarzystwo nie marnuje podobnych okazji. Pozwolili więc im tu pozostać w charakterze dozorców w towarzystwie dwóch strażników i oficera medycznego. - Wskazał dłonią na opustoszałą salę zebrań. - Dlatego tu jesteśmy. Nie jest tak źle. Nikt nam nie patrzy na ręce, nikt nie zawraca głowy. Regularne zrzuty z przelatujących statków zaspokajają najistotniejsze potrzeby. Wolno nam robić użytek ze wszystkiego, co tu znajdziemy. Towarzystwo płaci też ludziom odsiadującym wyrok minimalną pensję dozorców, a to o całą cholere więcej niż więzień może zarobić w pudle na

Ziemi. Dla osłody ludzie mają chipy "oglądaj i czytaj" oraz swoją prywatną religię. Jedzenia jest pod dostatkiem, nawet jeśli jest odrobinę monotonne. Woda jest znośna i pod warunkiem, że golisz się regularnie, wszy nie sprawiają ci kłopotów. Szkodliwe miejscowe formy życia są nieliczne i nie mogą przedostać się do kompleksu. Gdyby pogoda była lepsza, byłoby tu niemal miło.

Pociągnęła w zamyśleniu łyk napoju.

- A co z tobą? W jaki sposób otrzymałeś ten wspaniały przydział?

Ujął kubek pomiędzy palcami, kołysząc nim do przodu i do tyłu oraz z boku na bok.

- Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale tu jest naprawdę znacznie lepiej niż w miejscu, w którym byłem poprzednio. Lubię, jak zostawiają mnie w spokoju. Jak nie zwracają na mnie uwagi. To jest dla mnie odpowiednie miejsce. Mój czas należy tylko do mnie, chyba że ktoś potrzebuje mojej uwagi lub coś sobie zrobi, co zdarza się znacznie rzadziej, niż mogłoby ci się wydawać. Mogę sobie siedzieć i czytać, oglądać filmy, badać kompleks albo zamknąć się w izolatce i wrzeszczeć wniebogłosy. - Uśmiechnął się ujmująco. - To znacznie lepsze niż mieć cały czas na głowie jakiegoś strażnika-sadystę lub płaczliwego więźnia.

Wskazał ręką na jej łysą czaszkę.

- Jak ci się podoba nowa fryzura?

Delikatnie przesunęła palcami po łysinie.

- Dziwne uczucie. Jakby włosy wciąż były na miejscu, ale kiedy się sięgnie po nie ręką, nie ma tam nic.

Skinął głową.

- To tak samo jak z kimś, kto stracił nogę i wydaje mu się, że nadal czuje swą stopę. Ciało to zabawne urządzenie, a umysł jest jeszcze znacznie zabawniejszy. - Osuszył swoją szklanekę i spojrzał jej w oczy. - Teraz, kiedy już zadarłem dla ciebie z Andrewsem w sprawie kremacji,

co zaszkodziło moim i tak już dalekim od doskonałości stosunkom z tym dobrym

człowiekiem, a także zapoznałem cię pobieżnie z nudną jak flaki z olejem historią Fury 361, może zechcesz mi powiedzieć, czego szukałaś w ciele tej dziewczynki? I dlaczego trzeba było skremować ciała?

Zaczęła mu odpowiadać, lecz przerwał jej ruchem uniesionej dłoni.

- Tylko proszę nie opowiadać mi o paskudnych zarazkach. Andrews miał rację. Chłodnia wystarczyłaby, by je unieszkodliwić. Dla ciebie to było jednak za mało. Chcę się dowiedzieć dlaczego.

Skinęła głową, odstawiła kubek i zwróciła się w jego stronę.

- Najpierw muszę się dowiedzieć czegoś innego.

Wzruszył ramionami.

- Słucham.

- Czy wydaję ci się atrakcyjna?

Przymrużył oczy. W chwili, gdy zastanawiał się, jak na to odpowiedzieć, usłyszał swój własny głos, jak gdyby jego wargi i język postanowiły nagle działać niezależnie od mózgu, co, stwierdził lekko zdumiony, wcale nie musiało być złe.

- Pod jakim względem?

- Pod takim.

Wszechświat był, najwyraźniej, wciąż pełen cudów, nawet jeśli nigdy nie rozstępujące się chmury Fioriny zasłaniały je przed wzrokiem.

- Jesteś raczej bezpośrednia. Ponieważ mówisz do kogoś, kto, jak już ci wspomniałem, jest dotknięty upodobaniem do samotności, wydaje mi się to cokolwiek zbijające z tropu.

- Przepraszam. Inaczej nie potrafię się zachowywać. Spędziłam w kosmosie długi czas.

- Tak - szepnął. - Ja też.

- Nie mam czasu na podchody. Nie mam czasu na wiele rzeczy, oprócz tych, które są naprawdę ważne. Tego musiałam się nauczyć.

Napełnił ponownie oba kubki, uniósł swój własny i zakręcił nim, przyglądając się nic nie wyjaśniającym wirom, które pojawiły się w płynie.

Łopaty wentylatora miały długość wzrostu postawnego mężczyzny. Dzięki temu mogły zasysać powietrze z powierzchni planety i kierować je w dół, ku kondensatorom, które oczyszczały, filtrowały i pozbawiały szkodliwych domieszek pełną pyłu atmosferę Fioriny, zanim skierowały wynik swej pracy do szybów i budowli. Mimo to efekt nie był doskonały. Atmosfera Fioriny była po prostu zbyt brudna.

Wentylatorów było dziesięć - po jednym na każdy szyb. Osiem milczało. Ostatnie dwa huczały połową obrotów, dostarczając powietrze do zachodniego kwadrantu kompleksu. Murphy podśpiewywał sobie przez maskę oddechową, która pokrywała jego nos i usta, odfiltrując pochodzące z powierzchni cząsteczki, zanim zostały one wessane przez wentylator. Na ścianach kanałów często gromadziły się osady węgla. Wypalał je laserem i obserwował, jak wentylator wciąga je spod jego stóp i kieruje ku filtrom. Nie była to najlepsza robota, jaką mogłeś tu dostać, nie była też jednak najgorsza. Wykonywał ją najlepiej, jak potrafił, bez pośpiechu. Nie dlatego, że go to choć trochę obchodziło lub że spodziewał się rychłego przybycia inspektorów Towarzystwa, lecz dlatego, że gdy tylko skończy z kanałami, dadzą mu do roboty coś innego, mógł więc równie dobrze oczyścić je jak najdokładniej i w ten sposób zabić jak najwięcej czasu.

Śpiewał fałszywie, lecz z entuzjazmem.

Nagle przerwał. We wnęce po jego lewej stronie nagromadziła się duża ilość osadu. Tak to już było z tymi cholernymi składowiskami. Zawsze osadzały się w nich wielkie stosy odpadków, które przedostały się przez filtry powierzchniowe. Uklęknął i sięgnął przed siebie

trzonkiem miotły, by wyciągnąć przedmiot. Dawał się ruszyć z łatwością, zupełnie nie przypominając kupy mulistego węgla.

Przedmiot był płaski i giętki. Z początku pomyślał, że jest to stary mundur, gdy jednak znalazł się w głównym kanale, ujrzał, że jest to skóra jakiegoś zwierzęcia. Ciemna i lśniąca. Przypominała raczej folię metalową niż część ciała. Jakiś dziwaczny materiał.

Gdy ją rozciągnął na podłodze, dostrzegł, że była wystarczająco wielka, by pomieścić dwóch ludzi albo młodego cielaka. Co u diabła...?

Nagle zrozumiał. Na Fiorinie żyło kilka gatunków wielkich miejscowych zwierząt: nieszczęsne, pełzające po ziemi prymitywne stwory o słabo rozwiniętych systemach nerwowych i zwolnionym czasie reakcji. Niewątpliwie jedno z nich wlaźło w jakiś sposób do otworu zasysacza powietrza i, niezdolne się wydostać, zginęło z braku pożywienia i wody. Nie potrafiło wejść po drabinach, a huczący wentylator stanowił barierę nie do przebycia. Dźgnął miotłą pustą skórę. Ta wysuszona powłoka stanowiła wszystko, co pozostało z pechowego gościa. Nie potrafił odgadnąć, jak długo leżała we wnętrzu, mijana i nie zauważona. Wyglądała jednak zbyt świeżo, by mogła zawierać stare, dawno wyschnięte ciało. Wszy, przypomniał sobie. Wszy szybko się załatwiają z każdym mięsem, które znajdą na drodze. To ciekawe. Nie wiedział, że jedzą też kości.

A może tam nie było żadnych kości. Może to był... jak to się nazywa? Aha, bezkręgowiec. Coś, co nie ma kości. Czy na Fiorinie żyły i takie stworzenia? Będzie musiał to sprawdzić, albo, jeszcze lepiej, zapytać Clemensa. Medyk powinien wiedzieć. Zwinie skórę i zanieś ją do ambulatorium. Może zrobił jakieś odkrycie, znalazł skórę nie znanego dotąd zwierzęcia. To by dobrze wyglądało w jego aktach.

Tymczasem jednak nie posuwał się naprzód z pracą. Odwrócił się i wypalił dwie grudy osadu spoczywające w dolnej prawej krzywiznie kanału. W tej właśnie chwili usłyszał hałas.

Zmarszczywszy brwi wyłączył i zabezpieczył laser, po czym odwrócił się, by spojrzeć za siebie. Już niemal uznał, że był to tylko wytwór wyobraźni, gdy usłyszał po raz drugi jakiś mokry, chlupoczący dźwięk.

Kilka metrów dalej w kanale znajdowała się trochę większa wnęka, w której niegdyś składowano zapasy i narzędzia. Powinna być teraz pusta. Oczyszczono ją - zapasy przeniesiono w inne miejsce, a narzędzia zabrał opuszczający planetę personel techniczny. Jednakże w miarę jak się zbliżał, bulgoczący odgłos stawał się coraz głośniejszy.

Musiał się schylić, by zajrzeć do środka. Żałując, że nie ma latarki, zmrużył oczy w odbitym blasku padającym z kanału. Coś tam się ruszało, niewyraźny kształt w ciemności. Stworzenie, które zgubiło skórę? Jeśli tak było i jeśli zdoła schwytać je żywcem, był pewien, że Towarzystwo udzieli mu oficjalnej pochwały. Może jego nieprzewidziany wkład w dogorywającą fiorińską naukę będzie wart parę miesięcy jego wyroku.

Oczy przyzwyczały się do słabego oświetlenia. Widział teraz wyraźniej. Dostrzegł głowę osadzoną na szyi. Stworzenie wyczuło jego obecność i zwróciło się ku niemu.

Zamarł, niezdolny się poruszyć. Wybałuszył oczy.

Płyn wytrysnął nagle zwartym, skoncentrowanym strumieniem z paszczy bezkształtnego potwora. Uderzył sparaliżowanego więźnia prosto w twarz. Gaz buchnął z sykiem z ciała rozpuszczającego się w zetknięciu z silnie żrącą cieczą. Murphy zatoczył się do tyłu z krzykiem, szarpiąc rękoma swą rozpuszczającą się twarz.

Dym buchał z jego zaciśniętych palców, gdy cofał się od wnęki na chwiejnych nogach.

Odbił się najpierw od jednej ściany, a potem od drugiej. Nie myślał o tym, dokąd idzie ani gdzie się znajduje. Nie mógł myśleć o niczym oprócz bólu. Nie pomyślał o wentylatorze.

Gdy wpadł na wielkie łopaty, pocięły go natychmiast na strzępy, rozpryskując na metalowych ścianach kanału krew i poszarpane kawałki ciała. Odnalezienie go zajęłoby jego



dawnym przyjaciółom sporo czasu, gdyby nie fakt, że czaszka ugrzęzła akurat pomiędzy jedną z łopat a osłoną. Zadziałał wyłącznik bezpieczeństwa, który unieruchomił mechanizm. Silnik zatrzymał się, a w ślad za nim łopaty. W dalszej części korytarza milczący dotąd wentylator przejął automatycznie zadania wyłączzonego.

Potem w bocznym szybie ponownie zapanowała cisza, nie licząc odległego, ledwie słyszalnego odgłosu, który wydobywał się z wnęki służącej ongiś jako skład. W pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby usłyszeć ten ohydny, miauczący syk.

Kwatera Clemensa była luksusowa w porównaniu z pomieszczeniami innych więźniów.

Miał dla siebie więcej miejsca i, jako technik medyczny ośrodka, posiadał dostęp do pewnych wygód, których odmawiano jego towarzyszom. Pomieszczenie było jednak wygodne tylko w porównaniu z innymi. Nie uzyskałoby aprobaty w najbardziej izolowanej placówce na Ziemi.

Mimo to Clemens zdawał sobie sprawę ze swej wyjątkowej pozycji i odczuwał tyle wdzięczności, na ile pozwalała sytuacja. Ostatnia stała się ona bez porównania lepsza niż zwykle.

Ripley poruszyła się pod kołdrą na łóżku. Przeciągnęła się i rzuciła spojrzenie na sufit.

Clemens stał po drugiej stronie pokoju, pobliżu wbudowanych w ścianę mebli. Spomiędzy warg zwisał mu zapalony narkopapieros. Nalewał coś ciemnego i mocnego do szklanki. Po raz pierwszy widziała go bez służbowego kaptura. Numer wytatuowany z tyłu ogolonej czaszki był wyraźnie widoczny.

Odwróciwszy się dostrzegł, że patrzy na niego i wykonał gest pojemnikiem.

- Przykro mi, że nie mogę zaoferować ci drinka, ale brałaś leki.

Przymrużyła oczy.

- Co to jest tym razem?

- Zdziwiłabyś się.

- Nie wątpię. - Uśmiechnęła się. - Już raz mnie zaskoczyłeś.

- Dziękuję. - Podniósł szklankę ku światłu. - Towarzystwo pozostawiło tu jedynie podstawowy sprzęt medyczny. Ma on jednak, na swój sposób, wielkie możliwości. Ponieważ nie możemy stale polegać na zrzutach, muszę umieć syntetyzować leki w szerokim zakresie. Program używany do produkcji spirytusu do nacierania można z łatwością przystosować do wytwarzania czegoś bez porównania łatwiejszego do przełknięcia. - Pociągnął łyk ze szklanki, sprawiając wrażenie zadowolonego z siebie. - To drobne hobby, ale przynosi wiele radości.

- Czy Andrews o tym wie? - zapytała go.

- Nie sądzę. Ja w każdym razie mu nie powiedziałem. Gdyby wiedział, kazałby mi przestać. Powiedziałby coś o złym wpływie na morale i że mogłoby być niebezpiecznie, gdyby inni się dowiedzieli, że to potrafię. Trudno by mi było się z nim nie zgodzić. Dopóki się jednak nie dowie, nie przestanę z radością przedstawiać cząsteczek etylu i ich pobudzających kuzynów w sposób odpowiadający moim osobistym potrzebom. - Trzymał pojemnik nad szklanką. - Nie przejmuj się. Zostawię trochę dla ciebie. Na później.

- To miło z twojej strony.

- Nie ma sprawy. W szkole rekombinacyjna synteza chemiczna była jednym z moich ulubionych przedmiotów. - Zawahał się. - Skoro już mowa o tym, co jest miłe, to choć głęboko doceniam twoje względy, zdaję sobie jednak sprawę, że obdarzyłaś mnie nimi akurat w chwili, gdy pozwoliło to ci uniknąć odpowiedzi na moje ostatnie pytanie. Był to, rzecz jasna, najlepszy sposób. Nie chcę, żebyś choć przez minutę myślała, iż wolałbym, żeby stało się inaczej. Ale to cholerstwo wciąż mnie gnębi i nie chce mi dać spokoju.

Podniosła wzrok, by spojrzeć na niego. Trzymał szklankę delikatnie w jednej ręce.

- Psujesz nastrój.

- Nie miałem takiego zamiaru. Nadal jednak jestem oficerem medycznym i dlatego mam

pewne obowiązki, a poza tym, szczerze mówiąc, im więcej wysiłku wkładasz w unikanie tego tematu, tym bardziej czuję się zaciekawiony. Czego szukałaś w ciele dziewczynki? Dlaczego tak nalegałaś na kremację ciała?

- Kapuję. Kiedy już znalazłam się z tobą w łóżku, uważasz, że jestem ci winna odpowiedź.

- W żaden sposób nie zdołasz wyprowadzić mnie z równowagi - odparł cierpliwie. -

Jesteś mi winna odpowiedź, ponieważ poznanie prawdy należy do moich obowiązków, a także dlatego, że podpadłem, robiąc dla ciebie to, czego chciałaś. Moje łóżko nie ma tu nic do rzeczy. Uśmiechnął się niewyraźnie. - Twój upór może tylko bez końca komplikować nasze przyszłe stosunki.

Westchnęła z rezygnacją i odwróciła się na bok.

- To nic takiego. Czy moglibyśmy dać sobie z tym spokój? Kiedy byłam w hibernacji,

miałam naprawdę paskudny sen. - Zamknęła oczy pod wpływem okropnego wspomnienia. -

Nie chcę na ten temat rozmawiać. Musiałam się po prostu upewnić, co ją zabiło. - Ponownie

spojrzała na medyka - Nie masz pojęcia, jak wyglądało ostatnio moje życie ani przez co

musiałam przejść. Twoje najdziksze koszmary wydałyby się przy tym mętnymi wizjami

niewinnego pięciolatka. Wiem, że nigdy nie zapomnę żadnego szczegółu. Nigdy ! Nie znaczy

to jednak, że nie będę próbować. Jeśli więc zachowuję się odrobinę irracjonalnie lub upieram

się nierozsądnie przy pewnych rzeczach, spróbuj pójść mi na rękę. Uwierz mi, potrzebuję

tego. Potrzeba mi, by tym razem ktoś zatroszczył się o mnie. Co zaś do Newt... w sprawie

dziewczynki popełniłam błąd.

Pogłaskał kciukiem bok małej szklanki, którą trzymał w ręku i skinął głową ze

rozumieniem. Usta miał zaciśnięte.

- Tak. Być może.

Nie przestawała wpatrywać się w niego.

- Może popełniłam też kolejny błąd.

- Mianowicie jaki?

- Fraternalizacja z więźniami. Kontakty fizyczne. To sprzeczne z zasadami, prawda?

- Niewątpliwie. Kto jest tym szczęściarzem?

- Ty, bałwanie.

Clemens spojrział na nią niepewnie.

- Nie jestem więźniem.

Wskazała palcem.

- Skąd więc wziął się ten numer z tyłu głowy?

Jego ręka odruchowo skierowała się we wskazane miejsce. - Sądzę, że należą ci się wyjaśnienia. Nie jest to chyba jednak właściwy moment. Przepraszam. Chyba popsuliśmy nastrój, nie?

Zabrzączał interkom, zajmując jego uwagę. Przyjął rozmowę z przepaszającym wyrazem twarzy.

- Muszę odpowiedzieć. Nie mogę sobie pozwolić na niepodnoszenie słuchawki. Nie jesteśmy w Sorbonne Centrale. - Włączył przekaz dwukierunkowy. Rozległ się cienki, kiepsko odtworzony głos.

- Clemens?

Medyk rzucił jej zrezygnowane spojrzenie.

- Słucham, panie Aaron.

- Andrews chce, żeby się pan zgłosił do szybu wentylacyjnego numer siedemnaście w drugim kwadrancie. Jak najszybciej. Mieliśmy tam wypadek.

Odwrócił się, nagle zainteresowany, by się upewnić, że wszechkierunkowy mikrofon

wbudowany w urządzenie odbierze wystarczającą część jego odpowiedzi.

- Coś poważnego?

- Aha. Można to tak nazwać - stwierdził zastępca naczelnika. - Poszatkowało więźnia podczas pracy. - Połączenie zostało nagle przerwane.

- Cholera. - Clemens osuszył szklankę i postawił ją na konsoli, po czym zwrócił się ponownie w stronę swego gościa. - Przykro mi. Muszę iść. Obowiązki.

Ripley napięła lekko mięśnie. Dotknęła szklanki palcami.

- Właśnie zaczęłam cieszyć się rozmową. W przeciwieństwie do innych rzeczy.

- A jak myślisz, jak ja się czuję - mruknął. Otworzył szafkę i zaczął wyciągać z niej ubranie.

- Może powinnam pójść z tobą?

Ponownie spojrzał na nią.

- Lepiej nie. Co innego, kiedy patrzę na ciebie jako na część moich regularnych obowiązków, a co innego, kiedy będą nas cały czas widzieć razem, a ty będziesz sprawiała wrażenie całkiem zdrowej. To może wywołać pytania. I uwagi. Wśród takich facetów, jak ci tutaj, im mniej uwag, tym lepiej.

- Rozumiem. Nie podoba mi się to, ale rozumiem.

Włożył spodnie robocze.

- Ta wypowiedź zawiera w sobie dwie rzeczy, które są konieczne, by przeżyć na Fiorinie.

Ponadto nie sądzę, żeby naczelnik Andrews był zadowolony z twojej obecności. Czekał tu spokojnie. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Wrócę.

Nie powiedziała już nic, sprawiała jednak wrażenie nieszczęśliwej.

Nie pozostało wiele do zbadania. Do diabła, pomyślał Clemens oglądając jatkę wewnątrz kanału powietrznego, nie pozostało też wiele do pochowania. Przyczyna śmierci była

oczywista. Na nieruchomych łopatach wentylatora widniało równie dużo plam, co na ścianach.

Sprawa była niejasna. Często zdarzało się, że ludzie nadeptywali na ostre metalowe krawędzie lub ocierali się o nie, kalecząc się w ten sposób, spadali z pomostów bądź robili sobie krzywdę próbując unosić się na falach w burzliwej zatoce, znali jednak znakomicie niebezpieczeństwa czające się w nieczynnej kopalni i starannie ich unikali. Olbrzymi wentylator był oczywistym i trudnym do zlekceważenia zagrożeniem.

Nie musiało to jednak oznaczać, że pechowy i teraz Już nieżyjący Murphy nie dopuścił się nieostrożności. Być może biegł, ślizgał się na śliskiej powierzchni kanału lub po prostu drażnił wentylator miotłą. Na pewno pośliznął się lub też ubranie zaplątało mu się w urządzenie. Nigdy się, rzecz jasna, nie dowiedzą. Nie było powodu, by do czyszczenia kanałów posyłać dwóch ludzi. Murphy pracował sam.

Aaron był w oczywisty sposób podobnego zdania. Zastępca naczelnika spoglądał ponurym wzrokiem na wentylator.

- To był świr. Ja go wyznaczyłem do tej roboty. Trzeba było pomyśleć. Trzeba było wysłać innego albo przynajmniej dać mu do towarzystwa kogoś bardziej zrównoważonego. Za nimi więzień Jude nie przestawał wycierać podłogi.

Andrewsa opanowała cicha furia. Nie z powodu śmierci Murphy'ego, lecz ze względu na jej okoliczności. Nie przyniosą mu one zaszczytu, a poza tym oznaczało to dodatkową papierkową robotę.

- Nie ma powodu do usprawiedliwień, panie Aaron. To nie pańska wina. Ani, jak się wydaje, czyjakolwiek, oprócz może pana Murphy'ego, a on za to zapłacił. - Spojrzał na swego medyka. - Jakie ma pan uwagi, panie Clemens?

Technik wzruszył ramionami.

- Nie da się dużo powiedzieć, prawda? Przyczyna śmierci jest w niepodważalny sposób oczywista. Wątpię, czy zdążył coś poczuć. Jestem pewien, że to się stało natychmiast.

- Jak cholera. - Aaron przyjrzał się szeroko porzucanym szczątkom ludzkim z nie ukrywanym obrzydzeniem.

- Próbuję ułożyć scenariusz - ciągnął naczelnik – do raportu, rozumiecie. Trudno jest mi uwierzyć, że po prostu wdepnął w tak jawne niebezpieczeństwo, w pobliżu którego pracował przez pewien czas. Może go wessało?

Clemens wydał wargi.

- Być może. Nie jestem fizykiem ani mechanikiem...

- Żaden z nas nie jest, panie Clemens - przypomniał mu Andrews. - Nie proszę pana, by rozstrzygnął pan sprawę, a jedynie wyraził swą opinię.

Clemens skinął głową.

- Nagły powiew powietrza mógłby, jak sędzę, być przyczyną. Oscylacja mocy mogła gwałtownie zwiększyć ssanie. Z tym, że...

- Jasne - wtrącił się szybko Aaron. - Raz o mało mnie się to nie przytrafiło, w głównym kwadrancie. Cztery lata temu. Zawsze powtarzam ludziom, miejcie oko na wentylatory. Są tak cholernie wielkie, solidne i pewne, że nikt nie pomyśli, że w ich pobliżu może się wydarzyć coś nieoczekiwanego. - Potrząsnął spokojnie głową. - Mogę sobie gadać. I tak nikt nie słucha.

- Zgadza się - przyznał Clemens - z tym, że zanim zszedłem na dół, sprawdziłem program i okazało się, że wentylator wtedy dmuchał. Oscylacja mocy wyrzuciłaby go w głąb korytarza, a nie wciągnęła między łopaty.

Aaron przymrużył oczy, po czym wzruszył w duchu ramionami. Niech naczelnik i medyk rozstrzygną sprawę. To należało do nich. Nie jego sprawa. Przedstawił im swoją hipotezę. Zrobił wszystko, co mógł. Żał mu było Murphy'ego, ale, do diabła, wypadki się zdarzają.

Clemens skierował się w górę tunelu, by przyjrzeć się jego ścianom. W miarę jak się oddalał, plamy krwi stawały się coraz rzadsze.

Po lewej stronie tunelu znajdowała się duża wnęka. Przyklęknął, by zajrzeć do środka.

Był to typowy pomocniczy skład, dawno temu opróżniony. Gdy już się podnosił, by ruszyć dalej, coś przyciągnęło jego wzrok i sprawiło, że się zawahał.

Wyglądało to tak, jakby coś się rozlało. Nie krew. Odbarwienie wywołane jakimś środkiem chemicznym. Gładka wszędzie powierzchnia metalu tutaj była upstrzona pęcherzykami i dziurkami.

Andrews podszedł do niego w milczeniu i stanął obok. Dołączył teraz do Clemensa, by obejrzeć razem z nim wnękę.

- Co to takiego?

Clemens wyprostował się.

- Naprawdę nie wiem. Pomyślałem sobie tylko, że dziwnie to wygląda. Najpewniej było tu od czasu, gdy zainstalowano kanały.

Jego obojętność była cokolwiek wymuszona i naczelnik natychmiast zwrócił na to uwagę.

Przeszył medyka wzrokiem. Clemens odwrócił oczy.

- Chcę żeby pan przyszedł do mnie do pokoju za, powiedzmy, trzydzieści minut -

powiedział spokojnie Andrews. - Jeśli łaska, panie Clemens.

Zwrócił się w stronę pozostałych członków ekipy poszukiwawczej, zajętych zbieraniem szczątków zabitego.

- No dobra. Nie chciałbym spędzić tu reszty dnia. Kończmy z tym i zjeżdżajmy stąd, żeby pan Troy mógł włączyć urządzenie, a my wrócić do zwykłych zajęć. - Zaczął poganiać ludzi w stronę wyjścia.

Clemens nie śpieszył się. Gdy tylko był już pewien, że Andrews skupił w pełni swą



uwagę na kończeniu okropnych porządków, wrócił do oględzin uszkodzonego metalu.

Wewnątrz promu ratunkowego było cicho jak w grobie. Roztrzaskane konsole czepiały się ścian jak przybite szpilkami pajęczaki. Sprzęt leżał tam, gdzie spadł zerwany z uchwytów lub powysypywał się z szafek. Fotel pilota jak pijana rękawica wisiał przekrzywiony na podtrzymującym go trzonie.

Pogrążone w chaosie wewnątrz rozjaśniało tylko jedno światło. Ripley pracowała wewnątrz rozerwanej grodzi, używając na przemian noża laserowego oraz innych, mniej groźnych narzędzi. Kłapa ochronna z kompozytu odchyliła się niechętnie, odsłaniając ukrytą pod spodem płytkę wyposażoną w pieczęcie. Uradowana Ripley zabrała się za nie, usuwając je jedna po drugiej za pomocą specjalnego narzędzia. Sama płytkę wyposażona była w wyraźny napis:

URZĄDZENIE REJESTRUJĄCE DANE LOTU

NIE ZRYWAĆ PIECZĘCI

WYMAGANE OFICJALNE UPOWAŻNIENIE DOSTĘP

DO SYSTEMU INFORMACJI 445

Gdy tylko ostatnia pieczęć odpadła, zdjęła płytkę i odstawiła ją na bok. Pod spodem czarna skrzynka o gładkich powierzchniach spoczywała ukryta wewnątrz skrytki o podwójnych ścianach wyposażonych w specjalne poduszki. Skrytka była sucha i czysta. Żadna zalegająca w niej woń czy wilgoć nie sugerowała, by wtargnęła tu natrętna słona woda zatoki. Zasuwa na boku otworzyła się gładko i przednia ściana skrzynki odsunęła się odsłaniając liczniki i wbudowane w powierzchnię przyciski ukryte pod ochronną tarczą. Wcisnęła jeden z nich i natychmiast na pulpicie zapaliło się kilka świateł. Dotknęła go po raz drugi i światła zgasły na jej oczach.

Skrzynka wysunęła się swobodnie ze skrytki. Ripley postawiła ją delikatnie na podłodze

tuż obok latarki i zaczęła po raz kolejny błądzić wzrokiem po zdewastowanym wnętrzu promu ratunkowego, próbując sobie przypomnieć, próbując zapomnieć.

Coś się za nią poruszyło, drapiąc o rozerwaną i potrzaskaną obudowę. Odwróciła się błyskawicznie, przerażona. Oczy dostrzegły jakiś ruch w ciemności.

- Cholera - krzyknęła, opadając ciężko. - Chcesz mnie wystraszyć na śmierć?

Clemens zatrzymał się w ciasnym wejściu. Na jego twarzy pojawił się chłopięcy uśmiech pozostający w sprzeczności z sytuacją. - Przepraszam, ale dzwonek nie działa. Wcisnął się z wysiłkiem do pomieszczenia. - Wiesz co, takie wałęsanie się bez eskorty może naprawdę wkurzyć naczelnika Andrews. Bez względu na to, co chcesz zrobić, nie pomoże ci, jak mu podpadniesz.

- Pieprzę go. Co z tym wypadkiem? - spytała poważnym tonem, ze skupionym wyrazem twarzy.

- Kiepska sprawa, obawiam się. - Poruszył jakiś zwisający przewód. Odkoczył pośpiesznie, bo wyglądało na to, że może na niego spaść. - Jeden z więźniów został zabity.

- W jaki sposób? - zapytała z troską na twarzy.

- To nie wyglądało ładnie. Jesteś pewna, że chcesz się dowiedzieć?

Wydała z siebie cichy odgłos.

- Jeśli się boisz, że ci zemdleję, to zadałeś się z niewłaściwą panią.

- Tak też myślałem. Dałem ci po prostu szansę wyboru. To się wydarzyło w jednym z czynnych szybów wentylacyjnych. - Potrząsnął głową pod wpływem wspomnienia. Biedny, głupi sukinsyn wpadł na działający czterometrowy wentylator szybkobieżny. Rozpryskało go po całej okolicy. Musieliśmy go zdrapywać ze ścian.

- Mogę sobie wyobrazić. Zdarza się.

- Nie. Tutaj to się nie zdarza. Andrews się wkurzył. To oznacza, że będzie musiał napisać

sprawozdanie.

- I wysłać przez komunikator?

- Nie. To byłby zbyteczny wydatek. Myślę, że zabierze je następny statek.

- No więc czym się przejmuje? Miną miesiące, zanim ktoś je przeczyta.

- Musiałabyś poznać naczelnika, żeby to zrozumieć. On wszystko bierze do siebie.

- To niedobrze dla niego, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego obecne zajęcie.

Clemens skinął głową w zadumie.

- Znalazłem coś na miejscu wypadku, a właściwie tuż obok miejsca, w którym się wydarzył. Ślad wypalony na podłodze. Odbarwiony, pokryty pęcherzykami metal. Bardzo podobnie wyglądało to, co znalazłaś na kapsule hibernacyjnej dziewczynki.

Patrzyła na niego nieruchomymi oczyma. Jej spojrzenie było pozbawione wyrazu, a twarz niezgłębiona.

- Posłuchaj, jestem po twojej stronie - upierał się medyk, gdy nie przerwała milczenia. -

Bez względu na to, w co jesteś zamieszana, czy co usiłujesz zrobić, pragnę ci pomóc.

Chciałbym jednak wiedzieć, co jest grane, a przynajmniej co, jak sądzisz, jest grane. W przeciwnym razie nie przydam ci się na wiele. Być może uda ci się osiągnąć ten swój cel w pojedynkę. Nie mogę cię zmusić, byś mi o tym powiedziała. Myślę tylko, że mógłbym ci pomóc. Ułatwić ci sprawę. Mam dostęp do sprzętu. Ty nie. Posiadam pewną wiedzę, której ty nie masz. Nie będę się wtrącał i zdam się całkowicie na twoją opinię. Muszę tak postąpić, ponieważ nie mam najbliższego pojęcia, o co tu chodzi.

Zawahała się, rozważając coś. Obserwował ją z nadzieją.

- Prawie cię nie znam. Dlaczego miałabym ci zaufać?

Zdusił w sobie poczucie urazy. Wiedział, że w jej pytaniu nie było nic osobistego.

- Nie ma powodu, poza tym, że ciężko ci będzie zrobić to, co zamierzasz, czymkolwiek to

jest, bez niczyjej pomocy. Ja też prawie cię nie znam, ale jestem gotów ci się

podporządkować.

- Dlaczego? Dlaczego miałbyś to zrobić? Sam przyznałeś, że nie masz pojęcia, co tu jest grane ani jaka jest stawka.

Uśmiechnął się zachęcająco.

- Może wydaje mi się, że znam cię troszkę lepiej niż ty, jak sądzisz, znasz mnie.

- Jesteś szalony.

- Czy to stanowi przeszkodę w tym, co robisz?

Uśmiechnęła się mimo woli.

- Zapewne wprost przeciwnie. W porządku. - Przeniosła czarną skrzynkę w miejsce, gdzie mogła się jej dokładnie przyjrzeć. - Muszę się dowiedzieć, co wydarzyło się na promie ratunkowym, dlaczego zostaliśmy wyrzuceni ze statku w stanie hibernacji. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, znajdź mi komputer ze zdolnością interpretacji akustycznej i sensorycznej, żebym uzyskała dostęp do niej.

Clemens miał wątpliwości.

- Nie mamy tutaj nic takiego. Towarzystwo zabrało wszelki skomplikowany sprzęt cybernetyczny. Wszystko, co nam zostawili, to podstawowe systemy operacyjne albo urządzenia wyposażone wyłącznie w pamięć przeznaczoną do odczytu. - Uśmiechnął się z ironią. - Przypuszczam, że nie życzyli sobie, by banda głupkowatych więźniów grzebała w ich kosztownej maszynerii.

- A co z Bishopem?

- Bishopem? - Zmarszczył brwi.

- Androidem, który rozbił się razem ze mną.

- Sprawdzono go i odrzucono jako nie nadającego się do niczego.

- Pozwól, że ja to ocenię. - W jej głosie pojawiła się nuta zatroskania. - Nie zużyto go na części ani nie skasowano, prawda?

- Mówiłem ci już. Nikt tu nie jest na tyle mądry, żeby zrobić to pierwsze, a nie było żadnego powodu, by marnować energię na to drugie. To, co z niego zostało, jest porozbijane na niewiele mniejszą ilość części niż zabity więzień. Nie mów mi, że może ci się jeszcze na coś przydać.

- No dobrze, nie będę ci mówić. Gdzie on jest?

Clemens miał zrezygnowaną minę.

- Wskażę ci właściwy kierunek, ale obawiam się, że nie mogę się tam z tobą udać. Mam umówione spotkanie. Uważaj na siebie, dobrze?

Nie zbiło jej to z tropu.

- Gdybym nie miała takiego zwyczaju, dałabym się już do tej pory zabić ze dwadzieścia razy.

## 6.

Produkcja świec stanowiła coś więcej niż hobby. Choć zapieczętowany, stanowiący zamkniętą całość, reaktor termojądrowy mógł wyprodukować więcej energii, niż byłoby to potrzebne do pełnego oświetlenia kompleksu, gdyby ktoś tak zdecydował, nie dostarczał jednak żadnych przenośnych źródeł mocy. Naładowywane latarki były tu czymś rzadkim i wysoko cenionym. Technicy Towarzystwa, których obowiązkiem była podjęcie decyzji, co należy zabrać, a co pozostawić, uznali - zgodnie z logiką - że więźniowie nie będą wahać się nocą po powierzchni Fioriny, wewnątrz kompleksu zaś reaktor termojądrowy dostarczy im tyle energii do oświetlenia ile tylko dusza zapagnie. A ponieważ takie reaktory po prostu się nie psuły, nie było potrzeby stworzenia rezerwowych źródeł energii i nie poczyniono w tym kierunku żadnych poważniejszych przygotowań.

Istniały jednak zapasy zachomikowane przez górników lub zapomniane przez techników zajmujących się ewakuacją. Ukryte były głęboko wewnątrz szybów, z których wydobyto miliony ton rudy. Mogły one uczynić nieco łatwiejszym zarówno życie więźniów, jak i załogi. Czasu, by je odszukać, było pod dostatkiem. Brakowało jedynie przenośnych źródeł światła. Produkcja świec rozwiązała ten problem, a ponadto dostarczyła mieszkańcom Fioriny urozmaicenia w pracy. W magazynach znajdowało się pod dostatkiem specjalnego wosku. Był to jeden z tych przechowywanych luzem towarów zbyt pospolitych, by opłacało się je przewozić na inną planetę. Początkowo używano wosku do wykonywania próbnych szablonów nowego sprzętu. Laserowy system projektowania i produkcji wspomagany komputerowo tworzył model części, a następnie rzeźbił wosk i formę taką wypełniano plastikowym lub węglowym kompozytem - i proszę bardzo, część zamienna gotowa. Nie potrzeba żadnej maszynery ani długiej, nie kończącej się obróbki za pomocą tokarek i frezów. Specjalny wosk mógł być stopiony, pa czym nadawał się do ponownego użytku.

Więźniom części zamiennie nie były potrzebne. Wszelki sprzęt niezbędny im do życia stanowił zamkniętą całość i obywał się znakomicie bez ich pomocy. Zaczęli więc produkować świece.

Ich płomienie migotały jasno i radośnie w całej wytwórni. Całe pęki świec zwisały z sufitu. Wytapiano je w ołowianych formach, które więźniowie wykonali własnoręcznie. Wosk przemysłowy - produkt zaawansowanej cywilizacji - służył znakomicie do naśladownictwa dzieł techniki sprzed tysięcy lat.

Więzień Gregor pomagał Golicowi, Boggsowi i Rainsowi w upychaniu specjalnych, supergęstych świec w ich nadzwyczaj dużych plecakach. Dodatek kilku starannie dobranych zanieczyszczeń pozwalał takim świecom zachowywać kształt i płonąć przez bardzo długi czas. Byli zmuszeni z nich korzystać, ponieważ Andrews ani myślał zezwolić na użycie niezastąpionych w razie utraty przenośnych lamp kompleksu do błahych czynności.

Co prawda ludzie nie mieli nic przeciwko temu. Mogła to być prymitywna technika, nie było jednak istotnej różnicy w jakości oświetlenia wytwarzanego przez świece i nieliczne, cenne ogniwa paliwowe. Światło to światło. A świec było pod dostatkiem.

Golic wpychał sobie na przemian przysadziste świece do plecaka i jedzenie do ust.

Okruchy spadały mu z warg, wpadając do plecaka. Rains przyglądał się temu z niesmakiem.

- Tu jesteście. - Gregor dźwignął jeden z ciężkich plecaków. - To już będzie koniec.

Golic, nie wierć się. Skąd masz tyle tego cholernego żarcia? Nie jest odpowiednio zapakowane.

Zapytany uśmiechnął się tępo, nie przestając wpychać sobie jedzenia do ust.

Boggs przyjrzał mu się z obrzydzeniem.

- Czy on, do diabła, potrafi coś zrobić dobrze?

Rains zachnął się.

- Jeść. To mu wychodzi całkiem nieźle.

W drzwiach pojawili się Dillon i więzień Junior.

- Hej, Golic - sapnął wyższy mężczyzna.

Więzień, do którego w ten sposób się zwrócono, spojrzął w górę i poprzez na wpół przeżute jedzenie odparł:

- Hej?

- Zapal świecę dla Murphy'ego, dobra?

Jedzenie posypało się z ust Golica, gdy uśmiechnął się na tak.

- Jasne. Zapalę tysiąc - rozrzewnił się nagle. - On był najlepszym przyjacielem. Nigdy się na mnie nie skarżył. Ani razu. Kochałem go. Czy naprawdę poszatkowało mu głowę na milion kawałków? Tak mówią.

Dillon pomógł im założyć masywne plecaki i po sprawdzeniu pasów każdego z mężczyzn, klepnął ich kolejno w ramię.

- Uważajcie na siebie tam na dole. Macie dobre mapy. Zróbcie z nich użytek. Jeśli znajdziecie coś, co będzie za duże do przeniesienia, upewnijcie się, do cholery, że zaznaczyliście lokalizację w taki sposób, że następna ekipa będzie zdolna to znaleźć.

Pamiętam, jak cztery lata temu banda facetów wygrzebała prywatny schowek jakiegoś górnika, pełen towarów w puszkach. Było tego dosyć, by osłodzić kuchnię na całe miesiące.

Nie zaznaczyli miejsca jak należy i już nigdy więcej nie trafiliśmy tam. Może wam trzem się poszczęści.

Boggs wydał z siebie nieelegancki odgłos. Wokół rozległy się śmiechy.

- To właśnie ja. Zawsze mam szczęście.

- No dobrze. - Dillon szedł na bok. - Jazda w drogę i nie wracajcie, dopóki nie znajdziecie czegoś ciekawego. Uważajcie na te stumetrowe szyby głębinowe.



Wielki mężczyzna obserwował, jak skryli się w tunelu doprowadzającym. Zaczekał, aż ich światła zniknęły w dali za zakrętem, po czym on i Junior odwrócili się i skierowali w stronę sali zebrań. Miał swoją robotę do wykonania.

Kwatera Andrews była przestronna, choć umeblowana na sposób spartański. Jako naczelnik zajmował pokoje, które uprzednio stanowiły domenę dyrektora kopalni. Miejsca miał po dostatkiem, lecz brakowało mu mebli, by je zagospodarować. Jako człowiek obdarzony niewielką wyobraźnią i nieskłonny do ulegania manii wielkości, zaplombował większość pokoi i zadowolił się trzema, po jednym na utrzymywanie higieny, sen i spotkania z gośćmi.

W tej chwili pochłaniało go to ostatnie zajęcie. Siedział za skromnym biurkiem naprzeciwko swego jedyne go medyka. Clemens przedstawiał sobą problem. Formalnie był więźniem i można go było traktować tak samo jak pozostałych. Nikt jednak, wliczając w to samego naczelnika, nie kwestionował jego szczególnego statusu. Jako ktoś niższy pozycją od człowieka wolnego, ale wyższy od więźnia-dozorcy, zarabiał lepiej niż którykolwiek z pozostałych więźniów. Co ważniejsze, świadczył im - a również Andrewsowi i Aaronowi - usługi, których nie mogli uzyskać od nikogo innego.

Clemens górował też nad resztą lokatorów więzienia intelektualnie. Biorąc pod uwagę fakt, że na Fiorinie trudno było o partnera do inspirującej konwersacji, Andrews cenił tę jego zdolność niemal równie wysoko jak talenty medyczne. Rozmowa z Aaronem inspirowała mniej więcej w tym samym stopniu, co przemawianie do kłody drewna.

Musiał jednak uważać. Nie byłoby dobrze, gdyby Clemens - czy jakikolwiek inny więzień - nabrał zbyt wysokiego mniemania o sobie. Gdy obaj mężczyźni się spotykali, prowadzili między sobą ostrożną wymianę słów, tańcząc walca z równym wyrafinowaniem co dwa doświadczone grzechotniki. Clemens nieustannie rozszerzał granicę swej niezależności, zaś

Andrews na nowo ją zacieśniał.

Czajnik przechylił się nad filiżanką medyka. Polała się z niego herbata.

- Cukru?

- Dziękuję - odparł Clemens.

Naczelnik podał mu plastikowy pojemnik i obserwował, jak jego gość czerpie białe granulki.

- Mleka?

- Tak, bardzo proszę.

Andrews przesunął puszkę po stole i nachylił się w jego stronę w skupieniu, podczas gdy Clemens rozjaśniał całkowicie czarny płyn.

- Posłuchaj mnie, ty kupo gówna - zwrócił się do swego gościa braterskim tonem. - Jak jeszcze raz odpiardzielisz taki numer, załatwię cię na amen.

Medyk odstawił na bok puszkę z mlekiem, sięgnął po filiżankę z herbatą i zaczął spokojnie mieszać płyn. W śmiertelnej ciszy, która nastąpiła, porcelanowy dźwięk łyżeczki uderzającej regularnie o wnętrze filiżanki wydawał się równie głośny i zamierzony jak łoskot młota walącego w kowadło.

- Nie jestem pewien, czy zrozumiałem - oznajmił w końcu Clemens.

Andrews usiadł z powrotem na krześle. Wbił wzrok w swego gościa.

- O godzinie 0700 otrzymałem za pośrednictwem Sieci odpowiedź na moje sprawozdanie.

Pozwolę sobie zauważyć, że o ile wiem, jest to pierwsza wiadomość o wysokim stopniu pilności, jaką ten kompleks kiedykolwiek otrzymał. Nawet gdy na Fiorinie znajdowała się czynna kopalnia wraz z rafinerią, nigdy nie spotkał jej podobny zaszczyt. Czy wie pan dlaczego?

Clemens pociągnął łyk herbaty.

- Wiadomości o wysokim stopniu pilności muszą być wysyłane przez podprzestrzeń, by rozwiązać problem czasu. To dużo kosztuje.

Andrews skinął głową.

- Więcej niż pan czy ja kiedykolwiek zobaczymy.

- Czemu więc się mnie pan czepia?

- To przez tę kobietę. - Andrews był wyraźnie zakłopotany. - Chcą, żeby na nią uważać.

Nie, więcej niż uważać. Wyjaśnili bardzo dokładnie, że traktują to jako sprawę o najwyższym priorytecie. W gruncie rzeczy depesza zdołała przekazać wrażenie, że cały nasz kompleks może pochłonąć czarna dziura, jeśli ta kobieta w chwili przybycia ekipy ratunkowej nie będzie cała i zdrowa.

- Dlaczego?

- Miałem nadzieję, że pan mi odpowie na to pytanie. - Naczelnik wbił w niego wzrok.

Clemens ostrożnie odstawił pustą filiżankę na stół.

- Widzę, że nadszedł już czas, by być z panem całkowicie szczerym, sir. - Andrews pochylił się skwapliwie do przodu. Medyk uśmiechnął się usprawiedliwiająco. - Nie wiem ni cholery.

Nastąpiła przerwa. Twarz Andrews'a pociemniała.

- Cieszę się, że pana to bawi, Clemens. Jestem zadowolony, że pana to śmieszy.

Chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie. Czy wie pan, co oznacza podobna depesza?

- Że pańska dupa jest zagrożona? - zapytał Clemens miłym tonem.

- Nie tylko moja. Nas wszystkich. Jeśli spieprzymy sprawę, jeśli coś się stanie tej kobiecie, czy co, będzie nas to kosztowało piekielnie dużo.

- Nie będziemy więc mieli trudności z uiszczeniem zapłaty. Ostatecznie mieszkamy w samym piekle.

- Może pan sobie robić dowcipne uwagi do woli. Wątpię, by miał pan jeszcze na to ochotę, gdy wydarzy się coś niefortunnego i niektóre wyroki ulegną przedłużeniu.

Clemens zeszywniał lekko.

- Aż tak im na tym zależy?

- Pokazałbym panu samą depezę, gdyby nie było to wbrew zasadom. Proszę mi uwierzyć na słowo.

- Nie rozumiem, o co tyle zamieszania - odparł szczerze Clemens. - To fakt, że przeszła dużo, ale wielu już przeżyło kosmiczne tragedie. Dlaczego Towarzystwo jest aż tak nią zainteresowane?

- Nie mam pojęcia. - Andrews umieścił przed sobą na stole splecione dłonie. - Dlaczego wypuścił ją pan z ambulatorium? To wszystko wiąże się w jakiś sposób z wypadkiem Murphy'ego. Mogę się założyć o moją emeryturę. Uderzył obiema rękami o biurko. - Jak któremuś z tych tępych sukinsynów stanie, to już nie myśli o niczym innym. Dlaczego, do diabła, nie zamknął jej pan na klucz, żeby nie włąziła im w oczy?

- Nie miałem powodu. Była zdrowa, mogła chodzić i chciała wyjść. Nie miałem powodu ani prawa jej zatrzymać. - Starannie wypracowany takt Clemensa zaczął się załamywać. - Jestem lekarzem, nie strażnikiem więziennym.

Naczelnik skrzywił się.

- Bez takich tekstów. Obaj dokładnie wiemy, kim pan jest.

Clemens wstał i skierował się w stronę drzwi. Andrews rozplótł palce. Tym razem walnął w biurko zaciśniętą pięścią.

- Siadaj, Clemens! Nie pozwoliłem ci jeszcze odejść. Medyk odpowiedział nie odwracając się. Usiłował zapanować nad sobą.

- Odniosłem wrażenie, że zaprosił mnie pan tu, a nie rozkazał przyjść. W tej chwili sądzę,

że lepiej będzie, jak wyjdę. Pańskie towarzystwo stało się dla mnie bardzo nieprzyjemne.

Gdybym tu pozostał, mógłbym powiedzieć lub zrobić coś, czego bym potem żałował.

- Czyżby? - Andrews udawał przerażonego. - Czyż to nie piękne. Niech się pan zastanowi, panie Clemens. Jak to by się panu spodobało, gdybym obnażył pańską tajemnicę? Choć szczegóły pańskiej kariery są szeroko znane w innych miejscach, tu na Fiorinie zdołał je pan zachować dla siebie. Ten przywilej o charakterze osobistym ułatwił panu pracę z więźniami, a nawet dał panu wśród nich jakąś niepewną, lecz w końcu nader realną pozycję. Łatwo można to zmienić. Gdyby tak się stało, spodziewam się, że pańskie życie tutaj stałoby się zdecydowanie mniej przyjemne. Przerwał na chwilę, by jego słowa dotarły do Clemensa, po czym zaczął na nowo. - Co, żadnej dowcipnej riposty? Żadnego inteligentnego docinka? Czy mam rozumieć, iż pańskie milczenie oznacza, że wolałby pan, by pana brudna, nędzna przeszłość nie stała się ogólnym tematem rozmów w tym miejscu? Rzecz jasna nie musi się na tym skończyć. Być może chciałby pan, żebym opowiedział szczegóły pańskiej wstrętnej przeszłości pana pacjentce i nowej przyjaciółce, porucznik Ripley? Celem oświecenia jej, rzecz jasna. Wyłącznie po to, by pomóc jej rozporządzić w odpowiedni sposób czasem, który spędzi w tym miejscu... Nie? Niech więc pan siada, do cholery.

Clemens odwrócił się bez słowa i usiadł na miejscu. Wydał się nagle starszy, jak człowiek, który przed chwilą utracił coś cennego bez żadnej nadziei na odzyskanie.

Andrews przyjrzał się swemu gościowi w zamyśleniu. - Zawsze byłem z panem bezpośredni. Myślę, że to dobra zasada, zwłaszcza w takim środowisku jak tutaj. Nie będzie więc pan szczególnie wyprowadzony z równowagi czy zaskoczony, jeśli powiem, że pana nie lubię.

- Nie - szepnął Clemens cichym, płaskim głosem. Nie jestem zaskoczony.

- Nie lubię pana - powtórzył naczelnik. - Jest pan nieobliczalny, zuchwały i potencjalnie

niebezpieczny. Posiada pan pewne wykształcenie i nie sposób zaprzeczyć, że jest pan inteligentny. Z tego powodu jednak stanowi pan większą groźbę niż przeciętny więzień. Kwestionuje pan wszystko i zbyt wiele czasu przebywa w samotności. To zawsze zły znak. Wykonuję ten zawód już od dawna i przemawia przede mną doświadczenie. Wiem, na co zwracać uwagę. Typowy więzień może się buntować, czasem nawet zabić, ale to zawsze ci cisi i inteligentni są przyczyną naprawdę poważnych problemów. - Umilkł na chwilę i zamyślił się. - Skierowano jednak pana na tę placówkę i muszę się z tym pogodzić. Chcę tylko, żeby pan wiedział, iż gdybym nie potrzebował oficera medycznego, nie dopuściłbym pana na odległość kilku lat świetlnych od tego miejsca.

- Jestem bardzo wdzięczny.

- A może spróbowałby pan czegoś nowego, Clemens? Czegoś naprawdę innego? Niech pan zachowa swój sarkazm dla siebie. - Poruszył się lekko na krześle. - Teraz zapytam pana po raz kolejny. Jako równy panu pod względem intelektualnym. Jako ktoś, kogo pan szanuje, nawet jeśli nie lubi. Jako człowiek obarczony odpowiedzialnością za bezpieczeństwo i zdrowie każdego w tym ośrodku, w tym również pana. Czy jest coś, o czym powinienem się dowiedzieć?

- A w jakiej sprawie?

Andrews policzył bezgłośnie do pięciu, zanim się uśmiechnął.

- Chodzi mi o tę kobietę. Proszę już ze mną nie igrać. Myślę, że wyjaśniłem jasno moje stanowisko zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym.

- Skąd miałbym wiedzieć o niej coś poza tym, co jest oczywiste?

- Stąd, że spędza pan z nią każdą wolną sekundę. Podejrzewam też, że pańskie zainteresowanie nie ma charakteru czysto medycznego. Za bardzo dba pan o jej potrzeby. To kłóci się z pańskim profilem osobowości. Sam pan powiedział, że jest zdrowa i może sobie

radzić sama. Czy sądzi pan, że jestem ślepy? Uważa pan, że dano by mi to stanowisko, gdybym nie potrafił wykryć nawet najdrobniejszych dewiacji? Dewiacji u dewiantów - mruknął sam do siebie.

Clemens westchnął.

- Co chce pan wiedzieć?

- Tak już lepiej. - Andrews skinął z zadowoleniem głową. - Czy cokolwiek panu powiedziała? Nie o sobie osobiście. To mnie nie obchodzi. Możecie się tarzać we własnych wspomnieniach ile dusza zapagnie. Nie dbam o to. Chodzi mi o sprawy zawodowe. Skąd się tu wzięła. Na czym polegała czy polega jej misja. A zwłaszcza co, do cholery, robiła w promie ratunkowym z rozwalonym androidem, utopionym sześciolatkiem i zabitym kapralem i gdzie, do cholery, podziła się reszta załogi statku? Albo, jeśli już o tym mowa, gdzie, do cholery, jest sam statek?

- Powiedziała mi, że była członkiem ekipy bojowej, którą spotkał zły los. Ostatnie, co pamięta, to jak pogrążała się w hibernacji. W owej chwili kapral żył, a kapsuła hibernacyjna dziewczynki funkcjonowała prawidłowo. Przez cały czas zakładałem, że dziecko utonęło, a kapral zginął podczas katastrofy promu. Muszę przyjąć, że wszystko, co wykracza poza te szczegóły, jest tajne. Nie naciskałem na nią, by podała mi więcej faktów. Ostatecznie ma stopień porucznika piechoty morskiej, rozumie pan.

- To wszystko? - nie ustępował Andrews.

Clemens przyjrzał się swej pustej filiżance.

- Tak.

- Nie wie pan nic więcej?

- Nie.

- Jest pan pewien?

Medyk podniósł wzrok i spojrzał starszemu mężczyźnie prosto w oczy.

- Absolutnie.

Andrews spuścił wzrok ku dłoniom. Przemawiał przez zaciśnięte zęby. Nie ulegało wątpliwości, że było jeszcze coś więcej, coś, czego tamten nie chciał mu powiedzieć, lecz - poza zastosowaniem fizycznego przymusu - nie mógł już za cholerę nic w tej sprawie zrobić.

Zaś fizyczny przymus nie okazałby się skuteczny w odniesieniu do kogoś takiego jak Clemens, którego wrodzony upór nie pozwoli mu przyznać, że nie pozostał mu już nawet skrawek dumy, którego mógłby bronić.

- Jazda stąd.

Clemens podniósł się bez słowa i po raz drugi skierował w stronę drzwi.

- Jeszcze jedno. - Medyk zatrzymał się i obejrzał za siebie, by stwierdzić, że naczelnik obserwuje go uważnie. Codzienna rutyna tego miejsca jest dla mnie wygodna. Dla pana również. Skodyfikowana monotonia może przynosić uspokojenie. Nie zamierzam pozwolić, by ją zakłócono. Systematyczne powtarzanie znajomych zadań jest najlepszym i najbezpieczniejszym narkotykiem. Nie dopuszczę do tego, by zwierzęta zostały podrażnione. Ani przez kobietę, ani przez wypadki. Ani przez pana.

- Jak pan sobie życzy - odparł Clemens miłym głosem.

- Niech panu nie przychodzą do głowy żadne zabawne pomysły. Samodzielne działanie jest na Fiorinie pojęciem pozbawionym sensu. Niech pan nie myśli za dużo. To podważy pańską pozycję w naszej małej społeczności, a zwłaszcza w moich oczach. W efekcie zaszkodzi pan tylko sobie. Lepiej, żeby nie zapomniał pan o swoich długofalowych celach. Posiada pan zobowiązania względem tej instytucji oraz pańskiego pracodawcy. Wyłącznie. Żadni obcy ludzie, żadne fałszywe wyobrażenia, jakie mógł pan zbudować na fundamencie nudy, nie liczą się. Ona wkrótce odleci, a my tu pozostaniemy. Pan i ja, Dillon, Aaron i cała



reszta. Wszystko będzie tak samo, jak przed rozbiciem się promu. Proszę nie narażać na niebezpieczeństwo pańskiej godnej pozazdrosczenia pozycji w imię ulotnej abstrakcji.

Rozumie pan?

- Tak. Wyraża się pan całkiem zrozumiale. Nawet dla kogoś takiego jak ja.

Andrews nie przerwał swych niespokojnych rozważań. - Nie życzę sobie żadnych kłopotów z naszymi pracodawcami. Nie życzę sobie w ogóle żadnych kłopotów. Płacą mi za to, żebym im zapobiegał. Nasza obecność tutaj... wzbudza niechęć pewnych elementów społecznych na Ziemi. Aż do tego incydentu nie mieliśmy tu wypadku śmierci z przyczyn innych niż naturalne od czasu, gdy ta grupa przejęła obowiązki dozorców od swych poprzedników. Zdaję sobie sprawę, że nie sposób było temu zapobiec, niemniej będzie to niekorzystnie wyglądało w aktach. Nie lubię sprawiać niekorzystnego wrażenia, panie Clemens. - Zmrużył oczy, patrząc na medyka. - Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

- Znakomicie, sir.

-Andrews ciągnął dalej.

- Ekipa ratunkowa i zaopatrzeniowa przybędzie tu wkrótce. Tymczasem niech pan ma panią porucznik na oku i gdyby zauważył pan coś, co, hmm, mogłoby wywołać niepokoje, wiem, że mogę polegać na panu i że zawiadomi mnie pan natychmiast. Prawda?

Clemens skinął raźnie głową.

- Tak jest.

Choć naczelnik był jedynie częściowo udobruchany, nie potrafił już powiedzieć nic więcej.

- No dobrze. A więc zrozumieliśmy się nawzajem. Dobranoc, panie Clemens.

- Dobranoc, panie naczelniku. - Clemens zamknął cicho za sobą drzwi.

Wiatr na Fiorinie wiał raz silniej, raz słabiej. Niekiedy tracił siłę i stawał się zrzedliwym

zefirkiem, a innym razem nabierał mocy gwizdzącego tornada. Nigdy jednak nie cichł zupełnie. Wiał przez cały czas od zatoki, przynosząc woń wody do zewnętrznych sekcji kompleksu. Czasami burze i prądy morskie przynosiły z głębin inne, bardziej obce wonie, które opadały po spirali przez szyby wentylacyjne i prześlizgiwały się przez płuczki wieżowe, by przypomnieć ludziom, że świat, na którym mieszkali, jest obcy przybyszom z odległej Ziemi i, jeśli zdoła, zabije ich.

Zdarzały im się krajoznawcze wycieczki, lecz bardzo rzadko. Przenosili znajome wnętrza olbrzymiego kompleksu nad przygnębiającą otwartość posępnego krajobrazu. Nie było tam na co patrzeć, poza ciemnymi falami rozbijającymi się na czarnej piaszczystej plaży. Nic nie przypominało im świata, który ongiś znali. Całe szczęście. Takie wspomnienia były bardziej bolesne niż najcięższa nawet harówka.

Woda była zimna i stanowiła środowisko maleńkich odrażających stworzeń, które gryzły. Czasami kilku mężczyzn wyruszało na ryby, lecz tylko po strawę dla ciała, nie zaś dla ducha.

Wewnątrz kompleksu było ciepło i sucho. Wiatr stanowił tylko odległą, dysharmonijną muzykę, którą można było ignorować. Czasami jednak musieli wychodzić na zewnątrz. Wycieczki te zawsze były krótkotrwałe. Odbywano je z jak największym pośpiechem i przemieszczano się w ich trakcie z jednego schronienia do drugiego z maksymalną prędkością.

Ale postać przerzucająca ukrytą górę odpadków działała metodycznie i uważnie. Ripley chodziła po powierzchni ogromnego wykopu z oczyma wbitymi w jego nieregularną powierzchnię. Dawne wyrobisko wypełniał niepotrzebny, popsuty sprzęt. Przedzierała się z wysiłkiem między gigantycznymi częściami maszyn, dziurawymi cysternami i kontenerami, zużytymi koronkami wiertniczymi wielkości małych ciężarówek, jaskrawo ubarwionymi pnączami starych przewodów i skorodowanych rur.

Na zewnątrz szalał wiatr. Zaciskała kołnierz kombinezonu, który znalazł dla niej

Clemens. Spustoszony krajobraz mechanicznych części wydawał się ciągnąć bez końca.

Zimno wciąż przenikało do jej mięśni, spowalniając ruchy i dekoncentrując.

Jednak nie na tyle, by nie zauważyła kosztownych srebrzystych włókien wystających z niewielkiej sterty świeżo wyrzuconych śmieci. Przyklęknęła i zaczęła rozgrzebywać odpadki, przesuając na bok zniszczony sprzęt i worki załadowane śmieciami, by odsłonić...

Bishopa.

Albo, dokładniej, to co z niego pozostało. Części androida poniewierały się wśród reszty odpadków i Ripley musiała w nich grzebać i przebierać przez następną godzinę, zanim nabrała pewności, że odnalazła absolutnie wszystko, co mogło się przydać.

Przystąpiła do wstępnej próby odpowiedniego rozlokowania części. Efekt był nie tylko mało zachęcający, lecz wręcz żałosny. Brakowało większej części twarzy i żuchwy - uległy zmiżdżeniu wewnątrz promu tak, że nie sposób było ich rozpoznać, bądź zginęły gdzieś w otaczającej ją kupie śmieci. Fragmenty szyi, lewego barku i pleców zdołały w jakiś sposób przetrwać nietknięte. Ponadto były tam też delikatne podzespoły, które wysypały się lub zostały wyrwane z obudowy.

Samotna, z zaciętą twarzą, zaczęła ostrożnie pakować je do worka, który przyniosła ze sobą.

W tej właśnie chwili wokół jej szyi owinęło się ramię, a ręce chwyciły ją mocno za barki.

Pojawiła się następna ręka, która wtargnęła gorączkowo pomiędzy nogi i zaczęła pieścić brutalnie. Przed nią pojawił się mężczyzna. Uśmiechał się, lecz jego twarz była pozbawiona wesołości.

Z krzykiem wyrwała się z uścisku. Zaskoczony więzień gapił się tylko, gdy jej pięść wylądowała na jego twarzy, a stopa pomiędzy udami. Gdy mężczyzna padł na ziemię, pojawił

się więzień Junior, który otoczył ją grubymi ramionami, podniósł z ziemi przy wtórze zachęcających chichotów swych towarzyszy, cisnąc na skorodowaną rurę i rozpostarł tam.

Zbliżyli się pozostali mężczyźni. Odór ich ciała zabił woń soli. Oczy błyszczały.

- Kończcie z tym.

Gregor odwrócił się i zmrużył oczy, gdy dostrzegł nadchodzącą sylwetkę. Dillon.

Uśmiechnął się wymuszenie.

- Wskakuj w kolejkę, facet. Chcesz być pierwszy?

- Powiedziałem, kończcie z tym - powiedział Dillon niskim, złowieszczym tonem.

Oparty całym ciężarem na usiłującej zaczerpnąć oddechu Ripley Junior odwarknął przez ramię.

- Hej, co ci do tego, facet?

- To jest złe.

- Spierdalaj.

Dillon ruszył na nich gwałtownie. Dwaj mężczyźni stojący z tyłu padli ciężko na ziemię.

Junior odwrócił się błyskawicznie i zamachnął ciężką pięścią jak kosą, lecz jego przeciwnik uchylił się tylko, zdzielił go w brzuch i złapał za metalowy pręt. Junior zachwiał się i spróbował uchylić, lecz pręt trafił go w bok czaszki. Drugi cios był silniejszy. Junior padł na ziemię jak kłoda.

Pozostali skulili się ze strachu. Dillon zdzielił pierwszych dwóch raz jeszcze, po to tylko, by dać im do myślenia. Potem zwrócił się w stronę Ripley z uroczystym wyrazem twarzy.

- Nic ci nie jest?

Podniosła się, nadal ciężko oddychając.

- Nic. Tylko moje uczucia ucierpiały.

- Znikaj - powiedział jej, wskazując na współwięźniów. - Muszę dokonać reedukacji

niektórych z braci. Będziemy omawiać pewne sprawy duchowe.

Skinęła głową, dźwignęła torbę pełną Bishopa i skierowała się ku wyjściu. Gdy przechodziła obok mężczyzn leżących na ziemi, Gregor spojrział na nią. Zdzieliła go prosto w twarz. Poczawszy się lepiej ruszyła w dalszą drogę.

7.

Jest noc, ciemna noc. Jest bezwzględna pustka snów, których światełka mają jedynie urojony charakter. Poza tym wszystkim jest próżnia oświetlana, choć słabo, przez milion bilionów nuklearnych pieców.

Prawdziwa ciemność, całkowita nieobecność światła, miejsce, gdzie zabłąkany foton jest równie bezsilny jak atomowa anomalia, można znaleźć jedynie głęboko pod ziemią. "W jaskiniach, których nie zmierzy człowiek", jak brzmi stara, liryczna strofa. Lub też w tych szczelinach i rozpadlinach, które człowiek tworzy, by odebrać planetom ich bogactwa.

Drobny, lecz sam w sobie robiący wrażenie fragment jednego z zakątków Fioriny podziurawiony był podobnymi wykopami, które przecinały się i krzyżowały ze sobą, jak elementy rozległej, nie do objęcia wzrokiem układanki, której ogólny układ był rozróżnialny jedynie na planach pozostawionych przez górników.

Boggs trzymał nasyconą woskiem pochodnię wysoko nad głową. Potrząsnął nią w chwili, gdy Rains zapalił świecę. Dla takich ludzi jak oni ciemność nie jest czymś, czego należy się obawiać. Oznacza po prostu nieobecność światła. W tunelach było też ciepło, ciepło niemal nie do zniesienia.

Rains postawił długowieczną świecę na podłodze, tuż przy ścianie. Za nimi ciągnął się szereg identycznych płomieni wyznaczających trasę, którą przeszli, i wskazujących powrotną drogę do zamieszkałej części zespołu.

Golic usiadł opierając plecy o drzwi umieszczone w litej skale. Widniała tam wywieszka, wytarta i poobijana przez maszynierię i czas.

WYSYPISKO ODPADKÓW TOKSYCZNYCH

TA PRZESTRZEŃ JEST HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTA

NIE UPOWAŻNIONEMU PERSONELOWI WSTĘP WZBRONIONY

To całkowicie odpowiadało poszukiwaczom. Nie mieli ochoty otrzymywać odpowiednich upoważnień.

Rains rozpostarł u swych stóp mapę i przykucnął, by przyjrzeć się liniom i szybom w świetle pochodni. Nie była to zwykła mapa pokryta pionowymi i poziomymi kreskami. Szyby dzieliły się na stare i stosunkowo nowe, zasypane i otwarte ponownie, wręby pochyłe i drogi dojazdowe o zredukowanej średnicy przystosowane wyłącznie do ruchu wyspecjalizowanych maszyn. Nie wspominając już o tysiącach przecinających je kanałów powietrznych. Różne kolory symbolizowały odmienne rzeczy.

Liczne poprzednie ekspedycje dały więźniom pewne wyobrażenie o tym, czego się spodziewać, zawsze jednak istniała możliwość, że nowa ekipa może się nadziać na coś nieoczekiwanego. Jeden błędny bajt w jednostkach pamięci mógł przesunąć głębinowy szyb dziesięć metrów w bok albo do innego tunelu. Mapa była w najlepszym razie niepewnym przewodnikiem. Posuwali się więc naprzód ostrożnie, pokładając wiarę we własnych zmysłach, nie w przestarzałych wydrukach.

Boggs nachylił się tuż nad Rainsem.

- Ile? - Choć mówił cicho, jego głos poniósł się echem po korytarzu o gładkich ścianach.

Rains porównał mapę ze swym przenośnym pakietem danych.

- Z tym będzie sto osiemdziesiąt sześć. Jego towarzysz chrząknął.

- Myślę, że zasłużyliśmy sobie na urlop. Wracajmy już.

- Nie da rady. - Rains wskazał na tunel rozciągający się przed nimi, jak się zdawało, bez końca. - Musimy przynajmniej zliczyć resztę tego odcinka. Inaczej Dillon da nam po łbie.

- To, czego nie wie, nie może go zdenerwować. Ja mu nie powiem. A jak ty, Golic?

Trzeci członek ekipy grzebał w swym plecaku. Usłyszawszy własne nazwisko podniósł wzrok, zmarszczył brwi i wydał z siebie niski dźwięk o bliżej nie określonym, pytającym

charakterze.

- Tak właśnie myślałem.

Golic podszedł do starego automatu z papierosami, kopnął w zamek, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i zaczął ładować do torby paczki zachowanych narkopapierosów. Rzecz jasna podczas tej pracy nie przestał żuć.

Na powierzchni odgłos ten był znacznie trudniejszy do uchwycenia, jednakże w ciasnej przestrzeni i totalnej ciszy tunelu dudniące przeżuwanie Golica przywodziło na myśl dźwięk wielkiej, źle nasmarowanej maszyny. Boggs zaczął narzekać.

- Czy nie możesz żuć z zamkniętymi ustami? Albo, jeszcze lepiej, połknąć ten syf, który zresz, w całości? Staram się określić, jak wielkie jest to pomieszczenie, żebyśmy mogli zdecydować, czy to autentyczny magazyn substancji toksycznych czy też prywatny składzik jakiegoś górnika, a przez ten cholerny hałas nie mogę się skupić.

Rains zaszeleścił mapą wyrażając swą dezaprobatę.

- To, że jesteśmy daleko od innych, nie oznacza, że możemy lekceważyć przykazania. Nie powinieneś przeklinać.

Boggs zacisnął usta.

- Przepraszam. - Przeszył Golic wzrokiem jak sztyletem, lecz on rzecz jasna, zignorował ich. Wreszcie Boggs zrezygnował i podniósł się, by zerknąć w głąb tunelu. - Okrążyliśmy jeden raz całą tę sekcję. To wszystko, czego można od nas wymagać. Ile zostało świec? - Z podłogi nie nadbiegła żadna odpowiedź. - Rains, ile jest świec?

Jego towarzysz nie słuchał, lecz drapał się z furią. Była to gwałtowna reakcja nerwowa nie mająca nic wspólnego z wszami. Tych zresztą nie spotykało się w tunelach. Zachowanie to było tak niezwykle i nietypowe, że zdołało nawet dokonać niebywałego wyczynu, jakim było odwrócenie uwagi Golica od jedzenia. Boggs wbił wzrok w stronę, skąd przybyli.



Świece, które wskazywały im drogę powrotną na powierzchnię, gasły jedna po drugiej.

- Co je, do cholery, gasi?

Golic wydał wargi, wycierając grzbietem dłoni resztki jedzenia z ust.

- Nie powinieneś przeklinać.

- Zamknij się. - W głosie Boggsa pojawił się nie strach, gdyż w tunelach nie było nic, czego można by się bać, lecz niepokój. - Można powiedzieć "cholera". To nie jest przeciw Bogu.

- Skąd wiesz? - wymamrotał Golic z niemal dziecięcą ciekawością.

- Stąd, że jak ostatnio rozmawialiśmy, zapytałem go i powiedział, że można. Zamknij się już.

- Dillon będzie krzyczał, jeśli wrócimy z niczym - zauważył Golic. Pod wpływem tajemnicy stał się naprawdę rozmowny. Boggs doszedł do wniosku, że woli go już, gdy nie robi nic poza przeżuwaniem.

- Niech sobie krzyczy. - Począł, aż Rains zapali następną pochodnię. Golic niechętnie zapakował pozostawione jedzenie i podniósł się. Wszyscy trzej popatrzyli w głąb tunelu, w kierunku, skąd przyszli. Cokolwiek gasiło świece, nadal była niewidzialne.

- To na pewno powiew z któregoś z szybów wentylacyjnych. Strumieni z najbliższego przewodu powietrznego. A może burza na powierzchni. Wiecie, co mogą narobić te nagłe prądy zstępujące. Cholera! Jeśli wszystkie świece pogasną, to skąd będziemy wiedzieć, gdzie jesteśmy?

- Mamy jeszcze mapę. - Rains dotknął palcami twardego wydruku.

- Chcesz trafić z powrotem na podstawie tego?

- Hej, nic takiego nie powiedziałem. Chodzi mi tylko o to, że nie zabłądziliśmy. Mamy tylko drobną przeszkodę.

- No więc nie lubię drobnych przeszkód i nie chcę tkwić tu dłużej niż to bezwzględnie konieczne.

- Ja też nie chcę. - Rains westchnął z rezygnacją. Wiesz, co to oznacza. Ktoś będzie musiał wrócić i pozapalać je na nowo.

- Chyba, że chcesz na tym poprzestać? - zapytał Boggs z nadzieją w głosie.

Rains zdołał się uśmiechnąć.

- He, he. Skończmy ten tunel, to będziemy mogli wracać.

- Jak sobie chcesz. - Boggs skrzyżował ramiona. Udało mu się przybrać pozę człowieka, który nie zamierza nigdzie się śpieszyć. - Ale to ty będziesz musiał to zrobić.

- Niech będzie. Mam wrażenie, że zostałem wyznaczony.

Boggs skinął dłonią na Golic.

- Daj mu swoją pochodnię.

Tamten miał opory.

- W ten sposób zostanie nam tylko jedna.

- Nie ma w tym nic złego. - Boggs zakręcił wkoło pochodnię na dowód prawdziwości swych słów. - Poza tym mamy też resztę świec. Zresztą Rains zaraz wróci. Prawda, stary?

- Tak szybko, jak się da. To nie powinno potrwać długo.

- No widzisz.

Golic oddał niechętnie pochodnię wyższemu mężczyźnie. On i Boggs obserwowali, jak ich towarzysz rusza wzdłuż szeregu świeczek, zatrzymując się przy każdej, by ją zapalić.

Wszystkie stały na podłożu w miejscach, gdzie je pozostawiono. Nie było widać żadnych śladów sugerujących, co mogłoby je zgasić.

To tylko nagły prąd zstępujący, powiedział sobie Rains. Na pewno. Głos Boggsa odbijał się echem po korytarzu, coraz słabszy w miarę, jak rosła odległość między nimi.

- Hej, Rains, uważaj, gdzie idziesz! - Oznaczyli parę pionowych szybów po drodze, lecz mimo to, gdyby Rains zanadto się śpieszył, w ciemności o wypadek nigdy nie było trudno.

Rains był wdzięczny za ostrzeżenie. Ten, kto mieszka w ciasnym pomieszczeniu z garstką ludzi przez stosunkowo długi czas, uczy się polegać na towarzyszach. Boggs nie miał się, co prawda, o co martwić. Rains posuwał się naprzód z godną podziwu ostrożnością.

Przed nim zgasła następna świeca. Zmarszczył brwi. Nie było ani śladu powiewu ani niczego, co świadczyłoby o obecności hipotetycznego prądu powietrznego. Co jeszcze mogłoby gasić świece? Znano bardzo niewiele żywych organizmów, które spędzały długi czas w tunelach. Istniał pewien gatunek prymitywnego, wielkiego owada, który był wystarczająco duży, by przewrócić świecę, czemu jednak cały ich szereg? Potrząsnął smutnie głową, choć w pobliżu nie było nikogo, kto zauważyłby ten gest. Owad nie mógłby się poruszać z taką szybkością.

A więc co?

Świece, które zapalił ponownie, płonęły za jego plecami, dodając mu odwagi.

Wyprostował się. Nie działały tu żadne nadprzyrodzone siły. Podniósł w górę pochodnię i skierował ją w głąb tunelu. Nie dostrzegł nic.

Uklęknął, zapalił kolejną świecę i ruszył ku następnej w szeregu. I wtedy światło jego pochodni odbiło się od ścian, od gładkiej skały tunelu. Od czegoś kanciastego i masywnego.

To coś poruszyło się.

Bardzo szybko, och, jak bardzo szybko. Refleksy świetlne niczym chromowane szkło wtopione w czarny, twardy jak diament metal. W chwili gdy stworzenie skoczyło bezgłośnie w jego stronę, wydało z siebie nie pasujący do sytuacji łagodny, bulgocący dźwięk. Ten stwór nie kojarzył się z niczym. Nigdy nie widział czegoś podobnego, chyba że w szczególnie złych snach zapamiętanych z okresu dzieciństwa.

Runęło na niego bez chwili zwłoki. W tym momencie z radością poszukałby schronienia w najgorszym ze swych koszmarów.

W odległości stu metrów Golic i Boggs usłyszeli pojedynczy, niosący się echem krzyk swego towarzysza. Zimny pot zalał kark i dłonie Boggsa. Co najstraszniejsze, krzyk nie ucichł natychmiast, lecz cichł stopniowo niczym wysoki gwizd ginący w oddali.

Ogarnięty nagłą paniką Boggs złapał ostatnią pochodnię i rzucił się do ucieczki wzdłuż korytarza w stronę przeciwną do tej, z której nadbiegł krzyk. Golic pognął za nim.

Boggs nigdy by nie pomyślał, że wciąż jest zdolny poruszać się z taką szybkością. Na krótką chwilę naprawdę zdołał oddalić się od swego towarzysza, potem jednak dał o sobie znać brak tchu i Boggs zwolnił. Pochodnia, którą ścisnął w rękę, rzucała szalone cienie na ściany, sufit i podłogę. W chwili gdy Golic go dopędził, Boggs był całkowicie wyczerpany i w równym stopniu zdezorientowany. Tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że nie wpadli do otwartego wykopu ani nie runęli do szybu łącznikowego.

Chwiejąc się lekko na nogach, złapał drugiego mężczyznę za ramię i okręcił go w koło.

Golic gapił się na niego w tępym przerażeniu.

- Nie słyszałeś tego? To był Rains! O Boże, to był Rains.

- No. - Boggs usiłował zaczerpnąć oddechu: - Słyszałem. Coś sobie zrobił.

Wyszarpnął pochodnię z drżących palców tamtego i omiótł światłem opuszczony korytarz.

- Musimy mu pomóc.

- Pomóc mu? - Golic wybałuszył oczy. - Ty mu pomagaj. Ja chcę się stąd wydostać.

- Spokojnie. Ja też. Ja też. Najpierw musimy się pokapować, gdzie jesteśmy.

- Czy to nie świeca?

Boggs odwrócił się i postąpił ostrożnie kilka kroków przed siebie. W istocie, ciągnąca się

w dal linia migoczących świateł była wyraźnie widoczna.

- Cholera. Na pewno przeszliśmy przez tunel łącznikowy. Zatoczyliśmy koło.

Wróciliśmy...

Zatrzymał się, kierując światło na przeciwległą ścianę. Oparta o nią tkwiła postać sztywna jak to, co można było znaleźć w chłodni.

Rains.

Wpatrzony nie w nich, lecz w nicość. Jego oczy były szeroko rozwarte i nieruchome jak mrożona galareta. Wyraz jego twarzy nie był czymś, na co ludzie powinni patrzeć. Reszta jego ciała była... reszta jego ciała była...

Boggs poczuł, jak gorąca, alkaliczna fala uderza mu do gardła. Zgiął się wpół i zaczął gwałtownie wymiotować. Pochodnia wypadła z jego nagle osłabłych palców. Golic uklęknął, by ją podnieść. Gdy wstawał, spojrzał przypadkiem na sufit.

Na górze coś było. Coś na pułapie. Było wielkie, czarne i szybkie, a oblicze tego czegoś stanowiło wizję z piekła rodem. Wpatrywał się z otwartymi ustami, gdy sięgnęło w dół, zwisając na zaopatrzonych w pazury tylnych nogach jak gigantyczny nietoperz i objęło głowę Boggsa parą rąk o palcach przypominających wyposażone w stawy kable. Boggs wciągnął nagle powietrze, dusząc się własnymi wymiocinami.

Nagłym, konwulsyjnym szarpnięciem pająkkształtne monstrum zerwało głowę Boggsa z ramion równie łatwo, jak Golic wyrwałby z wkrętu poluzowaną śrubę. Lecz nie tak czysto. Z bezgłowego tułowia trysnęła fontanna krwi, która obryzgała stworzenie, zwłoki Rainsa i zaczarowanego Golic. Paraliż ustąpił nagle, lecz jednocześnie coś uszkodziło się w jego głowie.

Z upiorną obojętnością maskaron cisnął na podłogę zerwaną z tułowia czaszkę Boggsa i zwrócił się powoli w stronę ostatniej z dwunogich form życia. Jego zęby błyszczały jak

sztabki platyny wyrwane z wnętrzości Fioriny.

Wyjął, jakby ścigały go wszystkie legiony potępionych, Golic odwrócił się błyskawicznie i pognął wzdłuż tunelu. Nie patrzył, dokąd biegnie, nie myślał o tym, co widział, a nade wszystko nie oglądał się za siebie. Nie odważył się.

Wiedział, że gdyby to zrobił, mógłby coś zobaczyć.

Resztki Bishopa leżały rozłożone starannie na stole roboczym. Jasne światła na suficie oświetlały każdą z części. Narzędzia spoczywały w oprawkach, gotowe do użytku. Obfitość poprzerrywanych, cienkich jak włosy włókien światłowodowych była przerażająca.

Niektóre z nich Ripley po prostu pozwiązywała najlepiej jak potrafiła. Jej doświadczenie nie obejmowało wykonywania napraw na poziomie mikroskopowym. Spędziła mnóstwo czasu, łącząc części jak tylko umiała, podłączając je i zespalaając taśmą we wszystkich miejscach, gdzie w oczywisty sposób znajdowały się złącza, w nadziei, że nic absolutnie niezbędnego nie wykroczy poza jej ograniczony talent do improwizacji.

Wytarła oczy i przyjrzała się swemu dziełu. Wyglądało obiecująco; to jednak nic jeszcze nie oznaczało. Teoretycznie istniała szansa, że będzie działać, lecz z drugiej strony teoretycznie w ogóle nie powinna była popaść w tę kabałę.

Jedyny sposób, aby się przekonać, to spróbować. Sprawdziła najistotniejsze połączenia, po czym dotknęła przełącznika. Coś zaskwierczało przez chwilę. Szarpnęła się na krześle do tyłu, po czym poprawiła złącze i ponownie sięgnęła po przełącznik. Tym razem nie było żadnych nieprzewidzianych błysków.

Ostrożnie wprowadziła wiązkę włókien światłowodowych w coś, co - jak miała nadzieję - było nadal funkcjonującym samosortującym gniazdkiem kontaktowym. Czerwony odczyt cyfrowy na jednostce testującej znajdującej się tuż obok przeszedł natychmiast od zera do liczby pomiędzy siedem i osiem. Gdy przestawiła następny przełącznik, cyfry zamigotały, lecz

nie zmieniły wartości.

Ocalałe oko androida mrugnęło. Ripley pochyliła się do przodu. "Komenda oddziaływania werbalnego. Uruchomić sekwencję samotestującą." Nagle zadała sobie pytanie, czemu mówi szeptem.

Wewnątrz poobijanej sztucznej czaszki coś zajęczało. Pozostałe światła na jednostce testującej mrugnęły zachęcająco. Sztuczna krtka wydała z siebie nieartykułowany bulgot. Kolagenowe wargi rozchyliły się lekko.

Sięgnęła niespokojnie ku otwartemu gardłu. Pogrzebała wewnątrz palcami. Bulgot ucichł, a pojedyncze oko zatrzymało się na jej twarzy.

- Ripley.

Odetchnęła głęboko. Uzyskała wizję, procesy myślowe, koordynację i pamięć.

Zewnętrzne uszy wyglądały całkiem dobrze, lecz to niczego nie oznaczało. Liczył się jedynie stan wewnętrznych obwodów.

- Cześć, Bishop. - Zaskoczyło ją ciepło własnego tonu. Ostatecznie nie zwracała się do istoty ludzkiej. - Proszę złożyć wstępny raport na temat stanu.

Nastąpiła przerwa, po której, to było zdumiewające, android łypnął na nią wyraziście swym jedynym okiem.

- Stan jest parszywy. Straciłem funkcje ruchowe. Pozaczaszkowe urządzenia peryferyjne nie reagują, możliwości wykonywania zaprogramowanych funkcji równe zero. Podstawowe urządzenia sensoryczne działają na minimalnym poziomie. Niezbyt optymistyczna autodiagnoza, obawiam się.

- Przykro mi to słyszeć - oznajmiła szczerze. Chciałabym, że było inaczej.

- Nie w takim stopniu jak ja.

- Czy czujesz cokolwiek?

- Tak. Nogi mnie bolą.

Zacisnęła wargi.

- Przykro mi, że...

- Nic nie szkodzi. Symulacja bólu to jedynie dane, które, jak sądzę na podstawie mojego aktualnego stanu, nie są zapewne dokładne. Potwierdzasz?

- Obawiam się, że tak. - Zdołała uśmiechnąć się niewyraźnie. - Niestety, twoje nogi, podobnie jak większość pozostałych części, skończyły tak, jak kończy wszelkie ciało.

- Fatalnie. Szkoda, że te wszystkie części najwyższej jakości się zmarnują. Co prawda, wobec wszechświata to się nie liczy. Ostatecznie jestem jedynie udoskonalonym opiekaczem. Jak się masz? Podoba mi się twoja nowa fryzura. Przypomina mi czasy, zanim zainstalowano mi wyposażenie dodatkowe, z tym, że mniej się błyszczy.

- Widzę, że twoje poczucie humoru pozostało nienaruszone.

Oko mrugnęło.

- Jak już mówiłem, podstawowe funkcje umysłowe są nadal czynne. Humor zajmuje bardzo niewielką część pojemności interpretacyjnej mojej pamięci o dostępie swobodnym.

- Nie zgadzam się. - Jej uśmiech zamarł. - Potrzebna mi twoja pomoc.

Spomiędzy sztucznych warg wydobył się bulgot.

- Nie licz na nic wielkiego.

- To nie wymaga rozległej analizy. Chodzi tylko o bezpośrednie sondowanie. Tu, gdzie jestem, nie posiadają zbyt wiele, jeśli chodzi o możliwości dostępu. Chcę się dowiedzieć, czy możesz uzyskać dostęp do banku danych urządzenia rejestrującego dane lotu promu ratunkowego?

- Nie ma sprawy. A po co?

- Szybciej się dowiesz z zapisu, niż mogłabym ci wyjaśnić. Potem mi powiesz.



Oko obróciło się.

- Mogę to sobie wyobrazić. Będziesz musiała skorzystać z bezpośredniego połączenia czaszkowego, ponieważ straciłem urządzenia pomocnicze.

- Wiem. Jestem przygotowana... mam nadzieję.

- No to włączaj.

Ujęła w rękę włókno wychodzące z czarnej skrzynki i pochyliła się nad pozbawioną ciała czaszką.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Mam nadzieję, że nie będzie bolało, co?

- Wprost przeciwnie. Mam nadzieję, że dzięki temu poczuję się lepiej.

Skinęła głową i wprowadziła delikatnie włókno do jednego z kilku gniazdek znajdujących się z tyłu głowy. Poruszyła nim lekko, aby się upewnić, że dobrze pasuje.

- To łaskocze.

Cofnęła gwałtownie palce.

- Żartowałem tylko - powiedział android z uspokajającym uśmiechem. - Rób tak dalej.

Zamknął oczy i zmarszczył w zamyśleniu pozostałość czoła. Był to, zdała sobie sprawę z podziwem, jedynie element nadmiarowego programu kosmetycznego, dodało jej jednak odwagi, gdy ujrzała, że działa jeszcze coś oprócz podstawowych funkcji androida.

- Jesteśmy w domu - mruknął Bishop w kilka minut później. - Trwało to dłużej, niż się spodziewałem. Musiałem wysondować kilka uszkodzonych sektorów.

- Sprawdziłam urządzenie, kiedy je znalazłam. Wyszło niżej, że jest w porządku.

- Faktycznie jest. To we mnie są uszkodzone sektory. Czego chcesz się dowiedzieć?

- Wszystkiego.

- Rejestrator lotów "McNary", model OV-122, numer serii FR-3664874, zainstalowane...

- Czy utraciłeś wszystkie obwody intuicji językowej? Wiesz, co chciałam powiedzieć. Od

chwili, gdy zaczął się stan zagrożenia. Co się wydarzyło na *Sulaco*? Dlaczego wyrzucono ze statku kapsuły hibernacyjne?

Z krtani androida wydobył się nowy głos. Był kobiecy i brzmiał mechanicznie.

- Gazy wybuchowe w pomieszczeniu kriogenicznym. Ogień w pomieszczeniu kriogenicznym. Cały personel zgłosił się do stacji ewakuacyjnych. - Głos Bishopa powrócił. - Jest tu wielka liczba powtórzeń bez istotnej zmiany w treści. Czy chcesz usłyszeć je wszystkie?

Ripley potarła się w brodę w głębokim zamyśleniu.

- Nie, to na razie wystarczy. Gazy wybuchowe? Skąd się wzięły? I co wywołało ogień? Gdy odpowiedź nie nadchodziła, poczuła niepokój.

- Bishop? Słyszysz mnie?

Rozległ się bulgot, po którym usłyszała aksamitny głos androida.

- Przepraszam. To jest trudniejsze, niż się spodziewałem. Włączenie mocy i działanie osłabiają uszkodzone już sektory. Ciągłe tracę pamięć i zdolność udzielania odpowiedzi. Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam wytrzymać. Lepiej zadawaj krótkie pytania.

- Nie wyłączaj mi się jeszcze, Bishop - powiedziała zaniepokojona. - Pytałam cię o raport w sprawie ognia.

- Ogień... - \*trzask\* - ... tak. Iskra elektryczna pod podłogą pomieszczenia kriogenicznego. Obecność katalizatora w połączeniu z uszkodzonymi materiałami stała się przyczyną powstania gazu wybuchowego. Wentylacja zawiodła całkowicie. Skutki stanowiły bezpośrednie zagrożenie dla życia. Dlatego statek podjął decyzję o ewakuacji. Po jej dokonaniu prom wykrył dowody eksplozji na pokładzie statku, która uszkodziła układ sterowniczy. Z tego powodu nasze lądowanie w tym miejscu było dalekie od doskonałości. Obecna sytuacja *Sulaco* nie jest znana. Dostępne są dalsze szczegóły lotu *Sulaco* do miejsca,

w którym się znajdujemy.

- Pomiń je. Czy sensory wykryły obecność jakichś mobilnych form życia na pokładzie *Sulaco* przed awaryjnym rozdzieleniem?

Cisza. Nagle:

- Tu jest bardzo ciemno, Ripley. Wewnątrz. Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby było ciemno. W chwili gdy rozmawiamy, kolejne moje segmenty przestają działać.

Rozumowanie staje się coraz trudniejsze. Jestem zmuszony do polegania wyłącznie na układzie logicznym. Nie podoba mi się to. To zbyt ciężkie. W niczym nie przypomina tego, do czego mnie skonstruowano. Nie jestem tym, czym byłem niegdyś.

- Jeszcze chwilę, Bishop - nalegała. Spróbowała zwiększyć moc, lecz nie dało to nic, poza tym, że oko Bishopa poszerzyło się lekko. Ripley pośpiesznie wróciła do przepisanego poziomu.

- Wiesz, o co pytam. Czy urządzenie rejestrujące wykazało obecność na pokładzie *Sulaco* czegoś poza czworgiem ocalonych z Acherona? Czy na pokładzie był obcy? Bishop!

Nic. Nastroiła dokładnie instrumenty, trąciła lekko urządzenia kontrolne. Bishop łypnął okiem.

- Wycofaj się. Jeszcze tu jestem. Odpowiedzi też. Po prostu na to, żeby połączyć jedno z drugim, trzeba coraz więcej czasu i więcej. Odpowiedź na pytanie. Tak.

Ripley odetchnęła głęboko. Wydawało jej się, że pracownia kurczy się, a ściany napierają na nią. Nie oznacza to, że w ambulatorium czułaby się bezpiecznie. Już od dłuższego czasu nie czuła się bezpiecznie w żadnym miejscu.

- Czy on jest wciąż na *Sulaco*, czy też przyleciał z nami promem?

- Był z nami przez cały czas.

- Czy Towarzystwo o tym wie? - spytała przez zaciśnięte gardła.

- Towarzystwo wie o wszystkim, co wydarzyło się na pokładzie statku od czasu, gdy wyleciał z Ziemi na Acherona, aż do chwili obecnej, zakładając, że nadal jest tam gdzieś nienaruszony. Wszystkie dane napływają do centralnego komputera i są przekazywane do Sieci.

Osaczyło ją uczucie śmiertelności dejavu. Toczyła już o to walkę z Towarzystwem i widziała reakcję. Jeżeli ta pozbawiona twarzy organizacja posiadała choć trochę zdrowego rozsądku czy ludzkich uczuć, były one całkowicie podporządkowane wszechogarniającej, przemożnej chciwości. Na Ziemi poszczególne osoby mogły się starzeć i umierać, zastępowane przez nowy personel i nowych dyrektorów, lecz Towarzystwo było nieśmiertelne. Mogło istnieć bez końca. Z jakichś przyczyn wątpiła, by czas wprowadził jakieś istotne zmiany w jego polityce, nie wspominając już o zbiorowej moralności. W każdym razie nie mogła podejmować ryzyka.

- Czy nadal chcą dostać obcego?

- Nie wiem. Ukryte motywy działania korporacji nie stanowiły istotnego elementu mojego programu. Przynajmniej nie sądzę, żeby stanowiły. Nie mogę być pewien. Nie czuję się za dobrze.

- Zrób mi przysługę, Bishop. Rozejrzyj się i sprawdź to.

Czekała, aż skończy poszukiwania.

- Przepraszam - odezwał się wreszcie. - Nic tam już nie ma. To nie znaczy, że nigdy nie było. Utraciłem możliwość dostępu do sektorów, w których zwykle przechowuje się podobne informacje. Chciałbym ci w tym pomóc, ale w obecnym stanie naprawdę nie nadaję się do zbyt wielu rzeczy.

- Gówno prawda. Twój program tożsamości jest nadal nietknięty. - Nachyliła się do przodu i dotknęła czułym gestem podstawy oddzielonej od tułowia czaszki. - Jest tam jeszcze

w środku wiele z Bishopa. Uratuję twój program. Mam tu pod dostatkiem magazynów pamięci. Jeśli się kiedykolwiek stąd wydostanę, nie zapomnę zabrać cię ze sobą. Będą cię mogli podłączyć na nowo.

- W jaki sposób chcesz ocalić moją tożsamość? Przekopiować ją na standardowy mikroukład pamięci stałej? Wiem, jak to wygląda. Żadnego zmysłowego wejścia ani dotykowego wyjścia. Ślepy, głuchy, głupi i nieruchomy. Ludzie mówią na to otchłań. Wiesz, jak nazywają to androidy? Bagno. Elektroniczne bagno. Serdecznie dziękuję. Wolę zostać unicestwiony niż dostać świra.

- Nie dostaniesz świra, Bishop. Jesteś na to zbyt twardy.

- Czyżby? Tylko w takim stopniu, jak moje ciało i mój program. To pierwsze straciłem, a to drugie szybko zanika. Wolę pozostać nienaruszonym wspomnieniem niż wyschniętą rzeczywistością. Jestem zmęczony. Wszystko mi umyka. Zrób mi tę łaskę i po prostu mnie wyłącz. Jest możliwe odtworzenie mnie i zainstalowanie w nowym ciele, dojdzie jednak do uszkodzeń omfalotycznych, a może również do zaniku tożsamości. Nigdy już nie będę w dobrej formie. Wolałbym nie borykać się z tym. Czy rozumiesz, co to oznacza, wiedzieć, że zawsze już będzie się czymś mniej niż ongiś? Dziękuję, nie. Wolę nicłość.

Zawahała się.

- Jesteś tego pewien?

- Zrób to dla mnie, Ripley. Jesteś mi coś winna.

- Nie jestem ci nic winna, Bishop. Jesteś tylko maszyną.

- Uratowałem ciebie i dziewczynkę na Acheronie. Zrób to dla mnie... jak dla przyjaciela.

Skinęła niechętnie głową. Oko mrugnęło po raz ostatni, po czym zamknęło się spokojnie.

Nie było żadnej reakcji, skurczu czy szarpnięcia, gdy wyciągnęła włókna. Na stole roboczym znowu leżała nieruchoma głowa.

- Przepraszam cię, Bishop, ale jesteś jak stary kalkulator. Przyjazny i wygodny. Jeśli można cię będzie naprawić, dopilnuję, żeby to zrobiono. Jeśli nie, cóż, śpij spokojnie, gdziekolwiek śpią androidy i postaraj się, żeby nic ci się nie śniło. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę do ciebie później.

Podniosła wzrok i spojrzała na przeciwległą ścianę. Wisiało tam pojedyncze holo.

Przedstawiało małą, krytą strzechą chatkę wtuloną pomiędzy zielone drzewa i żywopłoty.

Przed chatką płynął kryształowy niebieskozielony strumień. W górze przemykały chmury. W chwili gdy spoglądała na obraz, niebo pociemniało i nad domem pojawił się wspaniały zachód słońca.

Przesunęła dłońmi po blacie stołu, aż wreszcie zacisnęła je na precyzyjnym ekstraktorze.

Rzucony z całą siłą, na jaką ją było stać, i przyspieszany jej krzykiem wściekłości i frustracji, wyprodukował nadzwyczaj zadowalający hałas, gdy rozbił nieznośnie idylliczną symulację na błyszczące fragmenty.

Większa część krwi na kurtce i twarzy Golic zakrzepła, nabierając gęstej, kleistej konsystencji, część jednak była nadal wystarczająco płynna, by skapywać na stół w jadalni.

Jadł spokojnie, nabierając łyżką kruche płatki. Raz przerwał na chwilę, by dodać trochę cukru z cukierniczki. Patrzył prosto w naczynie, nie widział go jednak. To, co teraz widział, miało charakter ściśle prywatny i całkowicie wewnętrzny.

Dzienny kucharz, który nazywał się Eric, wszedł do sali, niosąc całe naręczne talerzy. Gdy skierował się w stronę pierwszego stolika, dostrzegł Golic i zatrzymał się. I wbił w niego wzrok. Na szczęście talerze były nietłukące. Na Fiorinie trudno było o takie rzeczy jak nowe naczynia.

- Golic? - mruknął wreszcie.

Więzien siedzący za stołem nie przestał jeść i nie podniósł wzroku.

Odgłos spadających na ziemię talerzy sprowadził innych: Dillona, Andrewsa, Aarona, Morse'a i więźnia o imieniu Arthur. Wspólnie z osłupiałym kucharzem wpatrywali się wszyscy w zjawę siedzącą samotnie za stołem.

Golic zauważył wreszcie, że przyciąga uwagę. Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

Oczy miał puste.

W chwili gdy go sprowadzono, Ripley siedziała sama z tyłu ambulatorium. Obserwowała w milczeniu, jak Dillon, Andrews, Aaron i Clemens zaprowadzili związanego w kaftan bezpieczeństwa Golic do łóżka i położyli na nim. Twarz i włosy miał poplamione skrzepłą krwią. Jego oczy poruszały się nieustannie, sprawdzając raz za razem pokrywy wentylatorów, sufit i drzwi.

Clemens zrobił, co mógł, by go oczyścić za pomocą miękkich ręczników, łagodnie działającego rozpuszczalnika i środka dezynfekującego. Golic sprawiał wrażenie, że jest w znacznie gorszym stanie niż w rzeczywistości. Przynajmniej pod względem fizycznym.

Przywiązać go do łóżka musieli Andrews, Aaron i Dillon. Ust mu nie zakneblowano.

- Jak sobie chcecie. Nie słuchajcie mnie. Nie wierzcie mi. To nieważne. Nic już nie jest ważne. Wszyscy zginiecie, wy świątobliwe dupki. Powstała Bestia, która żywi się ludzkim mięsem. Nikt jej nie powstrzyma. Nadeszła godzina. Odwrócił się tyłem do naczelnika i wbił wzrok przed siebie. - Widziałem ją. Spojrzała na mnie. Nie ma oczu, ale spojrzała na mnie.

- Co z Boggsem i Rainsem? - zapytał spokojnie Dillon. - Gdzie są? Co się z nimi stało?

Golic mrugnął oczyma i spojrzał na przesłuchujących bez skruchy.

- Ja tego nie zrobiłem. W tunelu. Nie mieli szans. Żadnych szans. Nie mogłem nic zrobić.

Tylko uratować siebie. To smok to zrobił. Zaszlachtował ich jak świnie. To nie ja. Dlaczego zawsze mnie winią? Nikt nie zdoła go powstrzymać. - Zaczął śmiać się i płakać jednocześnie.

- Żadnych szans, nie, nie, żadnych szans!

Clemens zajął się teraz tyłem jego głowy.

Andrews przyjrzał się drżącej pozostałości tego, co niegdyś było człowiekiem. Niezbyt udanym egzemplarzem gatunku, to fakt, zawsze jednak człowiekiem. Nie był zadowolony, ale nie czuł też gniewu. Nie było powodu, by się gniewać.

- Kompletnie szalony. Nie twierdzę, że to czyjakolwiek wina, ale trzeba go było zakuć w łańcuchy. W przenośnym sensie, rzecz jasna. - Naczelnik spojrział na swego medyka. - Podać mu środki uspokajające. Czy nie przewidział pan tego, panie Clemens?

- Zna mnie pan, sir. Nie stawiam diagnoz. Przepisuję tylko recepty. - Clemens już niemal zakończył czyszczenie. Golic wyglądał teraz lepiej, pod warunkiem jednak, że nie spojrzęło mu się w oczy.

- Tak, oczywiście. Psychologia przewidywawcza to nie pańska specjalność, prawda? Jeśli ktoś powinien to zauważyć, to tym kimś byłem ja.

- Niech pan siebie nie wini, sir - odezwał się Aaron.

- Nie robię tego. Daję tylko słowny wyraz ubolewaniu. Czasem szaleństwo czai się w człowieku ukryte pod powierzchnią, oczekując tylko na odpowiedni bodziec, by wydostać się na zewnątrz. Jak pewne pustynne nasiona, które kiełkują tylko raz na dziesięć lub jedenaście lat, gdy spadnie odpowiednia ilość deszczu. - Westchnął. Bardzo bym chciał zobaczyć znowu normalny, łagodny deszcz.

- Sam pan to powiedział, sir - ciągnął Aaron. - Odbiła mu pierdolona szajba.

- Wprawia mnie w zachwyt sposób, w jaki urozmaica pan swe codzienne słownictwo jędrnymi anachronizmami, panie Aaron. - Andrews spojrział na swego powiernika. Wydaje się, że uspokaja się nieco. Ciągłe użycie środków uspokajających to kosztowna propozycja i musielibyśmy to jakoś usprawiedliwić w aktach. Spróbujmy go przez chwilę potrzymać w izolacji, panie Dillon, i sprawdźmy, czy wywrze to ozdrowieńczy skutek. Nie chciałbym, żeby



wywołał panikę. Clemens, niech pan da temu biednemu idiotcie wystarczającą dawkę środków uspokajających, żeby nie stanowił niebezpieczeństwa dla siebie ani dla kogokolwiek innego.

Panie Dillon, polegam na panu, że będzie pan miał na niego oko, gdy już zostanie zwolniony.

Mam nadzieję, że jego stan się poprawi. To by uprościło sprawy.

- Bardzo dobrze, panie naczelniku. Ale pełną dawkę niech dostanie dopiero wtedy, jak dowiemy się wszystkiego o tamtych braciach.

- Z tego nic się nie wyciągnie. - Aaron wskazał z niesmakiem na dygoczącego lokatora kaftana bezpieczeństwa.

- Musimy spróbować. - Dillon pochylił się i zbadał wzrokiem twarz współwięźnia. - Weź się w kupę, facet. Rozmawiaj ze mną. Gdzie są bracia? Gdzie Rains i Boggs?

Golic oblizwał wargi. Były ciężko pogryzione i mimo fachowej pomocy Clemensa nadal lekko krwawiły.

- Rains? - szepnął, zmarszczywszy brew w wysiłku przypominania. - Boggs? - Nagle jego oczy rozszerzyły się ponownie i spojrzał gwałtownie w górę, jak gdyby dostrzegł ich po raz pierwszy. - Ja tego nie zrobiłem! To nie byłem ja. To był... to był... - Znowu zaczął łkać, wrzeszczeć i bełkotać histerycznie.

Andrews uniósł wzrok i potrząsnął ze smutkiem głową.

- To beznadziejne. Pan Aaron ma rację. Nic pan z niego przez jakiś czas nie wyciągnie. Być może nigdy. Nie będziemy czekać, aż nam to się uda.

Dillon wyprostował się.

- Pan za to odpowiada, naczelniku.

- Będziemy musieli wysłać ekipę poszukiwawczą. Rozsądnych ludzi, którzy nie boją się ciemności ani siebie nawzajem. Obawiam się, że musimy przyjąć, iż najprawdopodobniej ten upośledzony na umyśle sukinsyn ich zamordował. - Zawahał się. - Jeśli jesteście choć w

niewielkim stopniu zaznajomieni z jego aktami, to wiecie, że taki scenariusz nie przekracza granic prawdopodobieństwa.

- Nie może pan być tego pewien, sir - sprzeciwił się Dillon. - On nigdy mnie nie okłamał. Jest szalony. Jest głupi. Ale nie jest kłamcą.

- Ma pan dobre intencje, panie Dillon, lecz jest pan zbyt wyrozumiały dla swego kolegi. - Andrews zapanował nad sarkazmem, który natychmiast nawiedził jego myśli. Osobiście uważam, że Golic nie jest wart pańskiego zaufania.

Dillon zacisnął wargi.

- Nie jestem naiwny, sir. Wiem o nim wystarczająco dużo, by pragnąć nie tylko mu pomóc, lecz również mieć na niego oko.

- To dobrze. Nie chcę, żeby więcej ludzi zniknęło wskutek jego ataków.

Ripley podniosła się i podeszła do grupy. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę.

- Istnieje możliwość, że on mówi prawdę. - Clemens wbił w nią wzrok. Zignorowała go. - Muszę z nim porozmawiać o tym smoku.

- Nie będzie pani z nikim rozmawiać, pani porucznik - odparł z energią Andrews. - Nie jestem zainteresowany pani opinią, ponieważ nie zna pani wszystkich faktów. Wskazał ręką w stronę Golic. - Ten człowiek został skazany za wielokrotne morderstwa. Znany jest ze szczególnie brutalnych i okropnych zbrodni.

- Nie zrobiłem tego - zabalgotał bezsilnie mężczyzna w kaftanie bezpieczeństwa.

Andrews rozejrzał się wkoło.

- Zgadza się, panie Dillon?

- No - zgodził się Dillon z niechęcią. - Ta część się zgadza.

Ripley spojrzała twardo na naczelnika.

- Muszę z panem porozmawiać. To jest ważne.

Starszy mężczyzna zastanowił się głęboko.

- Kiedy zakończę już oficjalne obowiązki, z chęcią odbędę z panią małą pogawędkę.

Zgoda?

Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, lecz skinęła tylko głową.

## 8.

Aaron zajął się dzbankiem z wodą, upewniając się, że szklanki będą pełne. Nie musiał zadawać sobie trudu. Gdy tylko Ripley zaczęła mówić, nikt już nie zważał na tak nieistotne sprawy, jak pragnienie.

Wyjaśniła wszystko dokładnie i ze szczegółami, nie opuszczając niczego, od chwili gdy pierwsze jaja obcych zostały odkryte na Acheronie w ładowni gigantycznego statku o nadal nie znanym pochodzeniu, poprzez zagładę załogi Nostromo i późniejszą swoją ucieczkę, aż po tragiczne starcie na Acheronie i jej ewakuację stamtąd wraz z martwymi teraz towarzyszami.

Jej umiejętność przypomnienia sobie każdego znaczącego wypadku i szczegółu mogłaby uderzyć obserwatora jako niezwykła, lecz dla niej pamięć nie stanowiła problemu. Tym, co dręczyło ją dzień po dniu, była niezdolność do zapomnienia.

Gdy skończyła, w kwaterze naczelnika przez chwilę panowała cisza. Ripley wypila pół szklanki oczyszczonej wody, obserwując jego twarz.

Andrews splótł sobie palce na brzuchu.

- Sprawdźmy, czy dobrze to zrozumiałem, pani porucznik. Twierdzi pani, że mamy do czynienia z jakimś rodzajem drapieżnego owada wysokości dwóch i pół metra, wyposażonego w kwasowe płyny ustrojowe, i że przybył on na pani statku.

- Nie wiemy, czy to owad - poprawiła go. - To jest najprostsza i najbardziej oczywista analogia, lecz nikt nie może być pewny. One niełatwo poddają się studiom taksonomicznym. Trudno jest dokonać sekcji czegoś, co rozpuszcza instrumenty, gdy jest już martwe, a kiedy jest żywe, próbuje cię zjeść lub zapłodnić. Koloniści na Acheronie poświęcili się z zapamiętaniem takim badaniom. Nic to nie dało. Te istoty wybiły ich do nogi, zanim zdążyli się czegokolwiek dowiedzieć. Niestety, wszystkie ich zapisy zostały zniszczone, gdy reaktor

termojądrowy bazy przekroczył punkt krytyczny. Wiemy o nich niewiele. Tyle, by dokonać kilku uogólnień. Mniej więcej wszystko, co możemy powiedzieć z wystarczającą dozą pewności to to, że ich system biospołeczny przypomina w znacznym przybliżeniu organizacje owadów społecznych na Ziemi, takich jak pszczoły, mrówki i tak dalej. Nikt nie wie nic więcej. Ich poziom inteligencji jest z pewnością znacznie wyższy niż u jakiegokolwiek społecznego stawonoga, w tej chwili jednak trudno powiedzieć, czy są one zdolne do wyższych funkcji intelektualnych, tak jak my je pojmujemy. Jestem niemal pewna, że potrafią się porozumiewać za pośrednictwem węchu. Mogą też posiadać dodatkowe zdolności postrzegania, o których nic nie wiemy. Są nieprawdopodobnie szybkie, silne i odporne. Osobiście widziałam, jak jeden z nich bez problemów utrzymywał się przy życiu w próżni międzygwiazdnej, zanim zdołałam spalić go za pomocą silników promu.

- Ponadto zabijają każdego, kogo zobaczą i są ogólnie niesympatyczne - dokończył za nią Andrews. - Tak pani twierdzi. I, rzecz jasna, spodziewa się pani, że uwierzę na słowo w całą tę fantastyczną opowieść.

- Racja, sir - wtrącił się pośpiesznie Aaron. - To jest bomba. Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem.

- Nie. Nie spodziewam się, że pan w to uwierzy odparła cicho Ripley. - Miałam już do czynienia z takimi ludźmi jak pan.

- Pominę to milczeniem - odparł Andrews bez urazy. - Zakładając przez chwilę, że uwierzyłem w zasadnicze punkty pani opowieści, jak by pani radziła postąpić? Spisać testament i czekać, aż nas ten stwór zje?

- Niektórym ludziom mogłoby się to wydać niezłym pomysłem, mnie jednak nie odpowiada. Z tymi stworami można walczyć. Można je zabić. Jaką tu macie broń?

Andrews rozplótł palce z nieszczęśliwą miną.

- To jest więzienie. Choć na Fiorinie nie ma dokąd uciekać, umożliwienie więźniom dostępu do broni palnej nie jest dobrym pomysłem. Komuś mogłoby przyjść do głowy, że za jej pomocą można by opanować prom zaopatrzeniowy albo coś równie zwariowanego.

Usunięcie broni likwiduje pokusę kradzieży i użycia.

- A więc nie macie zupełnie żadnej broni?

- Przykro mi. To nowoczesne, cywilizowane więzienie. Stosujemy tu system honorowy.

Nasi ludzie, choć są to skrajne przypadki, robią tu coś więcej, niż tylko spłacają dług społeczeństwu. Pełnią służbę jako dozorczy. Towarzystwo uznało, że obecność broni zastraszałaby ich, co odbiłoby się na jakości pracy. Jak pani sądzi, dlaczego mamy tu tylko dwóch strażników, mnie i Aarona? Gdyby nie nasz system, nie moglibyśmy zapanować nad tą bandą bez dwudziestu nadzorców wyposażonych w pełny arsenał. - Przerwał i zamyślił się na chwilę. - W rzeźni jest trochę wielkich noży. Jest ich też parę w jadalni i w kuchni. Tu i ówdzie można znaleźć toporki strażackie. Nic szczególnie przerażającego.

Ripley opadła w dół na krześle mamrocząc niepocieszona.

- A więc mamy przesrane.

- Nie, to pani ma przesrane - odparł spokojnie naczelnik. - Ma pani zakaz opuszczania ambulatorium. Kwarantanna.

Wbiła w niego wzrok.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że sprawia pani kłopoty od chwili, gdy się tu pani zjawiała, i nie chcę, żeby sprawy uległy dalszemu pogorszeniu. Ja odpowiadam teraz za rozwiązanie tego problemu, na czym by on nie polegał, i będę się czuł spokojniejszy, gdy zawsze będę wiedział, gdzie pani przebywa. Ludzie są już wystarczająco zdenerwowani. Jeśli będzie się pani wałęsać na swobodzie i wpychać nos w nieodpowiednie miejsca, z pewnością nie wyrze to

stabilizującego wpływu.

- Nie może pan tak postąpić. Nie zrobiłam nic złego.

- Nie powiedziałem, że pani zrobiła. Umieszczam panią w odosobnieniu ze względu na pani bezpieczeństwo. Ja pełnię tu funkcję kierownika. Korzystam ze swoich uprawnień jako naczelnik kompleksu. Jeśli pani sobie życzy, może pani złożyć oficjalną skargę przed komisją śledczą, jak już wróci pani do domu. - Uśmiechnął się po ojcowsku. - Ma ją pani całą dla siebie, pani porucznik. Myślę, że kiedy pani tam będzie, nie zagrozi pani żadna wielka paskudna bestia. Zgoda? Grzeczna dziewczynka. Pan Aaron panią odprowadzi.

Ripley podniosła się.

- Podejmuje pan złą decyzję.

- Myślę, że jakoś to przeżyję. Aaron, gdy już odprowadzi pan panią porucznik do jej nowej kwatery, proszę się wziąć za organizację ekipy poszukiwawczej. I to szybko. W tej chwili naszym jedynym źródłem informacji jest bełkot Golica. Być może Boggs i Rains są jedynie ranni i czekają na pomoc.

- Tak jest, sir.

- Jest pan w błędzie, Andrews - powiedziała Ripley. - Całkowicie. Nie znajdzie pan w tych tunelach nikogo żywego.

- Zobaczymy. - Popatrzył za nią do chwili, gdy jego zastępca ją wyprowadził.

Siedziała na łóżku ponura i rozgniewana. Clemens stał obok, patrząc na nią. Spojrzała w górę, usłyszawszy głos Aarona przemawiającego przez interkom.

- Zgłośmy się wszyscy do jadalni. Pan Andrews zarządził tam zebranie. Natychmiast.

*Brzdęk.* - Delikatne elektroniczne brzęczenie przerwało krótkie oświadczenie zastępcy naczelnika.

Ripley spojrzała na oficera medycznego.

- Czy nie ma możliwości opuszczenia Fioriny? Promu ratunkowego? Jakiegoś cholernego sposobu ucieczki?

Clemens potrząsnął głową.

- To jest teraz więzienie, pamiętasz? Nie ma stąd ucieczki. Raz na sześć miesięcy przylatuje statek zaopatrzeniowy.

- I to wszystko? - Spuściła głowę.

- Nie ma powodu do paniki. Przysyłają kogoś, żeby cię zabrał i zbadał całą tę kabałę.

Przyleci szybko, o ile zrozumiałem.

- Doprawdy? Co to znaczy szybko?

- Nie wiem. - Clemens najwyraźniej martwił się o coś innego niż nieszczęśliwa śmierć

Murphy'ego. - Nikt jeszcze nigdy się nie spieszył z przybyciem tutaj. Zawsze jest odwrotnie.

Zmiana kierunku lotu statku jest trudna, nie mówiąc o tym, że droga jak diabli. Czy chcesz mi powiedzieć, o czym rozmawiałaś z Andrewsem?

Odwróciła wzrok.

- Nie, nie chcę. Pomyślałbyś tylko, że zwariowałam. Przeniosła uwagę na przeciwległy

róg sali, gdzie stał pogrążony w katatonii Golic, gapiący się bez wyrazu w ścianę. Od kiedy

Clemens go oczyścił, wyglądał znacznie lepiej.

- Jesteś chyba nieco okrutna - szepnął technik medyczny. - Jak się czujesz?

Ripley oblizwała wargi.

- Nienadzwyczajnie. Mam mdłości. Coś mi leży na żołądku. I jestem wkurzona.

Wyprostował się i skinął głową sam do siebie.

- To pod wpływem szoku, Żadna niespodzianka, biorąc pod uwagę przez co ostatnio przeszłaś. Cud, że nie stoisz i nie gapisz się w pustą ścianę tak jak Golic.

Podszedł do niej i poddał ją pobieżnym oględzinom, po czym skierował się w stronę



szafki, otworzył zamek i zaczął grzebać w środku.

- Lepiej dam ci następny cocktail.

Zauważyła, że trzyma w ręce strzykawkę.

- Nie. Muszę być na pełnym gazie.

Jej oczy omiotły instynktownie wszystkie możliwe drogi wejścia: przewody wentylacyjne oraz drzwi. Miała jednak mroczki przed oczyma. Nie mogła myśleć jasno.

Clemens podszedł do niej ze strzykawką w ręce.

- Popatrz na siebie. Uważasz, że jesteś na pełnym gazie? Praktycznie padasz z nóg. Ciało to cholernie wydajna maszyna, jest jednak tylko maszyną. Jeśli wymagasz od niego zbyt wiele, może nastąpić przeciążenie.

Odwinęła rękaw.

- Nie wygłaszaj mi wykładów. Wiem, kiedy się sforsuję. Daj mi tylko co trzeba.

Postać stojąca w kącie mamrotała głośno.

- Nie rozumiem, czemu ludzie winią za wszystko mnie. To niesamowite, nie? Nie jestem może doskonały, czy co, ale, słodki Williamie, nie rozumiem, czemu niektórzy zawsze winią innych za drobne problemy, jakie niesie życie.

Clemens uśmiechnął się.

- To nader głębokie. Dziękuję ci, Golic. Napełnił strzykawkę i sprawdził poziom płynu.

Siedząc w oczekiwaniu na podanie lekarstwa, spojrzała przypadkiem na Golicę, który, ku jej zdumieniu, odwzajemnił jej uśmiech. Wyraz jego twarzy był nieludzki, pozbawiony wszelkiej myśli - czysty zachwyty idioty. Odwróciła głowę z niesmakiem, myśląc o ważniejszych sprawach.

- Czy jesteś zamężna? - zapytała nieoczekiwanie wielka postać w kaftanie bezpieczeństwa.

Ripley poderwała się.

- Ja?

- Powinnaś wyjść za mąż. - Golic mówił całkowicie poważnie. - Mieć dzieci... ładna dziewczyna. Znałem ich mnóstwo na Ziemi. Zawsze mnie lubiły. Ty też umrzesz. - Zaczął gwizdać sam do siebie.

- Czy jesteś? - zapytał Clemens.

- Słucham?

- Zamężna.

- Czemu pytasz?

- Tak sobie, z ciekawości.

- Nie.

Podszedł do niej ze strzykawką zwisającą z palców.

- A może tak byłbyś ze mną szczerzy?

Zawahał się.

- Czy mogłabyś się wyrażać trochę jaśniej?

- Kiedy cię zapytałam, dlaczego cię tu skierowano, uchyliłeś się od odpowiedzi. Kiedy cię zapytałam o tatuaż więzienny z tyłu twojej głowy, wymigałeś się po raz drugi.

Clemens odwrócił się.

- To długa, smutna historia. W dodatku trochę melodramatyczna.

- Dostarcz mi więc rozrywki.

Skrzyżowała ramiona na piersi i usiadła z powrotem na łóżku.

- Cóż, mój problem polegał na tym, że byłem inteligentny. Bardzo inteligentny.

Wiedziałem wszystko, rozumiesz. Byłem bardzo zdolny i w związku z tym sądziłem, że wszystko mi ujdzie na sucho. Przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Skończyłem właśnie

szkołę medyczną, w której udało mi się dokonać zdumiewającego wyczynu, mianowicie zmieściłem się w górnych pięciu procentach wyników w klasie mimo faktu, że popadłem w, jak zarozumiale sądziłem., możliwe do zaakceptowania uzależnienie od medafiny. Czy znasz ten farmaceutyk?

Ripley potrząsnęła powoli głową.

- Och, to śliczny łańcuch peptydów i temu podobnych. Człowiek czuje się po nim, jakby był niezwycięzony, a równocześnie jego władze umysłowe nie ulegają osłabieniu. Przy tym koniecznie trzeba utrzymywać pewien poziom medafiny we krwi. Taki bystry facet jak ja nie miał żadnych trudności ze zdobyciem odpowiedniego zapasu z magazynów instytucji medycznych, w których zdarzyło mi się pracować.

Uważano mnie za nadzwyczaj obiecującego przyszłego lekarza o wielkich uzdolnieniach i wytrzymałości, obdarzonego intuicją i dbającego o pacjentów. Nikt nie podejrzewał, że moim najważniejszym pacjentem byłem zawsze ja sam.

To się zdarzyło w pierwszym miejscu, gdzie zatrudniłem się na stałe. W centrum przyjęto mnie z radością. Pracowałem za dwóch, nigdy się nie skarżyłem i niemal nigdy nie popełniałem błędów w diagnozach i receptach. Po trzydziestu sześciu godzinach ostrego dyżuru wyszedłem, naćpałem się po dziurki w nosie i wśliznąłem do łóżka, by zagubić się we wrażeniu nieważkości przez całą noc. W tym właśnie momencie zabrzączał interkom.

W stacji paliwowej centrum eksplodowało urządzenie ciśnieniowe. Wzywali na pomoc każdego, kogo mogli ściągnąć. Było trzydziestu poważnie rannych, lecz tylko kilku musiało zostać wysłanych na oddział intensywnej opieki. Reszta wymagała jedynie szybkiej, lecz rutynowej interwencji. Nic skomplikowanego. Nic, z czym nie dałby sobie rady na wpół kompetentny stażysta. Przyszło mi do łba, że załatwię to sam, po czym zrealizowałem ten pomysł, zanim ktokolwiek zauważył, że jestem nadzwyczaj żywy i radosny, jak na kogoś,

kogo wyrwano przed chwilą z pościeli o trzeciej nad ranem. - Przerwał na chwilę, aby zebrać myśli.

- Jedenastu z tych trzydziestu zmarło, gdyż przepisałem nieodpowiednią dawkę środka przeciwbólowego. Taki drobiazg. Taka prosta sprawa. Każdy dureń by sobie z tym poradził. Każdy dureń. Oto cała medafina. Niemal w ogóle nie wpływa na procesy myślowe. Tylko od czasu do czasu.

- Przykro mi - powiedziała cicho.

- Nie ma powodu. - Wyraz jego twarzy był bezlitosny. - Nikomu innemu nie było.

Dostałem siedem lat więzienia plus dożywotni nadzór, a moje prawo wykonywania zawodu cofnięto na stałe do kategorii 3-C z surowymi ograniczeniami odnośnie do tego, co i w jakim miejscu wolno mi praktykować. W więzieniu zdołałem się pozbyć swego cudownego nałogu, to jednak nie miało już znaczenia. Zbyt wielu było krewnych, którzy pamiętali o swoich zmarłych. Nie miałem żadnych szans na cofnięcie ograniczeń. Przynosiłem wstyd swej profesji i egzaminatorzy byli zachwyceni, że mogą uczynić ze mnie przykład. Po tym wszystkim możesz sobie wyobrazić, ile instytucji miało ochotę zatrudnić kogoś z moimi kwalifikacjami zawodowymi. Dlatego znalazłem się tutaj.

- Nadal jest mi przykro.

- Ze względu na mnie? Czy na to, co się stało? Jeśli to drugie, to mnie też. Jeśli jednak chodzi o karę więzienia i późniejsze ograniczenia, to nie. Zasłużyłem na to. Zasłużyłem na wszystko, co mnie spotkało. Przekreśliłem życie jedenastu ludzi. Od niechcienia, z głupim uśmiechem na twarzy. Jestem pewien, że ci, których zabiłem, również się świetnie zapowiadali. Zniszczyłem jedenaście rodzin. Mimo że nigdy nie zdołam tego zapomnieć, nauczyłem się z tym żyć. To jedyna pozytywna strona skierowania w takie miejsce jak to. Można się tu nauczyć, jak żyć z tym, co się zrobiło.

- Czy tu odsiedziałeś wyrok?

- Tak, i dosyć dobrze poznałem tę zbieraninę. Gdy więc oni tu zostali, ja zostałem z nimi.

Nikt inny nie przyjąłby mnie do pracy. - Podszedł do niej, by dać jej zastrzyk. - Czy więc pozwolisz, żebym zbliżył się do ciebie ze strzykawką?

Gdy pochylił się nad nią, obcy wylądował na podłodze za nim równie cicho, jak oderwał się od sufitu. Wylądował w podpartej pozycji kucznej, po czym wyprostował się na pełną wysokość. Było zdumiewające i przerażające zarazem, że coś tych rozmiarów mogło się poruszać tak cicho. Widziała, jak się wyprostował, górując nad uśmiechniętym medykiem. Jego metaliczne siekacze lśniły w bladym świetle lampy umieszczonej na suficie.

W tej samej chwili, gdy usiłowała skłonić swe sparaliżowane struny głosowe do działania, jakaś jej część zauważyła, że obcy różnił się nieco wyglądem od wszystkich odmian, jakie napotkała do tej pory. Głowa była pełniejsza, ciało bardziej masywne. Subtelniejsze odchylenia o charakterze fizycznym zarejestrowała w przelotnych tikach obserwacyjnych owego zastygłego momentu grozy.

Clemens pochylił się w jej stronę, ogarnięty nagle czymś więcej niż zwykłą troską.

- Hej, co się stało? Wyglądasz, jakbyś miała trudności z oddychaniem. Mogę...

Obcy oderwał mu głowę i odrzucił ją na bok. Mimo to nie krzyknęła. Chciała. Próbowwała. Ale nie mogła. Jej przepona wypychała powietrze, lecz krtań nie wydała dźwięku.

Obcy odrzucił na bok zwłoki Clemensa, z których tryskała krew, i spojrzał na nią. Gdyby tylko miał oczy, pomyślała jakaś część jej mózgu, zamiast nie zbadanych jak dotąd receptorów wizualnych. Bez względu na to, jak straszliwe czy przekrwione, oczy były czymś, z czym można było nawiązać kontakt. Okna duszy, jak gdzieś wyczytała.

Obcy nie miał oczu i zapewne nie miał też duszy. Zaczęła dygotać. Uciekała już przed nimi przedtem i walczyła z nimi, lecz w zamkniętej przestrzeni ambulatorium

przypominającej grobowiec nie miała dokąd uciekać ani czym walczyć. Wszystko było skończone. Jakaś jej część cieszyła się z tego. Przynajmniej nie będzie już więcej koszmarów, nie będzie budzenia się z krzykiem w nieznanym łóżku. Wreszcie osiągnie spokój.

- Hej ty, chodź no tutaj! - krzyknął nagle Golic. Wypuść mnie! Pomogę ci. Możemy razem pozabijać tych wszystkich dupków.

Postać rodem z obrazu Boscha odwróciła się, by spojrzeć na więźnia. Potem przeniosła wzrok z powrotem na nieruchomą kobietę leżącą na łóżku. Jednym skokiem obcy znalazł się na suficie. Jego przypominające kable palce złapały za krawędź szeroko otwartego kanału powietrznego, przez który przybył. Obcy zniknął. Z góry dobiegły niosące się echem odgłosy ślizgania, które szybko zniknęły w dali.

Ripley nie poruszyła się. Nic się jej nie stało. Śmierć ominęła ją. Co prawda nie wiedziała o nich praktycznie nic. Coś w niej odstraszyło obcego. Być może nie atakowali chorych. A może było to coś w zachowaniu Golica.

Choć żyła jeszcze, nie była pewna, czy się z tego cieszyć, czy nie.

# 9.

Andrews stał w jadalni przed swymi podopiecznymi. Badał w milczeniu ich pełne oczekiwania i ciekawości twarze, podczas gdy Dillon przygotowywał się do swej tradycyjnej inwokacji. Aaron siedział tuż obok. Zastanawiał się, co też jego szef wykombinował.

- Wszyscy wstają, wszyscy się modlą. Błogosławiony jest Pan.

Więźniowie usłuchali wezwania, przybierając pełne czci pozy. Dillon ciągnął:

- Daj nam siłę, o Panie, byśmy wytrwali. Wyznajemy, że jesteśmy nieszczęsnymi grzesznikami w rękach gniewnego Boga. Niechaj krąg będzie nie przerwany, zanim nie nadejdzie dzień. Amen.

Każdy z więźniów unosił swą prawą pięść, po czym siadał.

Gdy Dillon obrzucił ich spojrzeniem, jego dotychczasowy błogi wyraz twarzy zmienił się z przerażającą nagłością.

- Co tu się, kurwa, dzieje? Skąd się bierze to gówno? Mamy tu morderstwo! Mamy gwałt! Mamy braci, którzy popadli w kłopoty! Nie chcę tu więcej takiego gówna! Jeśli mamy problemy, musimy trzymać się razem.

Andrews pozwolił, by cisza, która nastąpiła po wybuchu Dillona, trwała aż do chwili, gdy już miał pewność, że uwaga wszystkich skupiona jest na nim. Chrząknął uroczyście.

- Tak jest, dziękuję panu, panie Dillon - zaczął swym zwykłym rzeczowym tonem. - W porządku. Tak jak poprzednio, jest to zebranie w celu sprawdzenia plotek. Oto są fakty. O godzinie 0400 więzień Murphy, wskutek nieostrożności i zapewne też dużej dawki głupoty z jego strony, został znaleziony martwy w szybie wentylacyjnym numer siedemnaście. Na podstawie informacji zebranych na miejscu można sądzić, że stał zbyt blisko wentylatora w chwili, gdy uderzył silny prąd zstępujący, wskutek czego został wessany lub wdmuchnięty pomiędzy łopaty. Oficer medyczny Clemens pełnił w tych okolicznościach funkcję koronera i

jego raport odnośnie przyczyny śmierci jest tak konkretny, jak to tylko możliwe.

Kilku więźniów zamruczało pod nosem. Andrews wpatrywał się w nich, dopóki nie umilkli.

Gdy podjął przemowę, zaczął spacerować w kółko.

- Wkrótce potem więźniowie Boggs, Rains i Golic wyruszyli do szybów na rutynową wyprawę poszukiwawczą. Byli dobrze wyekwipowani i, jak można by sądzić, wiedzieli, za co się biorą.

- Mogę to potwierdzić - wtrącił się Dillon.

Andrews zaakceptował spojrzeniem komentarz wielkiego mężczyzny, po czym wrócił do swej przemowy.

- Około godziny 0700 wrócił więzień Golic w stanie wskazującym na zaburzenia umysłowe. Cały był pokryty krwią i bełkotał coś od rzeczy. W tej chwili przebywa on skrupowany w ambulatorium, gdzie otoczony jest opieką medyczną. Więźniowie Boggs i Rains do tej pory nie wrócili. Jesteśmy zmuszeni wziąć pod uwagę możliwość, że padli oni ofiarą więźnia Golica. - Przerwał, dając im czas na przetrawienie swych słów. - Historia życia wspomnianego więźnia nie wyklucza podobnego podejrzenia. Choć nie przysyłają tu nikogo, kto nie został uprzednio poddany terapii i uznany za zdrowego przez Centralę Rehabilitacyjną na Ziemi, żaden program rehabilitacji nie jest ani doskonały, ani wiecznotrwały.

- Słyszałem o tym - odezwał się Dillon.

- No właśnie. Niemniej dopóki nie odnajdziemy więźniów Rainsa i Boggsa lub ich ciał i nie ustalimy powodów ich nieobecności, wszelkie wnioski są, z konieczności, przedwczesne.

Być może przebywają w jednym z tuneli ranni i niezdolni się poruszyć i czekają, aż przybędzie pomoc, albo też zabłądzili usiłując odnaleźć drogę wyjścia. Jest oczywiste, że istnieje pilna potrzeba sformowania i wysłania ekipy poszukiwawczej. Chętnie zobaczę



ochotników. Ich zgłoszenie się zostanie w odpowiedni sposób odnotowane w aktach. -

Zatrzymał się przed północną ścianą ukształtowaną z odlewanego na miejscu ołowiu.

- Można, jak sądzę, stwierdzić, że w naszym gładko funkcjonującym ośrodku pojawiło się nagle kilka problemów. Nie są one powodem do paniki czy zaniepokojenia. W gruncie rzeczy w sytuacji takiej jak nasza należy się tego od czasu do czasu spodziewać. Bez względu na to, w jaki sposób zakończy się ten nieszczęśliwy incydent, sądzę, że mogę spokojnie zapowiedzieć, iż należy się w bardzo krótkim czasie spodziewać powrotu do normalnej działalności.

Tymczasem jednak musimy wszyscy zachować głowę na karku i wziąć się w garść przez następnych kilka dni, zanim nie przybędzie ekipa ratunkowa, która zabierze porucznik Ripley. Mogę się nawet posunąć do stwierdzenia, że choć jej nie planowane przybycie tutaj wywołało kilka problemów, spowodowało też, że Towarzystwo skierowało statek na Fiorinę. To oznacza możliwość otrzymania dodatkowych zapasów, a może też pewnych towarów luksusowych na długo przed rozkładem. Jest się z czego cieszyć. Dlatego wszyscy powinniśmy oczekiwać z niecierpliwością nadchodzących dni.

Drzwi po jego prawej stronie otworzyły się z trzaskiem. Wpadła przez nie Ripley.

Zadyszana i wstrząśnięta, zignorowała spojrzenia wszystkich obecnych.

- On tu jest! Dorwał Clemensa! - Rozglądała się wokół szaleńczo. Jej oczy sprawdzały ciemne kąty i odległe korytarze prowadzące do sali zebrań.

Żyły wystąpiły na szyję Andrewsa.

- Pani porucznik, mam już pani dość. Proszę natychmiast skończyć z tym bredzeniem!

Dość tego! Sieje pani zbyt dużą panikę, nie mając żadnego dowodu. Nie pozwolę na to, słyszy mnie pani? Nie pozwolę!

Wbiła w niego wzrok.

- Mówię panu, że on tu jest!

- A ja pani mówię, niech pani nad sobą zapanuje, pani porucznik! - Rzucił szybkie spojrzenie w prawo. - Panie Aaron, niech się pan natychmiast zajmie tą głupią kobietą. Proszę ją odprowadzić do ambulatorium!

- Tak jest, sir. - Aaron postąpił krok w stronę Ripley, lecz zawahał się na widok wyrazu jej twarzy. Sprawiała wrażenie, że jest fizycznie sprawna w stopniu nie mniejszym od przeciętnego więźnia.

Gdy zastanawiał się, co ma zrobić, światła nagle zamigotały szaleńczo. Więźniowie zbili się w krzykliwą gromadkę i rozglądali wokół niepewnie.

Andrews pokiwał złowieszczo głową.

- Nie pozwolę na takie bzdury w moim ośrodku. Czy wszyscy mnie usłyszeli? Nie będę tego tolerował.

Usłyszawszy cichy szurający odgłos spojrzał w górę.

Obcy sięgnął w dół i porwał naczelnika z podłogi tak zgrabnie, jak pająk chwytą muchę.

W jednej chwili zarówno drapieżnik, jak i ofiara zniknęli. Pośród hysterii, która zapanowała, jedynie Ripley i więzień Morse zdołali dostrzec, jak potwór wciągnął nieruchomą postać Andrewsa do otwartego kanału wentylacyjnego.

Ripley usiadła w rogu i zapaliła narkopapierosa. Nagle zaczęła wspominać Clemensa.

Wyraz jej twarzy stał się twardszy. Clemens: lepiej o nim nie myśleć. Należy o nim szybko zapomnieć, podobnie jak zapomniała o kilku innych mężczyznach, z którymi nawiązała związki po to tylko, by porwali ich i unicestwili inni przedstawiciele niezniszczalnej, jak się zdawało, hordy obcych.

Z tym, że obcy nie byli niezniszczalni. Można ich było zabić. To właśnie, jak długo pozostawała przy życiu, było najwyraźniej jej przeznaczeniem. Wytępić ich, zetrzeć z oblicza

wszechświata. Było to powołanie, które chętnie, och, jakże chętnie, odstąpiłaby komuś innemu.

Dlaczego ona? Nad tym pytaniem rozmyślała już nieraz. Dlaczego wybrano właśnie ją?

Nie, pomyślała, to nie jest tak. Nic jej nie wybrało. Los nie skazał jej na życie pełne grozy i zniszczenia. Inni stawili czoła obcym i zginęli. Jedyne ona nie przestawała cierpieć dlatego, że wciąż żyła.

Było to przeznaczenie, od którego mogła się uwolnić w każdej chwili. Ambulatorium było dobrze zaopatrzone. Jego zawartość wyposażono w wyraźne etykiety. Jeden prosty zastrzyk mógł unicestwić cały ból i przerażenie. Łatwo byłoby z tym skończyć. Ona jednak nie należała do ludzi, którzy się poddają. Być może jej zadaniem było po prostu utrzymać się przy życiu. Nie, los nie znęcał się nad nią w żaden szczególny sposób. Nie było jej winą, że jest twardsza niż ktokolwiek inny. Było to po prostu coś, z czym musiała się nauczyć żyć.

Odszedł kolejny mężczyzna. Tym razem taki, którego nie lubiła za bardzo, lecz mimo to Ripley odczuwała żal. Andrews był człowiekiem i zasługiwał przynajmniej na porządną śmierć, jeśli już na nic więcej.

Obcy pozostawił po swym zdumiewająco szybkim ataku śmiertelną ciszę. Gdy zniknął, mężczyźni znów usiedli bądź wstali, każdy z nich wpatrzony w dal, w swego sąsiada lub we własne wnętrze. Jak zwykle odpowiedzialność spadła na Dillona, który ukląkł i zaczął się modlić.

- Otrzymaliśmy znak, bracia. To, jak się uporamy z zagrożeniem, określi nasz los.

- Amen - odpowiedziało chórem kilku więźniów. Komentarze kilku innych były, na szczęście, niesłyszalne.

- Wznosimy dzięki, o Panie - ciągnął Dillon. - Dosięgnął nas twój gniew i bliski jest dzień, gdy będziemy osądzeni. Nadciąga Apokalipsa. Bądźmy gotowi. Niechaj twe

miłosierdzie będzie sprawiedliwe.

W tylnej części sali więźniowie zaczęli szeptać do siebie nie zważając na modlitwę Dillona.

- On był wielki - mruknął więzień David. - Mówię, wielki. I szybki.

- Widziałem go, dupku. - Kevin wpatrywał się intensywnie w miejsce na suficie, z którego zwisał obcy. - Byłem tu. Myślisz, że jestem ślepy?

- No, ale mówię ci, że był wielki. - Wspomnienie zdarzenia zaabsorbowało ich tak bardzo, że zapomnieli nawet gapić się na Ripley.

Więzień William wstał z miejsca i przyjrzał się swym towarzyszom.

- No dobra, to co teraz zrobimy, koledzy`?

Paru ludzi spojrzło na siebie nawzajem, żaden jednak nic nie powiedział.

- No więc kto przejmie kierownictwo? To znaczy, musimy się tu jakoś zorganizować, mam rację?

Aaron przełknął ślinę i rozejrzał się po sali.

- Chyba ja jestem drugi w kolejce.

Morse spojrzął z ukosa w sufit.

- Osiemdziesiąt pięć będzie nami rządził. Jezu, zlituj się!

- Nie nazywaj mnie tak! - Aaron spojrzął gniewnie na więźnia, który się odezwał. - Ani teraz, ani nigdy!

Podniósł się i postąpił naprzód, by stanąć z nimi twarzą w twarz.

- Posłuchajcie, w żaden sposób nie zdołam zastąpić Andrews. Nie będę nawet udawał, że mogę. Wy go nigdy nie docenialiście. Wiem, że czasem był z niego sukinsyn, ale to był najlepszy facet, z jakim pracowałem.

Na Dillonie przemowa ta nie wywarła wrażenia.

- Nie chcę słuchać tego pieprzenia. - Przeniósł wzrok z następcy naczelnika na wysoką chudą postać siedzącą po przeciwległej stronie sali. - A co z tobą? Jesteś oficerem. Może byś nam tak pokazała odrobinę przywództwa?

Ripley spojrzała na niego przelotnie, zaciągnęła się narkopapierosem i odwróciła wzrok.

William przerwał ciszę, która nastąpiła, wskazując na Dillona.

- Ty obejmij dowództwo. I tak wszystkim tu rządzisz.

Wyższy mężczyzna potrząsnął szybko głową.

- Nic z tego, kurwa. Nie nadaję się na dowódcę. Dbam o swoich ludzi, to wszystko.

- No więc, czego ta pierdolona bestia chce? - zapytał głośno zniechęcony William. - Czy ten kutas spróbuje załatwić nas wszystkich?

Narkopapieros wysunął się z warg Ripley.

- Aha.

- Kurczę, czy to nie piękne? - warknął z sarkazmem Morse. - Jak można go powstrzymać?

Zdegustowana Ripley odrzuciła resztkę narkopapierosa i podniosła się, by spojrzeć zebrany w twarze.

-Nie mamy tu żadnej broni, zgadza się? Logicznych karabinów maszynowych, karabinów impulsowych ani nic?

- Tak jest. - Aaron skinął niechętnie głową.

Zrobiła zamyśloną minę.

- Nie widziałam jeszcze takiego jak ten. Jest większy, ma inne nogi. Tamte inne bały się ognia, a przynajmniej czuły przed nim respekt. To prawie wszystko.

Obiegła salę wzrokiem.

- Czy możemy odizolować ten obszar?

- W żaden sposób - odparł Aaron. - Rozwinięty zespół kopalń ma powierzchnię ponad

dziesięciu kilometrów kwadratowych. Jest tu sześćset kanałów powietrznych, które wychodzą na powierzchnię. Ten cholerny zespół jest wielki.

- A co z video? Moglibyśmy spróbować zlokalizować go w ten sposób. Wszędzie tu widzę monitory.

Zastępca naczelnika ponownie potrząsnął głową.

- Wewnętrzny system wizyjny nie działa już od lat. Nie ma powodu, by utrzymywać w ruchu drogi, nowoczesny system po to tylko, by monitorować dwudziestu pięciu parszywych więźniów-dozorców, którzy i tak nigdzie nie mogą pójść. Szczerze mówiąc, mało co tu jeszcze działa. Mamy tu kupę urządzeń technicznych, ale nie wiemy, jak je naprawić.

- Osiemdziesiąt pięć chce pani powiedzieć... - zaczął Morse.

- Nie nazywaj mnie tak! - warknął Aaron.

Więzień nie zwrócił na niego uwagi.

- ...że nie mamy tu centrów rozrywki, kontroli klimatu, ekranów wizyjnych, urządzeń kontroli terenu, lodówek, pierdolonych lodów, karabinów, kaloszy dla kobiet. Jedyne co mamy, to gówno.

- Zamknij się - powiedział ostrzegawczo Dillon.

- Po co w ogóle z nią rozmawiamy? - ciągnął Morse. - To ona sprowadziła tu tego kutasa.

Rozwalmy jej łeb o ścianę.

Ripley ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Dillon podszedł do Morse'a i spojrzał mu prosto w twarz.

- Następny raz już tego nie powtórzę - powiedział cicho. - Zamknij gębę.

Morse pomyślał przez chwilę, po czym spuścił wzrok, uznając się za pokonanego.

Przynajmniej na razie.

Zastępca naczelnika spojrział na Ripley.

- No dobrze. Co teraz zrobimy?

Zdała sobie sprawę, że nie tylko trójka mężczyzn stojących przy stole, lecz większa część więźniów obserwuje ją wyczekująco.

- Na Acheronie próbowaliśmy zamknąć się przed nimi na odizolowanym obszarze i ustanowić obwód ochronny. To poskutkowało, lecz tylko na krótko. One zawsze znajdą drogę do środka. Najpierw muszę zobaczyć, nie usłyszeć, jak dokładnie wygląda nasza sytuacja.

- Jest przesrana - Morse warknął, lecz jedynie pod nosem.

Aaron skinął głową.

- Chodź ze mną. - Spojrział na Dillona. - Przykro mi, ale znasz przepisy.

Wielki mężczyzna zmrużył powoli oczy na znak potwierdzenia.

- Tylko nie siedźcie tam za długo, dobra?

Aaron spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło mu.

- Popatrz na to w ten sposób: nie przydzielę wam dziś żadnych zadań.

Dillon błędził wzrokiem po górnym poziomie biblioteki.

- Czemu więc nie czuję się odprężony?

Szli głównym korytarzem. Aaron trzymał schematyczną mapę, a Ripley przenosiła co chwilę uwagę z wydruku na korytarz i ściany. Lampy na suficie paliły się, chociaż słabo.

Morse był w błędzie. Niektóre z podstawowych urządzeń podtrzymujących życie działały jeszcze.

Stuknęła palcem w plastikową powierzchnię.

- Co to jest?

- Korytarz łączący ambulatorium z jadalnią.

- Może moglibyśmy tam wejść i go wykurzyć.

Trzymał się blisko niej.

- Daj spokój. Tunele ciągną się na dole całymi kilometrami.

Sprawdziła przebieg linii na planie.

- On nie odejdzie daleko. Założy gniazdo gdzieś w najbliższej okolicy, w jednym z mniejszych korytarzy lub szybów wentylacyjnych.

Skrzywił twarz.

- Gniazdo? Chciałaś powiedzieć kryjówkę?

Spojrzała na niego.

- Co chciałam powiedzieć, to powiedziałam. Nie pytaj mnie tylko o szczegóły. Jak zdołamy go zabić lub unieruchomić, przypomnij mi to ci opowiem. W przeciwnym razie lepiej, żebyś nie wiedział.

Wytrzymał jej spojrzenie jeszcze przez moment, po czym spuścił wzrok z powrotem ku mapie.

- Skąd to wiesz?

- Jest jak lew. Trzyma się blisko zebr.

- Nie mamy tutaj żadnych zebr.

Zatrzymała się i przyjrzała mu uważnie.

- Już dobrze - powiedział pokonany. - Ale latać tam w kółko po ciemku? Chyba żartujesz.

Poza głównym szybem nie ma już lamp sufitowych.

- A co z latarkami?

- Jasne. Mamy ich sześć tysięcy. I baterie akumulatorowe też. Nie ma tylko żarówek. Ktoś zapomniał o tym drobnym szczególe. Mówiłem ci, nic tu nie działa.

- A jak z pochodniami? Czy mamy możliwość rozpalania ognia? Większość ludzi korzysta z tego przywileju od czasu epoki kamiennej.



Stary pionowy szyb ciągnął się w górę i w dół, znikając w ciemności. Drabina przyspawana do jego wewnętrznej ściany była brudna od węglowego pyłu i nagromadzonego osadu. Wilgotne gęste powietrze wznosiło się leniwie z czarnej głębin. Ripley wychyliła się z korytarza i skierowała pochodnię w dół. Nie było widać dna. Co prawda, nie spodziewała się, że je ujrzy.

Zaczęli od tunelu, w którym zginął Murphy, za wielkimi łopatami wentylatora, który Aaron wyłączył, zanim ruszyli w drogę. Pociągnęła nosem, marszcząc go. Wznoszące się w górę powietrze nie tylko było wilgotne, lecz czuło się w nim woń gnijącej roślinności, a także ostry zapach chemikaliów.

- Co jest tam na dole?

Aaron stał tuż za nią.

- Urządzenia do uzdatniania i recyrkulacji powietrza i wody.

- To tłumaczy ten smród. Termojądrowe?

- Aha. Ale zapieczętowane. Wszystko działa automatycznie. Para techników ze statku zaopatrzeniowego sprawdza to co sześć miesięcy. - Uśmiechnął się. - Nie myślisz chyba, że oddaliby obsługę działającego reaktora termojądrowego w delikatne łapska bandy więźniów i dwóch administratorów więziennych z ogólnym wykształceniem?

Nie odwzajemniła jego uśmiechu.

- Nic, co zrobi Towarzystwo, nie może mnie zdziwić.

Trzymając się mocno krawędzi wylotu skierowała pochodnię ku górze. Jej światło padło na gładkie metalowe ściany.

- Co jest nad nami?

- Nic zaawansowanego technicznie. Składy, większość z nich już teraz pusta. Opróżniono je, kiedy Weyland-Yutani zamykał kopalnię. Tunele serwisowe. Przewody wodne i

elektryczne. Wszystkie te tunele i szyby są za duże. Z całym tym sprzętem wiertniczym, który mieli pod ręką, inżynierowie nie narzekali na trudności. Zbudowali wszystko większe niż trzeba - przerwał. - Myślisz, że mógł się schować gdzieś tam na górze?

- Z natury wybrałby na gniazdo dużą, wygodną komorę. Lubi też przebywać ponad swymi... ofiarami. Woli spadać na nie z góry niż atakować od dołu. Ponadto górne piętra leżą bliżej pomieszczeń mieszkalnych więzienia. Tam, jak się spodziewa, będziemy się kryć. Jeśli się nam poszczęści, może zdołamy zająć go od tyłu. Jeśli będziemy mieli pecha...

- To co? - zachęcił ją Aaron.

- Może uda się nam zająć go od tyłu.

Wskoczyła na drabinę i zaczęła się wspinać.

Drabina była nie tylko grubo pokryta zaskorupiałym brudem, lecz ponadto wilgotne powietrze napływające z dołu pobudzało wzrost miejscowych alg oraz innych mikroorganizmów. Szczelby były śliskie i niepewne. Gdy wspinała się w górę, pilnowała, by trzymać się mocno wolną ręką jednego z bocznych prętów drabiny.

Mniej więcej co trzy metry szyb przecinał jeden lub więcej korytarzy poprzecznych. Na każdym poziomie wpychała pochodnię do środka, oświetlając tunele na znaczny dystans, po czym wznawiała wspinaczkę.

Ponieważ Aaron starał się obserwować Ripley, jego koncentracja osłabła. Stopa ześliznęła mu się ze szczelby. Idący za nim Dillon szybko objął drabinę lewym ramieniem, zaś drugą ręką złapał kołyszącą się w powietrzu kostkę zastępcy naczelnika, po czym wsunął jego stopę z powrotem na najbliższy szczebel.

- Hej wy, na górze, wszystko u was w porządku? - zapytał pełnym napięcia szeptem.

- Dobra jest - odparł Aaron, choć głos drżał mu lekko. - Trzymaj tylko tę pochodnię z dala od mojej dupy.

- To śmieszne, że o tym wspominasz - odparł wielki mężczyzna w półmroku. - Przez całe lata marzyłem, że zrobię właśnie to.

- Zachowaj to na inną okazję, dobra? - Aaron pognał naprzód, w obawie, że Ripley oddali się na niebezpieczną odległość.

- Jeszcze jedno, facet - szepnął Dillon.

Zastępca naczelnika ponownie spojrział w dół.

- Słucham?

- Powiedz mi, gdy tylko zechcesz zamienić się miejscami.

- Niech ci się nawet nie śni.

Mimo zaistniałej sytuacji obaj mężczyźni zdobyli się na braterski uśmiech zrozumienia, po czym podjęli wspinaczkę. Przelotne uczucie koleżeństwa zniknęło, ustępując miejsca rozpacz i niepokoju wywołanemu ich położeniem.

Ripley spojrzała w dół, zastanawiając się, o czym rozmawiają. To dobrze, że w podobnych warunkach byli zdolni się uśmiechać. Żałowała, że nie może śmiać się razem z nimi, wiedziała jednak, że to niemożliwe. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z tego, co może znajdować się przed nimi. Wciągnęła z rezygnacją powietrze, weszła na następny szczebel i skierowała światło w kolejny wylot.

Prosto w oblicze stwora.

Gdyby jej palce nie zacisnęły się na szczeblu pod wpływem przerażenia, z pewnością spadłaby z drabiny w tej samej chwili, w której krzyknęła. Odruchowo zamachnęła się pochodnią. Trafiła okropieństwo prosto w lśniącą czarną głowę... która pod wpływem ciosu rozpadła się na kawałki.

- Co... co to? - wrzeszczał Aaron pod nią.

Zignorowała go. Usiłowała odzyskać równowagę. Dopiero gdy jej się to udało,

podciągnęła się i weszła do tunelu.

Cała trójka spoglądała razem na zapadniętą, wyschlą powłokę dorosłego obcego.

- Brzydki frajer, nie? - odezwał się Dillon.

Ripley przyklęła, by zbadać zrzuconą skorupę. Palce zadrżały jej lekko, stykając się z pozostałością obcego, potem się uspokoiły. Powłoka była absolutnie niegroźna, cień zagadki.

Nic w niej się nie kryło. Czaszka, w którą uderzyła pochodnia, była w środku pusta. Pchnęła lekko na próbę pozostałą część powłoki i masywny, opływowy kształt przewalił się na bok.

Podniosła się z klęczek.

- Co to jest? - zapytał Aaron. Trącił powłokę stopą.

- Zrzucił skórę. To jakiś rodzaj linienia. - Rzuciła przelotne spojrzenie w górę tunelu. - To jakiś nowy. Nigdy przedtem tego nie widziałam. Nie w tym stadium rozwoju.

- Co to oznacza? - mruknął Dillon.

- Trudno wyczuć. Nie ma precedensu. Jednego jednak możemy być pewni. Jest teraz większy.

- O ile większy? - Aaron podobnie jak ona zaczął się wpatrywać w ciemny korytarz.

- To zależy - szepnęła Ripley.

- Od czego?

- Od tego, czym się stał.

Ruszyła naprzód, trzymając pochodnię przed sobą. Potrąciła Aarona po drodze.

Coś gnało ją naprzód, skłaniało do przyspieszenia, a nie zwolnienia kroku. Zatrzymywała się tylko na krótkie chwile, ledwo starczające na to, by oświetlić pochodnią boczne korytarze, odchodzące od głównego tunelu. Odkrycie powłoki obcego natchnęło ją tą samą nieugiętą determinacją, która pozwoliła jej ocaleć z klęski na Acheronie. Determinacją i narastającym gniewem. Nagle stwierdziła, że myśli o Jonesie. Nic dziwnego, że ona i kot ocaleli z

*Nostramo*. Ciekawość i wola przeżycia były ich dwiema wspólnymi cechami.

Jonesa nie było. Musiał zostać na Ziemi. Może już nie żył. Może nie dręczyły go już kocie koszmary. Tylko ona musiała nadal radzić sobie z życiem i ze wszystkimi wspomnieniami.

- Wolniej. - Aaron musiał przejść w trucht, by za nią nadążyć. Podniósł mapę i wskazał ręką przed siebie. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Spojrzała na niego.

- Mam nadzieję, że warto było się wspinać. Co się stało ze wszystkimi cholernymi windami w tym miejscu?

- Żartujesz? Wyłączono je, kiedy zamykano kopalnię. Po co zresztą banda więźniów miałaby łączyć do tego sektora?

Ruszył naprzód jako pierwszy.

Przebyli następnych sto metrów, a potem tunel przeszedł w znacznie większy korytarz - wystarczająco szeroki i wysoki, by pomieścić nie tylko ludzi, lecz również pojazdy. Zastępca naczelnika zatrzymał się przy przeciwległej ścianie i uniósł w górę pochodnię, by oświetlić nią wywieszkę przyspawaną do metalu.

MAGAZYN ODPADKÓW TOKSYCZNYCH

TO POMIESZCZENIE JEST HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTE

NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

*Wymagana kategoria B-8 lub wyższa*

- No, no. Co my tu mamy? - Po raz pierwszy od wielu dni Ripley pozwoliła sobie na iskierkę nadziei.

- Jest ich ponad tuzin, rozsianych po całym terenie. - Aaron nachylił się, by przeczytać szczegółowy napis znajdujący się pod płytą. - Ten leży najbliżej pomieszczeń mieszkalnych.

Stuknął w ścianę pochodnią i iskry posypały się na podłogę.

- Mieli tu zamiar upchnąć całą masę skoncentrowanych odpadków. Produkty uboczne rafinacji i temu podobne. Niektóre z tych składów są pełne i zapieczętowane na stałe, inne wypełnione częściowo. To tańsze, łatwiejsze i bezpieczniejsze niż wyładować ten syf do bańki i powyrzucać w przestrzeń. Tego magazynu nigdy nie używano. Może dlatego, że leży tak blisko terenów mieszkalnych, a może po prostu nigdy nie musieli z niego korzystać, bo zamknęli interes, zanim to miejsce stało się im potrzebne. Byłem w środku. Jest czysty jak łąza.

Ripley przyjrzała się ścianie.

- Jak wygląda dostęp?

- Mniej więcej tak, jak się można tego spodziewać w magazynie tej kategorii. -

Poprowadził ją wokół pomieszczenia do ściany frontowej.

Drzwi były podrapane i brudne, nadal jednak robiły wrażenie. Zauważyła niemal niewidoczne szczeliny w ich rogach.

- Czy to jedyna droga prowadząca do środka lub na zewnątrz?

Aaron skinął głową.

- Zgadza się. Sprawdziłem instrukcje, zanim zeszliśmy na dół. Przejście jest akurat wystarczająco szerokie, by przepuścić mały transporter-ładowarkę z kierowcą i ładunkiem.

Sufit, ściany i podłoga mają metr osiemdziesiąt grubości. Lita stal ceramokarbidowa. Tak samo jak drzwi. Wszystkie urządzenia sterujące i aktywne podzespoły znajdują się na zewnątrz lub są osadzone w tej samej matrycy.

- Upewnijmy się, czy dobrze to zrozumiałam. Jak się coś tam zagoni i zamknie drzwi, nie ma sposobu, żeby się wydostało?

Aaron chrząknął z przekonaniem.

- Zgadza się. Żadnego pierdolonego sposobu. To świństwo jest szczelne. Instrukcja twierdzi, że może utrzymać absolutną próżnię. Nic większego niż neutrino się nie prześliznie.

Ten ceramokarbidowy materiał rozprasza nawet promienie lasera. Potrzeba by kontrolowanego wybuchu jądrowego, by przedostać się do środka.

- Jesteś pewien, że wszystko jest nadal na chodzie?

Wskazał na pobliską skrzynkę kontrolną.

- Czemu sama nie sprawdzisz?

Postąpiła naprzód i zerwała ciekawą pieczęć zamykającą skrytkę. Wieko opadło w dół, odsłaniając kilka urządzeń sterujących. Przyglądała się im przez chwilę, po czym wcisnęła duży zielony przycisk.

Ogromne drzwi nie tyle otworzyły się, co, jak się wydawało, zniknęły bezgłośnie w ścianie. Powtórzyła cały cykl raz jeszcze, czując podziw dla gładkiej pracy urządzeń, które mogły przemieszczać tak wielką masę równie szybko i łatwo. Więźniowie także byli pod wrażeniem. Sprawność od dawna uspionej techniki podniosła ich w wyraźny sposób na duchu.

Za otwartą barierą znajdowała się pusta komora o gładkich ścianach. Podłogę pokrywała jednodniowa warstwa kurzu. W środku z łatwością mogło się zmieścić kilka dorosłych obcych.

- Pokaż mi mapę. - Aaron wręczył jej płachtę. Palcem wskazującym zaczęła wytyczać trasy na plastiku. - Jesteśmy tutaj? - Aaron nachylił się bliżej i skinął głową. - Administracja jest tu, a sala zebrań w górę tego korytarza?

- Połapałaś się. I to szybko - dodał z podziwem.

- Fakt, że nadal żyję, zawdzięczam zdolności rozumienia relacji przestrzennych. -

Uderzyła palcem w płachtę. - Jeśli zdołamy go skłonić, żeby zaczął nas ścigać tymi

korytarzami, tędy i tędy, a potem będziemy je odcinać jeden po drugim, możemy go zwabić do środka.

Cała trójka zajrzała w głąb magazynu.

Dillon spojrział na nią.

- Powiedzmy to jasno. Chcesz go wykurzyć z tych rur, zapędzić tutaj, zatrzasnąć drzwi i zamknąć go z dupą w pułapce?

- Aha - odparła nie podnosząc wzroku znad mapy.

- I szukasz pomocy u nas, chłopaków z podwójnym chromosomem Y.

- Macie coś lepszego do roboty?

- Dlaczego mamy narażać dla ciebie własne dupy?

Wreszcie podniosła ku niemu spojrzenie swych oczu o stalowym wyrazie.

- Wasze dupy są już zagrożone. Pytanie tylko, co w tej sprawie zrobicie.



# 10.

Aaron, któremu towarzyszył więzień David, pokazał Ripley wielki magazyn. Gdy dotarli do sekcji, w której przechowywano zbiorniki, zatrzymał się i wskazał na nie palcem.

- Tu właśnie to trzymamy. Nie wiem, jak to gówno się nazywa.

- Kwinitrycetylina - pospieszył mu z pomocą David.

- Wiedziałem to - burknął zastępca naczelnika, sprawdzając notatki. - No dobrze. Idę uzgodnić z Dillonem przydział do ekipy malarzy. David, ustaw te pojemniki tak, żeby można je było stąd zabrać.

Odwrócił się i skierował w stronę głównego korytarza.

- Dobrze, osiemdziesiąt pięć - zawołał za nim David.

- Nie nazywaj mnie tak! - Aaron zniknął w mroku odległego korytarza.

Ripley obejrzała pojemniki. Były lekko skorodowane, najwyraźniej nie dotykano ich od pewnego czasu, lecz poza tym wyglądały na nietknięte.

- O co chodzi z tym „osiemdziesiąt pięć”?

David położył ukryte w rękawicach dłonie na najbliższym zbiorniku.

- Kupa więźniów tak go nazywała. Kilka lat temu dorwaliśmy jego dane z komputera. To jego iloraz inteligencji.

Uśmiechnął się i zaczął toczyć pojemnik.

Ripley przyglądała się stojąc.

- On chyba pokłada mnóstwo wiary w tej substancji. Jaka jest twoja opinia?

Więzień ustawił pojemnik gotowy do załadowania.

- Cholera, jestem tylko tępym dozorcą, tak samo jak większość facetów tutaj. Raz jednak widziałem jak pojemnik tego syfu wpadł do silosu. Wybuch umieścił holownik w suchym doku na siedemnaście tygodni. Bombowy materiał.

W innej części magazynu więźniowie Troy i Arthur przerzucali stosy odrzuconych podzespołów elektronicznych. Troy wepchnął żaróweczkę do cylindra, który trzymał, nacisnął przycisk, po czym wykręcił ją z niesmakiem i zaczął szukać następnego urządzenia.

- Niech to cholera. Tylko jedna pieprzona bańka na dwa tysiące działa.

Jego towarzysz przerwał poszukiwania i uniósł głowę.

- Hej, mogło być znacznie gorzej. Mogli nas przydzielić do malowania.

Wypróbował żaróweczkę w cylindrze, który trzymał w ręku. Ku jego zdumieniu i zachwytowi zapaliła się.

Dwaj mężczyźni wypełniali sobą kanał niemal całkowicie. Pokrywali jego wewnętrzną powierzchnię dużą ilością ostrej w zapachu kwinitrycetyliny.

- To gówno okropnie śmierdzi - oznajmił po raz setny więzień Kevin. Jego towarzysz ledwie raczył mu odpowiedzieć. - Mówiłem ci już, nie wdychaj tego.

- Dlaczego nie?

- Pierdolone opary.

- Jestem, kurwa, razem z tym w rurze. Jak mogę tego nie wdychać?

Na zewnątrz magazynu odpadków toksycznych inni mężczyźni opróżniali całe wiadra kwinitrycetyliny i rozprowadzali ją najlepiej jak tylko mogli za pomocą mioteł i szmat oraz - tam, gdzie ich brakowało - obutych stóp.

W korytarzu czekali Dillon i Ripley. Wszystko odbywało się zgodnie z planem, choć czy sam plan zostanie zrealizowany zgodnie z planem, miało się dopiero okazać.

Popatrzył na nią i zbadał wyraz jej twarzy. Nie był może szczególnie wrażliwy, ale widział już w życiu mnóstwo.

- Żal ci doktorka, prawda?

- Nie znałam go zbyt dobrze - mruknęła w charakterze odpowiedzi.

- Myślałem, że byliście ze sobą naprawdę blisko.

Tym razem to ona mu się przyjrzała.

- Musiałeś chyba podglądać przez jakąś dziurkę od klucza.

Dillon uśmiechnął się.

- Tak też myślałem.

Mdłości nie wystąpiły stopniowo, lecz zaatakowały ją szybko i z całej siły. Zaburzyły jej równowagę tak, że musiała oprzeć się o ścianę. Dławiła się i kasłała. Dillon podszedł do niej, by ją podtrzymać, lecz odepchnęła go, usiłując zaczerpnąć powietrza. Przyjrzał się jej z nagłą troską.

- Dobrze się czujesz?

Zaczerpnęła głęboko powietrza i skinęła głową.

- Jak sobie chcesz. Nie wyglądasz jednak, jakbyś się dobrze czuła, siostrze.

Aaron przyjrzał się towarzyszącym mu skazańcom - niektórzy stali tuż obok, inni na przejściach na górze. Wszyscy mieli ze sobą wyposażone w spłonkę flary alarmowe, które zapalały się przy silnym wstrząsie.

- No dobra, słuchajcie. - Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu z uwagą. - Nie zapalajcie tego ognia, dopóki nie dam wam znaku. To jest ten znak. - Uniósł rękę. - Kapujecie? Dacie radę to zapamiętać?

Wszyscy skupili uwagę na nim. Do tego stopnia, że człowiek stojący najbliżej pionowego kanału powietrznego upuścił flarę, którą trzymał w ręku. Próbował ją złapać. Nadaremnie.

Wstrzymał oddech, gdy spadła na występ tuż obok jego stóp.

Jego towarzysz nic nie zauważył. Mężczyzna ukląkł i wyciągnął rękę, by ją odzyskać.

Odetchnął z ulgą...

W tej samej chwili obcy pojawił się za kratą, na której leżała lekko przechylona flara, i

sięgnął po niego.

Mężczyzna zdołał jeszcze krzyknąć. Flara wypadła mu z rąk i poleciała w dół.

Tam zapaliła się jasnym płomieniem.

Aaron jednocześnie usłyszał i dostrzegł eksplozję. Wybałuszył oczy.

- Nie, do cholery! Czekajcie na pierdolony znak! Niech to szlag!

Nagle ujrzał obcego i zapomniał o płomieniach.

Szerzyły się tak szybko, jak na to liczyli zdesperowani planujący. Gnały przez pomalowane kwinitrycetyliną korytarze, wylizywały otwory odpowietrzające, paliły nasączone tą substancją korytarze i chodniki. W swym własnym korytarzu Ripley usłyszała zbliżające się płomienie i przywarła do nie pomalowanego gruntu w chwili, gdy otwory odpowietrzające ponad nią stanęły w płomieniach. Skazaniec stojący obok niej nie był tak szybki. Wrzasnął, gdy jego ubranie zapaliło się pod wpływem ciepła.

Morse odtoczył się gwałtownie od liżących go płomieni akurat na czas, by dojrzeć, jak obcy przemknął ponad nim.

- Jest tutaj! Hej, jest tutaj! - Nikt nie miał ochoty czy też nie był w stanie zareagować na jego alarm.

Nie sposób było prześledzić choćby połowy z tego, co się działo. Ranni mężczyźni rzucali się przez płonące balustrady lub spadali z rozgrzanego sufitu. Więzień Eric dojrzał sięgający ku niemu płomień i w ostatniej chwili pognął do nie pomalowanej rury doprowadzającej. Zdążył się do niej wcisnąć akurat na czas, by uniknąć płomieni, które przypaliły podeszwy jego stóp. Inny mężczyzna poniósł śmierć, gdy obcy wychynął z buchającego parą przewodu wentylacyjnego i wylądował wprost na nim.

Aaron, uciekający jak szaleniec, gnał wraz z jednym ze skazańców w stronę magazynu odpadków, usiłując wyprzedzić płomienie. Zastępcy naczelnika udało się to, lecz jego

towarzysz nie był tak szybki... czy też miał mniej szczęścia. Ogień go ogarnął, ale nie zatrzymał.

Gdy wpadli do złącza prowadzącego do magazynu, Ripley, Dillon i więzień Junior zdołali obalić płonącego mężczyznę na podłogę i starali się zdusić płomień na jego plecach. Aaron usiłował złapać oddech. W tej samej chwili odgłos czegoś, co poruszało się szybko ponad nim, przykuł jego uwagę. Z nieoczekiwaną przytomnością umysłu złapał szmatę nasączoną kwinitrycetyliną i wetknął ją w pobliskie płomień. Podniósłszy w górę tę prowizoryczną pochodnię, wepchnął ją w rozwarty otwór przewodu ponad sobą. Odgłos ucichł.

Więzień umarł w ramionach Juniora. Jego usta poruszały się tylko bezgłośnie. Junior podniósł się i pognął w dym i ogień wrzeszcząc:

- Chodź i złap mnie, ty bucu! Chodź i złap mnie!

W głównym korytarzu łącznikowym kolejny mężczyzna padł na podłogę pod wpływem wdychanego dymu. Ostatnią rzeczą, którą widział padając, była sylwetka obcego, wznosząca się przed nim na tle płomieni i niewiarygodnego skwaru. On też próbował krzyknąć, lecz nie zdołał.

Junior wypadł z za rogu i ślizgając się zahamował. W tej samej chwili obcy odwrócił się nagle.

- Goń mnie, goń! - Pograżony w rozpacz więzień minął pędem potwora, który bez wahania rzucił się w pogoń.

Wszyscy kierowali się ku wejściu do magazynu odpadków toksycznych - Ripley i Dillon, Aaron i Morse oraz inni pozostali przy życiu więźniowie. Gdy obcy zwrócił się w ich stronę, poszli za przykładem Aarona, podpalając szmaty i rzucając w bestię tymi prowizorycznymi pociskami. Junior wykorzystał okazję, by zbliżyć się do obcego od tyłu.

- A kuku! Złap mnie, ty kutasie!

Jeśli chodziło o ofiary, obcy po raz kolejny zademonstrował, że przedkłada bliskość ponad liczbę. Odwrócił się gwałtownie i rzucił na Juniora. Runęli obaj do tyłu... do wnętrza magazynu.

Usiłując osłonić się przed potężnym gorącem, Dillon nie przestawał gasić płonących towarzyszy. Gdy już ubranie na ostatnim z nich tliło się zaledwie, odwrócił się, by spróbować przebić się przez płomienie ku tylnej ścianie.

Ripley dotarła do skrzynki kontrolnej. Poszukiwała na oślep czerwonego guzika, podczas gdy Aaron wrzucił do środka kolejną płonąca szmatę. W chwilę później Dillon uruchomił instalację wodną.

Junior wydał z siebie ostatni, słaby, pozbawiony nadziei krzyk w chwili, gdy ciężkie drzwi zawarły się przed nim, zamykając magazyn. W tej samej chwili zadziałały spryskiwacze. Wyczerpani, przerażeni mężczyźni, którzy bez wyjątku doznali różnego stopnia obrażeń od dymu lub ognia, stanęli nieruchomo w korytarzu, podczas gdy woda lała się z góry.

Nagle zza drzwi dobiegł hałas, odległe, szybkie odgłosy uderzeń. Kończyny, które nie były rękami, badały otoczenie, nie-palce skrobały je. Złapany w pułapkę obcy gorączkowo poszukiwał wyjścia. Stopniowo hałasy ustały.

Dwóch ocalonych spojrzało na siebie nawzajem, jak gdyby mieli zamiar wybuchnąć radością. Ripley powstrzymała ich ostro.

- To jeszcze nie koniec.

- Pieprzysz - odparł jeden z mężczyzn gniewnie. - Jest w środku. Drzwi zadziałały. Mamy go.

- Co ty gadasz? - zaatakował ją Aaron. - Zamknęliśmy sukinsyna, tak jak to zaplanowałaś.

Ripley nawet na niego nie spojrzała. Nie musiała nic tłumaczyć, ponieważ ciszę zmaćcił

nagle ogłuszający wstrząs. Kilku mężczyzn zadrżało, a dwóch zerwało się do ucieczki.

Reszta gapiła się w zdumieniu na drzwi, które wypuczyły się nagle. Echo uderzenia nie przestawało nieść się kanonadą przez tunele. Zanim wygasło do końca, drugi grzmot wypełnił korytarz i na drzwiach pojawiła się kolejna wypukłość.

- Sukinkot - mruknął głośno Aaron. - To ceramokarbidowe drzwi.

Dillon nie słuchał go. Jako człowiek, który uniknął w życiu wielu niebezpieczeństw, obserwował Ripley. Nie poruszyła się, więc on również nie zmienił położenia. Gdyby zaczęła uciekać, podążyłby tuż za nią, nie zamierzając zatrzymywać się ani na chwilę.

Ripley nie podała jednak tyłów nawet wtedy, gdy pojawiło się trzecie wgłębienie. W uszach mu dzwoniło.

Oto jest pani i jaka szkoda, że nie mogłem jej znać wcześniej, zadumał się. Oto pani, która mogłaby zmienić mężczyznę, kurs i kierunek jego życia. Mogłaby zmienić moje. Tak mogło być przedtem. Teraz jest za późno. Było za późno już od dość dawna.

Wywołane wstrząsami wibracje nie zaatakowały już więcej jego bębenków. Nie pojawiło się czwarte wgłębienie. W korytarzu zapanowała śmiertelna cisza. Stopniowo wszyscy przenieśli uwagę z drzwi, które nie były już doskonałe, lecz nadal pozostawały szczelne, na jedyną kobietę pomiędzy nimi.

Usiadła powoli, oparta o ścianę i zamknęła oczy. Ze wszystkich gardeł wyrwało się westchnienie ulgi, które wypełniło pomieszczenie niczym ostatni powiew wiatru będący oznaką zakończenia niedawnej burzy.

# 11.

Ocaleni zgromadzili się w sali zebrań, przeredzeni, lecz podniesieni na duchu. Dillon stanął naprzeciw. Odczekał, by się upewnić, że wszyscy nadeszli. Dopiero wtedy zaczął.

- Radujcie się, bracia! Nawet dla tych, którzy padli, jest to czas radości. Choć ich odejście napętnia nas żałobą, oddajemy cześć ich odwadze. Dzięki ich poświęceniu żyjemy, a ktoś może powiedzieć, kto z nas, żywi czy martwi, wyszedł na tym lepiej? Jednego jesteśmy pewni: otrzymali swą nagrodę. Są teraz w znacznie lepszym miejscu, ponieważ gorszego miejsca być nie może. Będą żyli wiecznie. Radujcie się. Ci, którzy zmarli, żyją nadal, wolni od ograniczeń, wolni od wrogości bezmyślnego społeczeństwa. Porzuciło ich ono, a teraz z kolei oni je porzucili. Odeszli. Odeszli wyżej. Radujcie się i wznoscie dzięki!

Mężczyźni pochylili głowy i zaczęli szeptać cicho pomiędzy sobą.

Ripley i Aaron obserwowali ich z góry, z galerii. Wreszcie zastępca naczelnika spojrział na swą towarzyszkę. Oboje zdążyli już wyjść spod prysznic. Trudno powiedzieć, że się odświeżyli, przynajmniej jednak byli czysti. Ripley napawała się gorącym silnym strumieniem wiedząc, że tym razem nie musi obserwować z uwagą odpowiedników czy zabezpieczeń.

- Jakie masz na ten temat zdanie? - Wskazał na zbieraninę obdartusów pod nimi.

Poświęcała otoczeniu tylko połowę uwagi. Reszta jej myśli była gdzie indziej.

- Nienajlepsze. Jeśli jednak to im sprawia przyjemność, to chyba...

- Masz świętą rację. Te kutasy powariowały. Ale to ich uspokaja. Naczelnik i ja zgadzaliśmy się pod tym względem. Andrews zawsze mówił, że to dobrze, iż Dillon i jego hołota załapali się na to świątobliwe pieprzenie. Są przez to bardziej potulni.

Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Nie jesteś religijny?



- Ja? Nie, za cholere. Mam swoja prace. - Zamyślił się. - Ekipa ratunkowa dotrze tu pewnie za cztery, pięć dni. Góra sześć. Otworzą drzwi, wleżą do środka z elkaemami i zabiją sukinsyna. Mam rację?

- Czy przysłała od nich jakaś wiadomość? - zapytała niezobowiązującym tonem.

- Nie.

Aaron był bardzo zadowolony z sytuacji. I z siebie. Z tej kabały z pewnością wyniknie parę dobrych rzeczy.

- Otrzymaliśmy tylko : „Wiadomość odebrano.” Żadnych szczegółów. Potem przyszło coś, co mówiło, że ty jesteś sprawą o najwyższym priorytecie. Znowu bez wyjaśnień. Nie mówią nam za dużo. Jesteśmy na dupnym końcu kija.

- Posłuchaj - zaczęła ostrożnie. - Jeśli Towarzystwo zechce go stąd zabrać...

- Zabrać go? Żartujesz? To nie wariaci, rozumiesz. Zabiją go natychmiast.

Zmarszczył brwi. Nic nie pojmuję, pomyślał. Czasami wydawało mu się, że doskonale rozumie tę niezwykłą kobietę, lecz momentami zabijała mu klina. Cóż, rozumienie jej nie należało do jego obowiązków. Miał ją tylko utrzymać przy życiu. Tego chciał Weyland-Yutani. Teraz, gdy Andrewsa już nie było, a obcy znalazł się w bezpiecznym zamknięciu, zaczął dostrzegać w tej sytuacji sposobność dla siebie. Nie tylko sprawował tu teraz funkcję kierowniczą, lecz również jemu miał przypaść w udziale przywilej przywitania przedstawiciela Towarzystwa i wyjaśnienia mu sytuacji. Mógł sprawić, że zwierzchnicy go zapamiętają, podobnie jak ostatnie wydarzenia. Może otrzyma za to premię albo, jeszcze lepiej, zostanie wcześniej odwołany z Fioriny. Może nie były to nierealne nadzieje.

Poza tym po latach wysługiwania się Andrewsowi i po tym, przez co przeszedł przez parę ostatnich dni, zasłużył sobie na wiele.

- Hej, naprawdę się tym przejmujesz, co? Dlaczego? Czym się martwić? To cholerstwo

jest bezpiecznie zamknięte i nie może nam nic zrobić.

- Nie chodzi o obcego. Chodzi o Towarzystwo. Starłam się z nimi w tej sprawie już dwukrotnie - zwróciła się w jego stronę. - Pragnęli zdobyć jedno z tych stworzeń już od czasu, gdy odkryli je moi dawni towarzysze. Do badań nad bronią biologiczną. Nie rozumieją, z czym mają do czynienia. Nie obchodzi mnie, ile danych na ten temat zgromadzili. Obawiam się, że mogą spróbować zabrać go ze sobą.

Wbił w nią wzrok. Jego uczciwe niedowierzanie uspokoiło ją. Przynajmniej w tej chwili nie była pozbawiona sojuszników.

- Zabrać go? Że niby żywego? Na Ziemię?

Skinęła głową.

- Na pewno żartujesz.

- Spójrz mi w oczy, Aaron. Ten temat nie skłania mnie do żartów.

- Cholera, mówisz poważnie. To szaleństwo. Muszą go zabić.

Ripley uśmiechnęła się z przekąsem.

- Racja. Rozumiem więc, że w tej sprawie się zgadzamy?

- Masz cholerną rację - odrzekł z ferworem.

Był po jej stronie, zadumała się. Jak na razie. Towarzystwo potrafiło manipulować ludźmi i skłaniać ich do zmiany stanowiska. Nie mówiąc już o wyznawanych wartościach.

W ambulatorium panowała cisza. Spokój powrócił do kompleksu, nawet jeśli nie do niektórych z jego mieszkańców. Zaniepokojony, że gdy zabrakło Clemensa, część z więźniów, których przybycie na Fiorinę wywołane było, przynajmniej w pewnym stopniu, nadużywaniem różnych zabronionych farmaceutyków, mogła spróbować kradzieży ich lub ich chemicznych kuzynów z regulaminowego schowka, Aaron wysłał Morse'a, żeby miał na nie oko, podobnie jak na jedyne lokatora ambulatorium.

Morse siedział na jednym z łóżek i czytał książkę. Nie należał do ludzi, których przygnębiał panujący na Fiorinie brak materiałów rozrywkowych, ponieważ nigdy nie był nimi szczególnie zainteresowany. On, człowiek czynu, przynajmniej w dawnych, bardziej aktywnych dniach, teraz był mówcą, specjalistą od wspominek.

Mimo faktu, że znali się z Morse'em i pracowali ramię przy ramieniu od lat, Golic nie przywitał go w chwili wejścia i od tej pory nie odezwał się ani słowem. Wreszcie masywny więzień odwrócił twarz od ściany. Jego ramiona ginęły wciąż w archaicznym kaftanie bezpieczeństwa.

- Cześć, Morse.

Starszy mężczyzna podniósł wzrok znad monitora.

- A więc umiesz mówić. Też mi coś. I tak nigdy nie miałeś nic do powiedzenia.

- Daj spokój, bracie. Uwolnij mnie z tego.

Morse uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Ach, teraz, kiedy jesteś związany jak baleron, nagle zostałem „bratem”? Nie wciskaj mi takich pierdół.

- Daj spokój facet. Nie bądź taki. W tym jest niewygodnie jak diabli. Uwolnij mnie na chwilę.

- Nic z tego, kurwa. Mam swoje rozkazy.

- Daj spokój facet. To boli.

- Przykro mi. - Morse powrócił do lektury. - Jak Aaron każe cię rozwiązać, to cię rozwiążę. Do tej pory zostaniesz, jak jesteś. Nie chcę mieć żadnych kłopotów. Nie w chwili, gdy przylatuje statek Towarzystwa.

- Nic nie zrobiłem. To znaczy, rozumiem, że przez chwilę trochę mi odbiło. Cholera, każdemu mogło się zdarzyć po tym, co widziałem. Ale teraz jestem w porządku. Doktorek

mnie wyleczył. Zapytaj go.

- Nie da rady. Doktorek oberwał. Słyszałeś o tym.

- No tak. Racja. Teraz sobie przypominam. Fatalnie. To był równy gość, mimo że mnie w to wsadził.

- Nie mów do mnie - odparł Morse z miną pełną niesmaku.

Golic nie przestawał go błagać.

- Co ja zrobiłem? Powiedz mi co ja zrobiłem?

Morse westchnął i odstawił monitor na bok. Spojrzał na współwięźnia.

- No, nie wiem. Powiem ci jednak co zrobię. Będę pilnował twojej dupy tak, jak mi kazali.

Golic parsknął z pogardą.

- Boisz się tego szczyła Aarona?

- Nie, nie boję się, nawet jeśli jest teraz nieoficjalnym naczelnikiem. Po prostu nie chcę podpaść Dillonowi i, jeśli masz swój rozum, w co wątpię, ty również tego nie chcesz.

Większy mężczyzna prychnął ze smutkiem.

- Jedyne co zrobiłem, to opowiedziałem o smoku. O tym co zrobił z Boggsem i Rainsem.

Nikt mi nie uwierzył, ale ja nie kłamałem. Jestem ostatnim, którego należy związać. To niesprawiedliwe. Wiesz, że mówię prawdę. Widziałeś go.

- Jasne, kurwa, że widziałem! Był wielki. I szybki. Facet, ale był szybki. I brzydki. -

Zadrżał lekko.- Są lepsze sposoby na śmierć.

- Hej, masz rację. - Golic szarpał się nadaremnie z więzami.- Wypuść mnie facet. Musisz mnie wypuścić. Co będzie, jak on się tu dostanie? Nie mógłbym nawet uciekać. Byłby ze mnie trup.

- I tak byłby z ciebie trup. Widziałem go, to wiem. Ale to nieważne, bo on się tu nie

dostanie - uśmiechnął się z dumą.- Złapaliśmy go w pułapkę. Ja i inni. Zamknęliśmy go bezpiecznie. Założę się , że dostał szalu. Gdy statek tu dotrze Towarzystwo się z nim załatwi.

- Racja - zgodził się z chęcią Golic. - Z tego, co słyszałem, będą tu wkrótce. Więc po co to zawracanie głowy? Dlaczego muszę tak w tym siedzieć? Zanim statek pokaże się na orbicie, ręce mi uschną. Potrzebna będzie operacja. I po co to wszystko? Daj spokój, facet. Wiesz, że nie zabiorą mnie z tej planety na operacje, a mogą minąć miesiące, zanim dostaniemy nowego medyka. Będę się męczył przez cały ten czas i wszystko to będzie twoja wina.

- Hej, odchrzań się. Nie ja cię w to włądowałem.

- Nie, ale ty mnie w tym trzymasz, a facet, który dał ci taki rozkaz, już nie żyje. Aarona gównem to obchodzi. Jest zbyt zajęty skakaniem wokół tej pani porucznik. Czy chociaż o mnie zapytał?

- No, nie - przyznał ostrożnie Morse.

- Widzisz? - Twarz Golica pełna była żalostnej skwapliwości. - Nie narobię ci żadnych kłopotów, Morse. Będę siedział cicho, dopóki nie przybędzie statek. Aaron nawet się nie dowie, że jestem wolny. No już uwolnij mnie. Jaka sprawa? Czy nie dawałem ci zawsze darmowych fajek w pierwszej kolejności?

- No... tak.

- Jesteś moim przyjacielem. Lubię cię.

- No. Ja też cię lubię.- Morse zawahał się, po czym zaklął cicho. - Kurwa, czemu nie? Nikt nie zasługuje na to, żeby siedzieć cały dzień związany jak zwierzę. Nawet taki wielki, głupi szmondak jak ty. Ale musisz być grzeczny. Nie odpierdol żadnego numeru, bo oberwę za to po dupie.

- Jasne, Morse. Jak każesz. - Odwrócił się do niego, prezentując plecy i Morse zaczął usuwać pieczęcie na rzemieniach.

- Nie ma sprawy. Uwierz mi koleś. Zawsze możesz na mnie liczyć.

- No. Ale ja nie jestem taki wariat, żeby mnie tak władowali w kaftan. Wiedzą, że jestem normalny. - powiedział drugi z mężczyzn.

- Daj spokój. Nie nabijaj się ze mnie. Czy mówię jak wariat? Jasne, że nie. Wszyscy robią sobie ze mnie jaja, tylko dlatego, że lubię cały czas jeść.

- Facet, to nie przez to, że lubisz jeść, ale przez to, jak zachowujesz się przy stole.- Morse ryknął śmiechem z własnego dowcipu. Rozwiązał węzeł. - To wszystko.

- Daj mi rękę dobra? Łapy tak zdrętwiały, że nie mogę nimi ruszyć.

- Cholera. Nie dość, że kazali mi mieć cię na oku, to teraz jeszcze muszę się bawić w pielęgniarkę.- Wyciągnął ręce i zdjął kaftan z Golic. Większy mężczyzna pomagał mu tak, jak tylko mógł.

- Gdzie go trzymają?

- W najbliższym zbiorniku odpadów na poziomie piątym. Facet, ale przyszpilił mi tego frajera! Zamknięty na amen - odparł z uzasadnioną dumą. - Pierdolona piechota morska nie potrafiła tego dokonać, a nam się udało.

Golic wymachiwał ramionami do tyłu i do przodu wokół swej pojemnej klatki piersiowej, a potem do góry i wkoło, zataczając coraz większe kręgi, by przywrócić krążenie.

- Ale on jeszcze żyje?

- No. To fatalnie. Szkoda, że nie widziałeś, jakie wgłębienia zrobił w drzwiach. W ceramokarbidowych drzwiach, facet! - Morse potrząsnął głową ze zdumieniem.- Kurewsko mocny organizm. Ale go złapaliśmy.

- Muszę go znowu zobaczyć. - Wielki mężczyzna wbił wzrok w punkt leżący za

Morse'em, w coś, co dostrzegał tylko on. Jego twarz miała obojętny, nieruchomy wyraz. -

Muszę go znowu zobaczyć. To mój przyjaciel.

Morse, nagle ostrożnie, postąpił krok do tyłu.

- Co ty, kurwa, mówisz?

Jego wzrok przemknął się ku wyjściu z ambulatorium.

Golic spokojnie zerwał z pobliskiej ściany małą gaśnicę. Drugi z mężczyzn wybałuszył oczy. Rzucił się ku wyjściu...za wolno. Gaśnica uderzyła go raz, potem drugi i Morse runął na ziemię.

Golic spojrzał zamyślony w dół na niego. Na jego twarzy gościł smutek idioty.

- Wybacz mi, bracie - odezwał się przeproszającym tonem - ale miałem wrażenie, że tego nie zrozumiesz. Już nie zapalisz papieroska, kolego.

W milczeniu przekroczył nieprzytomną postać i wyszedł z pokoju.

## 12.

Aaron obchodził się bardzo ostrożnie z komunikatorem dalekiego zasięgu. Jakiś czas temu sprawdzono jego umiejętność posługiwania się tym sprzętem. Umiejętność ta należała do niezbędnych przy przyznawaniu mu obecnej kategorii. Nie miał jednak okazji korzystania z komunikatora od chwili, gdy przydzielono go na Fiorinę. W tych rzadkich sytuacjach, kiedy trzeba było uruchomić kosztowną, niemal natychmiastową łączność między kompleksem a centralą, zajmował się tym Andrews. W chwili gdy ekran wskazał, że urządzenie jest gotowe do użytku i że nawiązano kontakt z niezbędnymi przekaźnikami, poczuł zarówno zadowolenie jak i ulgę.

Ripley stała nad nim, gdy uderzał w klawiaturę. Nie udzielała mu żadnych sugestii, za co czuł niejasną, lecz mimo to autentyczną wdzięczność. W miarę jak przekazywał wiadomość, jej tekst pojawiał się na głównym ekranie. Wysłanie każdej litery wymagało zużycia imponującej dawki mocy. Na szczęście reaktor termojądrowy działał równie sprawnie jak zawsze, dzięki czemu nie doskwierał im brak energii. Jeśli zaś chodzi o koszt - co było całkiem inną sprawą - postanowił nań nie zważać, dopóki Towarzystwo nie wskaże mu, że powinien postępować inaczej.

FURY 361 - JEDNOSTKA WIĘZIENNA KLASY C.

FIORINA. ZGŁASZAM ŚMIERĆ NACZ. ANDREWSA, OFICERA

MEDYCZNEGO CLEMENSA ORAZ OŚMIU WIĘŹNIÓW.

PODAJĘ NAZWISKA...

Gdy skończył listę, spojrzął ponownie na nią.

- Dobra, pierwszą część załatwiliśmy. Wszystko miło i formalnie, tak jak Towarzystwo lubi. Co mam powiedzieć teraz?

- Opowiedz im co się wydarzyło. Że obcy przybył na promie ratunkowym i skrył się



wewnątrz kompleksu. Że załatwiał tutejszych mieszkańców jednego po drugim, aż wreszcie ułożyliśmy plan akcji i złapaliśmy go w pułapkę.

- Dobra. - Zwrócił się w stronę klawiatury. Zawahał się. - Jak on się nazywa? Po prostu „obcy”?

- Towarzystwu by to pewnie wystarczyło. Będą wiedzieć, o co chodzi. Fachowe określenie brzmi „organizm ksenomorficzny”

- Dobra... - Zawahał się. - Jak to się pisze?

- Popatrz. - Odsunęła go niecierpliwie łokciem na bok i zasiadła za klawiaturą. Jeśli pozwolisz?

- Proszę bardzo - odparł wylewnym tonem. Obserwował z podziwem, jak jej palce śmigają po klawiaturze.

ZŁAPALIŚMY W PUŁAPKĘ ORGANIZM KSENUMORFICZNY.

PROSIMY O ZGODE NA JEGO UŚMIERCENIE.

Aaron spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami, gdy cofnęła się od klawiatury.

- To było marnotrawstwo. Nie możemy go zabić. Nie mamy tu żadnej broni, pamiętasz?

Ripley nie zwróciła na niego uwagi. Skoncentrowała się na połyskującym lekko ekranie.

- Nie musimy im tego mówić.

- To po co ta prośba?

Był wyraźnie skonsternowany. Nie czuła potrzeby, by go oświecić. Miała w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

I rzeczywiście, na ekranie zaczęły pojawiać się litery. Uśmiechnęła się, nie czując wesołości. Nie zwlekali z odpowiedzią, niewątpliwie w obawie, że gdyby ta nie nadeszła Ripley mogłaby po prostu zrealizować swe plany.

DO : FURY 361 - JEDNOSTKA WIĘZIENNA KALSY C.

OD: CENTRALA SIECI WEYLAN-YUTANI.

WIADOMOŚĆ ODEBRANO.

Aaron odchylił się do tyłu na krześle i potarł zmęczonym gestem czoło.

- Widzisz? To wszystko, co nam mówią. Mają nas za gówno, jakbyśmy nie byli warci kosztu wysłania kilku dodatkowych słów.

- Zaczekaj - powiedziała mu.

Mrugnął oczyma. Tuż po oczekiwanym oficjalnym potwierdzeniu na ekranie pojawiły się następne litery.

JEDNOSTKA RATOWNICZA PRZYBĘDZIE NA WASZĄ ORBITĘ O GODZINIE  
1200. PRZYGOTUJCIE SIĘ DO JEJ PRZYJĘCIA. NIE UDZIELAMY ZGODY NA  
UŚMIERCENIE ORGANIZMU KSENOMORFICZNEGO. UNIKAĆ KONTAKTU  
DOPÓKI

NIE

PRZYBĘDZIE

EKIPA

RATOWNICZA.

POWTARZAM

KATEGORYCZNIE. NIE UDZIELAMY ZGODY.

Było tego znacznie więcej, na podobną nutę, lecz Ripley zobaczyła już wystarczająco wiele.

- Cholera - odwróciła się, przygryzając w zamyśleniu dolną wargę. - Wiedziałam.

Aaron zmrużył oczy, próbując podzielić uwagę między Ripley i ekran.

- Jak to, wiedziałaś? To nic nie znaczy. Zdają sobie sprawę, że nie mamy żadnej broni.

- Po co w takim razie "kategorycznie"? Dlaczego tak mocno podkreślają, żebyśmy nie

zrobili czegoś, czego, jak z pewnością wiedzą, nie jesteśmy w stanie zrobić?

Wzruszył, nie rozumiejąc, ramionami.

- Pewnie chcą uniknąć ryzyka.

- Zgadza się - szepnęła w napięciu. - Chcą uniknąć ryzyka.

- Hej - odezwał się, nagle zaniepokojony. - Nie chcesz się chyba przeciwstawić poleceniom Towarzystwa?

Tym razem się uśmiechnęła.

- Kto, ja? W głowie mi nie powstała podobna myśl.

Przedśionek przed magazynem odpadków toksycznych był słabo oświetlony, lecz fakt ten nie przeszkadzał dwóm pełniącym straż więźniom. W szybach i tunelach nie było nic, co mogłoby wyrządzić im krzywdę, a z wewnątrz nie dobiegał żaden hałas. Trzy wypukłości były wyraźnie widoczne na ciężkich drzwiach. Nie powiększyły się, ani też nie dołączyło do nich czwarte.

Jeden z mężczyzn oparł się swobodnie o ścianę, usuwając sobie brud zza paznokci za pomocą cienkiego odprysku plastiku. Jego towarzysz siedział na twardej, zimnej podłodze i konwersował z nim cicho.

- I mówię ci, ten stwór na pewno już zdechł. - Mówiący miał włosy rudawego koloru upstrzone na skroniach siwizną i wielki krzywy nos, który w innej epoce nadałby mu wygląd libańskiego kupca.

- Jak do tego doszedłeś? - zapytał drugi mężczyzna.

- Słyszałeś, co powiedział szef. Nic nie może się wydostać z tej skrzynki. - Wskazał kciukiem w stronę komory. - Nawet gaz.

- No. I co z tego?

Pierwszy mężczyzna puknął się palcem w bok głowy.

- Pomyśl, głupku. Jeśli gaz nie może się wydostać, to znaczy, że powietrze nie może się dostać do środka. Ten frajer siedzi już tam wystarczająco długo, by zużyć cały zapas powietrza dwa razy.

Jego rozmówca spojrzał na wypaczone drzwi.

- Może i tak.

- Jakie tam "może"? On jest wielki. To znaczy, że zużywa mnóstwo powietrza. Znacznie więcej niż człowiek.

- Nie wiemy tego. - Jego towarzysza otaczała ponura aura człowieka nieprzekonanego. -

To nie jest człowiek: Może zużywa mniej powietrza. A może potrafi hibernować czy co. A może powinieneś tam wejść i sprawdzić, jak on się ma. - Czyszczący paznokcie podniósł wzrok znad swego dzieła ze znudzonym wyrazem twarzy. - Hej, słyszałeś coś?

Drugi z mężczyzn spojrzał nagle w prawą stronę, w słabo oświetlony główny tunel.

- Co jest? - Jego towarzysz uśmiechał się. - Nadchodzi ludojad?

- Nie, do cholery. Coś słyszałem.

Rozległy się kroki, wyraźne teraz i coraz bliższe.

- Cholera. - Czyszczący paznokcie odchylił się od ściany wpatrzony przed siebie.

Z półmroku wyłoniła się postać z rękoma złożonymi za plecami. Obaj mężczyźni odprężyli się. Rozległ się cichy śmiech.

- Cholera, Golic. - Mężczyzna z powrotem zasiadł na podłodze. - Mogłeś nas uprzedzić, że to ty. Zagwizdać czy co.

- No - zgodził się jego towarzysz wskazując ręką na komorę. - On pewnie nie umie gwizdać.

- Zapamiętam to sobie - obiecał im wielki mężczyzna. Wyraz jego twarzy był pełen rezerwy. Kołysał się lekko z boku na bok.

- Hej, nic ci nie jest, facet? Wyglądasz niesamowicie - zapytał czyszczący paznokcie.

Jego towarzysz zachichotał.

- On zawsze wygląda niesamowicie.

- Nic mi nie jest - mruknął Golic. - Naprzód. Otworzyć i wejść. Muszę tam wejść. - Skinął głową w kierunku komory.

Obaj mężczyźni siedzący na podłodze wymienili zdziwione spojrzenia. Jeden z nich schował ostrożnie do kieszeni odprysk, którym czyścił paznokcie. Uważnie obserwował nowo przybyłego.

- O czym on, do diabła, mówi - zastanowił się ten, który lubił snuć teorie.

- Ma popierdolone we łbie - oznajmił z przekonaniem jego towarzysz.

- Czego tu chcesz, facet? Swoją drogą, kiedy cię wypuścili z ambulatorium?

- Wszystko w porządku. - Twarz Golica lśniła błogą determinacją. - Muszę tylko tam wejść i zobaczyć Bestię. Mamy kupę syfu do obgadania - dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Muszę tam wejść. Rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem. Wiem tylko jedno. Ani ty, ani nikt inny tam nie wejdzie, ty przygłupie. Ten wielki skurwysyn zeżre cię żywcem. A poza tym, jak kutasa wypuścisz, możesz nas wszystkich pocałować w dupę na pożegnanie. Czy ty w ogóle nic nie wiesz, bracie?

- Jak chcesz popełnić samobójstwo - oznajmił jego towarzysz - to idź skoczyć do szybu w kopalni. Tutaj tego nie zrobisz. Naczelnik dobrałby się nam do tyłków. Ruszył w stronę intruza.

- Naczelnik nie żyje - oznajmił uroczyście Golic.

Wyciągnął zza pleców pałkę, którą tam ukrywał i rozwalił nią czaszkę zbliżającego się do niego mężczyzny.

- Co, kurwa?... Łap go!

Golic był znacznie szybszy i bardziej zwinny, niż sobie wyobrażali, a ponadto, tym razem motywowało go coś znacznie potężniejszego niż zwykła żądza jedzenia. Obaj mężczyźni padli pod ciosami pałki z zakrwawionymi twarzami i głowami. Wszystko skończyło się bardzo szybko. Golic nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy jego towarzysze jeszcze żyją, ponieważ w gruncie rzeczy nie obchodziło go to. W tej chwili jedyną liczącą się dla niego rzeczą była obsesja, która zapanowała całkowicie nad jego umysłem, uczuciami i całym jego jestestwem.

Spojrzał na dwa ciała leżące u jego stóp.

- Tak naprawdę to nie chciałem tego zrobić. Porozmawiam z waszymi matkami.

Wszystko im wyjaśnię. Upuściwszy pałkę podszedł do drzwi i przebiegł palcami po wypuczeniach na powierzchni stopu. Przycisnął ucho do gładkiej powierzchni i nasłuchiwał w skupieniu. Żadnego dźwięku, drapania, nic. Zachichotał cicho i podszedł do skrzynki kontrolnej. Przyglądał się jej w zamyśleniu przez dłuższy czas, zupełnie jak dziecko poddające oględzinom nową, skomplikowaną zabawkę.

Chichocząc do siebie zaczął poruszać urządzeniami sterującymi, przebiegając dla zabawy palcami po guzikach, zanim jeden z nich nie zadziałał. Głęboko w otaczającym go ceramokarbidowym stopie zajęczały mechanizmy. Metal potarł o metal. Drzwi zaczęły odsuwać się na bok.

Zatrzymały się jednak, gdy jedna z wielkich wypukłości uderzyła o obudowę.

Zmarszczywszy brwi Golic wcisnął swe ciało w wąskie przejście i naparł na oporną barierę, naprężając potężne mięśnie. Silniki zabuczały skonsternowane. Drzwi otworzyły się odrobinę szerzej, po czym zatrzymały całkowicie. Furkot silnika ucichł. Znowu zapanowała cisza.

Golic, którego ciało blokowało przejście, odwrócił się, by zajrzeć w ciemność panującą w środku.

- No dobra. Jestem. Zrobione. Powiedz mi tylko, czego chcesz. Powiedz mi, co mam zrobić, bracie. - Uśmiechnął się.

Ciemność przed nim milczała jak grób. Nic się w niej nie poruszyło.

- Wyjašnjmy to sobie. Jestem całkowicie po twojej stronie. Chcę wykonać to, co do mnie należy. Musisz mi tylko powiedzieć, co mam teraz zrobić.

Dwóch nieprzytomnych, zakrwawionych mężczyzn leżących na podłodze nie usłyszało pojedynczego, wysokiego krzyku, choć unosił się w nieruchomym powietrzu przez dość długi czas.

Dillon rozciągnął się wygodnie na łóżku. Pogрузzył się po raz tysięczny czy dziesięcioletni w stawianiu pasjansa. Odwrócił leniwie kolejną kartę i dotknął palcami swojego pojedynczego, długiego warkoczyka. W tej samej chwili przemówił do stojącej obok kobiety.

- Chcesz mi powiedzieć, że mają zamiar zabrać tego stwora ze sobą?

- Spróbują to zrobić - zapewniła go Ripley. - Nie chcą go zabić.

- Dlaczego? To nie ma sensu. .

- Zgadzam się całkowicie. Oni jednak i tak spróbują. Pożarłam się już z nimi o to poprzednio. Patrzą na obcego jako na potencjalne źródło nowych bioproduktów, być może nawet systemów broni.

Rozbrzmiał chichot Dillona - głęboki, bogaty dźwięk. Najwyraźniej jednak zaniepokoił go ten pomysł.

- Kurczę, to szaleńcy.

- Nie chcą słuchać. Wydaje im się, że wszystko wiedzą. Że skoro nikt na Ziemi nie może

ich ruszyć, to ten stwor również nie będzie mógł. Ale jego nie obchodzi, jaką władzę ma Towarzystwo czy ilu polityków trzyma w kieszeni. Jeśli spróbują go zabrać na badania, on przejmie kontrolę. Ryzyko jest zbyt wielkie. Musimy wykombinować jakiś sposób, żeby go wykończyć, zanim przylecą.

- Sądząc z tego, co powiedziałaś, to im się zbytnio nie spodoba.

- Nic mnie to nie obchodzi. Wiem lepiej niż ktokolwiek, lepiej niż ich tak zwani specjaliści, co te stwory potrafią. Jasne, że można zbudować celę, w której da się takiego zamknąć. Udowodniliśmy to tutaj. Ale one są cierpliwe. I potrafią wykorzystać najdrobniejszą sposobność. Wystarczy, że popełnisz jeden błąd i będzie po wszystkim. To nie ma wielkiego znaczenia tutaj czy w małej, izolowanej kolonii jak Acheron. Jeśli jednak te stwory wydostaną się kiedyś na swobodę na Ziemi, Apokalipsa będzie przy tym wyglądać jak szkolny piknik. Wielki mężczyzna dotknął palcami swego warkoczyka i wydmuchnął dym na spinę do włosów.

- Siostro, straciłem masę wiernych podczas zaganiania tego skurwysyna w pułapkę.

Ludzi, których znałem i z którymi spędziłem długie, ciężkie lata. Już przedtem nie było nas zbyt wielu i będzie mi, ich brakować. - Podniósł wzrok. - Ja i moi bracia nie mamy zamiaru wchodzić tam i walić w niego kijkami. Po co zresztą mamy go zabijać, skoro Towarzystwo leci po niego? Niech jego ludzie się o niego martwią.

Powstrzymała złość.

- Mówiłam ci już. Spróbują go zabrać na Ziemię.

- Wzruszył obojętnie ramionami.

- I co w tym złego?

- On ich zniszczy. Nie zdołają nad nim zapanować. Mówiłam ci już, on ich pozabija.

Wszystkich.



Położył się na plecach z oczyma wbitymi w sufit, zaciągając się z przyjemnością.

- Jak już powiedziałem, co w tym złego?

Na zewnątrz pokoju wielkiego mężczyzny rozległy się kroki. Zbliżały się wzdłuż korytarza. Dillon usiadł na łóżku zaciekawiony. Ripley odwróciła się.

Morse zatrzymał się w drzwiach. Dyszał ciężko. Jego wzrok wędrował pomiędzy dwójką obecnych. Najwyraźniej nie spodziewał się, że zostanie tu Ripley.

- Hej, Dillon!

Wielki mężczyzna wyciągnął papierosa z ust. - Przerwałeś nam prywatną dyskusję, bracie.

Morse ponownie spojrzął na Ripley, po czym przeniósł wzrok na swego współtowarzysza.

- Poczekaj z tym. Coś mi się zdaje, że mamy tu kurewsko wielki problem, kolego.

Aaron nie miał nic wspólnego z leczeniem, nie trzeba jednak było doktora, by zrozumieć, w jaki sposób zginęli dwaj mężczyźni. Rozwalono im głowy. To nie była technika obcego.

Zakrwawiona pałka leżąca obok potwierdziła tylko jego podejrzenia. Jeśli zaś chodzi o tego, kto ich zabił, ten czyn nie przyniósł mu korzyści. Zmasakrowane zwłoki Golica leżały tuż obok.

Aaron podniósł się, podszedł do pozostałych i zaczął gapić się wraz z nimi tępo na szparę w drzwiach magazynu odpadków toksycznych. Dillon wsadził do środka pochodnię, co potwierdziło, że pomieszczenie było puste.

- To wszystko wyjaśnia - mruknął gniewnie pełniący obowiązki naczelnika. - Ten nieszczęsny sukinsyn go wypuścił. Pieprzony wariat. Dostał, na co zasłużył, na Boga.

Co teraz, kurwa, mamy zrobić? Andrews miał rację. Trzeba było trzymać tępego przygłupa cały czas w łańcuchach albo na prochach. Ci zasrani "eksperci" od rehabilitacji... -

Przerwał. Przyjrzał się Ripley zatroskany. - Co się stało? Znowu efekty uboczne?

Oparła się o ścianę, wciągając powietrze w długich, spazmatycznych oddechach. Drugą ręką trzymała się za żołądek.

- Olewać ją - warknął Morse. - Ten pierdolony stwór jest na swobodzie. - Rozejrzał się wokół z szaleństwem w oczach. - Co teraz, kurwa, mamy zrobić?

- Właśnie to powiedziałem - warknął Aaron. - To ty jesteś tym głupim kutasem, który go wypuścił. Ty mały, nędzny gówniarzu, zabiłeś nas wszystkich!

Jak na mężczyznę o nieszczej posturze, zdołał zadać godny podziwu cios. Morse padł ciężko na ziemię. Z nosa popłynęła mu krew. Gdy postać p.o. naczelnika zamajaczyła nad leżącym, ktoś złapał go od tyłu. Dillon. Z łatwością podniósł go z podłogi i odstawił na bok. Zdyszany Aaron spojrzał ze złością na wielkiego mężczyznę.

- Nie odpierdzielaj takich numerów - ostrzegł go Dillon.

- Uważaj, co mówisz, Dillon! Na razie ja tu rządę.

- Owszem. Ale tego nie będziesz robić. Kapujesz? Nie będziesz bić braci. To należy do mnie.

Spoglądali na siebie jeszcze przez chwilę. Wreszcie Aaron zaczerpnął głęboko powietrza i odwrócił wzrok, spoglądając ponownie na skulonego Morse'a.

- W takim razie ustaw swojego pierdolonego koleżkę. Cały ten syf to jego wina!

Dillon zignorował ich obu i zwrócił się w stronę Ripley.

- Jak sądzisz? Raz już się z nim uporaliśmy. Czy mamy jeszcze szanse?

Wciąż opierała się o ścianę ze skrzywioną twarzą, oddychając ciężko. Zabijał ją ból głowy. Gdy wreszcie podniosła wzrok, rysy miała zniekształcone pod wpływem bólu i mdłości.

- Muszę... muszę się dostać do promu.

- No, jasne, najpierw jednak zdecydujemy, co zrobić z tym stworzeniem.

- Nie. - Potrząsnęła gwałtownie głową. Oczy zaszyły jej lekko łzami. - Najpierw prom...  
teraz.

Aaron obserwował ją z niepokojem.

- No dobrze. Nie ma sprawy. Jak sobie życzysz. Ale dlaczego?

- Neurotomograf. Muszę skorzystać z jednego z tomografów, które są wbudowane w każdą kapsułę hibernacyjną. Nie wiem, czy macie w ambulatorium coś podobnego. Nawet jeśli tak, to i tak nic nie da. Nie ma już Clemensa, a ja umiem obsługiwać tylko sprzęt z promu. O ile jeszcze działa.

Skrzywiła się i pochyliła do przodu, łapiąc się za brzuch. Dillon postąpił krok w jej stronę. Znalazł się u jej boku szybciej od Aarona. Tym razem nie unikała rąk, które pomogły jej utrzymać równowagę. Przycisnęła się do wielkiego mężczyzny w poszukiwaniu oparcia, dopóki jej oddech się nie uspokoił.

- Co ci, do diabła, dolega? Nie wyglądasz za dobrze.

- Skutki uboczne leków, które podał jej Clemens stwierdził Aaron. Przymrużył niepewnie oczy. - Tak sędzę.

- Kogo, cholera, obchodzi, co jej dolega? - warknął Morse. - Co mamy zrobić?

Aaron spojrzał na niego groźnie.

- Chcesz znowu wylądować na ziemi, ty mały gnojku? Zamknij się, kurwa, i przestań wywoływać panikę.

Morse nie zamierzał ustąpić.

- Panikę! Jesteś tak cholernie głupi, że nawet nie wiesz, jak to się pisze. Nie opowiadaj mi o panice! Mamy prawo do paniki! Mamy przesrane!

- No jasne! A czyja to jest wina?

- Zamknijcie się obaj! - ryknął Dillon..

Przez chwilę panowała cisza. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie groźnie, nie odzywali się jednak. Wreszcie Aaron wzruszył ramionami.

- No dobra, zabrakło mi pomysłów. Co robimy?

- A może by tak na plażę? - zapytał z nadzieją w głosie Morse.

- Racja - odparł z sarkazmem p.o. naczelnika. Słońce wyjdzie dopiero za tydzień, a kiedy go nie widać, na zewnątrz jest czterdzieści stopni poniżej zera. Ekipa ratunkowa przybędzie za dziesięć godzin, a więc to wspaniały pomysł.

- Cudownie - mruknął Morse w tej samej chwili, gdy Ripley odwróciła się i odeszła. -

Chcesz więc, żebyśmy tu zostali i pozwolili, żeby ta pierdolona bestia zjadła nas na obiad.

- Zbierz razem wszystkich, którzy jeszcze zostali - rozkazał mu nagle Dillon. - Każ im przyjść do sali zebrania. Pani porucznik, może pani... - Rozejrzał się wokół, zaskoczony. - Gdzie ona poszła?

Prom ratunkowy spoczywał wewnątrz olbrzymiej enklawy wyładowniczej, tam, gdzie go pozostawiono. Wyglądał samotnie w migotliwym mroku przemysłowej hali. Pośród metalowych ścian odgłos stóp na chodnikach niósł się wyraźnym, krótkotrwałym echem. Stopy poprzedzał słaby blask, oświetlający drogę w półmroku.

Ripley rozebrała się w ciasnym pomieszczeniu i odłożyła ostrożnie ubranie na bok. Naga zasiadła naprzeciwko małej klawiatury. Musiała dokonać kilku prób, zanim aparatura przebudzi się do życia.

Dotknęła palcami klawiszy. Przerwała na chwilę, po czym dotknęła ich ponownie i usiadła wpatrując się zamyślona w informacje, które pojawiły się na małym ekranie.

Podniosła się, odwróciła od monitora i skierowała w stronę kapsuły hibernacyjnej, która przewiozła ją na Fiorinę.

Z trudem przyszło jej wcisnąć się do środka. Gdy zwróciła się znowu w stronę klawiatury,

ledwie mogła dosięgnąć jej ręką.

- Potrzebna ci pomoc?

Wbiła wzrok w Aarona, który pojawił się nagle.

- Hej, nie chciałem cię przestraszyć. Posłuchaj, nie powinnaś tu kręcić się sama.

- Słyszałam to już przedtem. Zrób mi przysługę. Zajmij się klawiaturą. Nie mogę do niej sięgnąć, żeby zobaczyć obraz.

Skinął głową i zajął wskazane miejsce. Ripley wcisnęła się z powrotem do kapsuły.

- Co mam zrobić?

- Bardzo mało, mam nadzieję. Procedura jest stosunkowo prosta. Gotowy? - zapytała nie odwracając głowy w jego stronę.

Spojrzał na ekran. Był pełen chęci, lecz wprawiała go w zakłopotanie wielka liczba opcji i instrukcji.

- Chyba tak. Co mam teraz zrobić?

- Mniejsza o techniczny żargon. Na samym dole jest lista opcji.

Opuścił wzrok. Skinął głową. - Widzę ją. Co teraz?

- Wciśnij "B" albo "C". Co to jest "C"?

Przyjrzał się lśniący literom.

- Obrazowanie biofunkcji.

- To właśnie to.

Na jego rozkaz obraz na ekranie został zastąpiony przez następny, nie mniej skomplikowany od poprzedniego.

- No, dobra. Teraz otrzymałem całą stronicę nowego bełkotu.

- Ta sama procedura. Menu na samym dole. Powinien być tam klawisz z literą "V", oznaczający monitor ekranowy. Wciśnij go.

Wykonał jej polecenie i spojrzał ponownie w stronę cylindra.

W klaustrofobicznym więzieniu kapsuły zaczął buczeć mały silnik. Ripley poruszyła się niespokojnie na wyściełanym legowisku. Czuła się mniej więcej tak, jak drobnoustrój pod mikroskopem. Jej otoczenie nagle zacisnęło się wokół niej. Ściany i sufit promu groziły zapadnięciem, które unieruchomiłoby ją na zawsze w tym miejscu. Skoncentrowała się, by utrzymać regularny rytm uderzeń serca oraz oddechu. Zamknęła oczy. To troszeczkę pomogło.

Monitor, przed którym siedział Aaron, zamigotał. Niezrozumiałe techniczne informacje zniknęły, zastąpione przez poprzeczny percepcyjny skan wnętrza głowy Ripley.

- Dobra - powiedział. - Załapało. Patrzę na twój mózg. Tomograf wypisuje też mnóstwo informacji tuż obok obrazu. Są też najróżniejsze przełączniki opcji na dole ekranu.

- Służą do obrazowania poszczególnych układów usłyszała swój głos. - No wiesz, układ nerwowy, krążenia i tak dalej. Trzymajmy się jak najogólniejszego obrazu. Zostaw je wszystkie w spokoju.

- Nie widzę problemu. - Patrzył zafascynowany w ekran. - Czego właściwie mam szukać? Nie potrafię tego odczytywać.

- Nie zwracaj uwagi na wydruki. Skoncentruj się na obrazie - powiedziała. - Gdzie on teraz jest?

- Przesuwa się w dół szyi. Czy powinienem coś zobaczyć?

- Jeśli tam jest, poznasz go, kiedy tylko zobaczysz.

- No dobrze, ale na razie wszystko wygląda dla mnie normalnie. Oczywiście nie jestem Clemensem.

- Nie martw się o to - odparła. - Nie będziesz musiał nim być.

Słyszała ciche buczenie tomografu, który przesunął się wzdłuż jej ciała, ślizgając się

gładko po swym torze ukrytym gdzieś głęboko wewnątrz pełnej instrumentów kapsuły hibernacyjnej. Mimo, że nie było żadnego fizycznego kontaktu pomiędzy nią a instrumentem, złapała się na tym, że kurczy się lekko pod wpływem jego wyobrażonej obecności. Ten, kto powiedział, że nie ma żadnego połączenia pomiędzy wyobraźnią a funkcjami organizmu, z pewnością nigdy nie zaznał sam snu hibernacyjnego.

- Teraz górna część klatki piersiowej - mówił Aaron. - Widzę szczyty twoich płuc. Na ekranie pojawia się serce. Mimo całej determinacji napięła się nieświadomie.

W mięśniach jej prawego przedramienia nastąpił spazmatyczny skurcz. Głos p.o. naczelnika brzęczał w jej uszach jak - wyrok śmierci.

- Pełny obraz klatki, przynajmniej tu tak jest napisane. Wydaje się, że serce i płuca funkcjonują normalnie. Jadę w dół.

Skurcze ustały. Oddech uspokoił się.

- Jesteś pewien?

- Hej, nic tu nie widzę. Gdybyś dała mi wskazówki, czego mam szukać... może to przeoczyłem.

- Nie. Jej umysł pracował wściekle. - Nie, nie przeoczyłeś tego.

- Jak tu uzyskać powiększenie?

- Spróbuj wcisnąć "B".

Posłuchał jej. Bez skutku.

- Nic. - Spróbował ponownie, mrużąc do siebie. Muszę złapać lepszy kąt.

Instrumenty zabuczały. Nagle zatrzymał się.

- Cholera jasna... - Przerwał. Nachylił się nad ekranem z wybałuszonymi oczyma.

- Co? - zapytała. - Co to jest?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Masz chyba w środku jednego z nich.

Gapił się na ekran z niedowierzaniem. Embryon stworzenia był niewątpliwie spokrewniony z potworem, który pozabijał ludzi... był też jednak w wyraźny, choć subtelny sposób od niego inny.

To niesprawiedliwe, pomyślała. Już od wielu dni nie tylko podejrzewała, lecz wiedziała. Obraz klatki piersiowej nie wykazał zmian, co natchnęło ją nadzieją. A teraz to ostateczne, makabryczne objawienie. Mimo wszystko był to szok.

Teraz, gdy jej podejrzenia się potwierdziły, poczuła się w dziwny sposób wyzwolona. Przyszłość nie niosła już niepewności. Mogła robić swoje, pewna tego, że wybrała właściwy, a nawet jedyny kurs.

- Jak on wygląda?

- Kurewsko okropnie - stwierdził Aaron, u którego ten widok wywołał zarówno obrzydzenie, jak i fascynację. - Jak jeden z nich, tylko że mały. Może trochę inny.

- Może? Jesteś pewien?

- Nie jestem pewien niczego. Nie czekałem na okazję, by zrobić zdjęcia temu wielkiemu.

- Klawiatura - poleciła mu. - Wciśnij "pauza".

- Już to zrobiłem. Tomograf się zatrzymał.

- Teraz przestaw ekran. Muszę go sobie obejrzeć. P.o. naczelnika zawahał się. Spojrzał w stronę kapsuły i leżącej w niej kobiety.

- Nie sądzę, żebyś chciała to zobaczyć.

- Decyzja należy do mnie. Zrób to.

Zacisnął wargi.

- Dobrze. Jeśli uważasz, że jesteś gotowa.

- Nie powiedziałam, że jestem gotowa. Po prostu zrób to .

Przestawił ekran i odczekał dłuższą chwilę, przez którą wpatrywała się w obraz nie



mrużąc oczu.

- Dobra. To wystarczy.

Aaron natychmiast wyłączył tomograf.

- Przykro mi - szepnął tonem najłagodniejszym, na jaki go było stać. - Nie wiem, co mam powiedzieć. Co tylko mogę zrobić...

- No. - Zaczęła się zmagać z zabezpieczeniami kapsuły. - Pomóż mi stąd wyjść. -

Wyciągnęła ręce ku górze, w jego stronę.

# 13.

Sala zebrań wydawała się bardziej pusta niż kiedykolwiek ze względu na zredukowaną liczbę więźniów. Ludzie szeptali i spierali się pomiędzy sobą w chwili, gdy Dillon walnął pięścią w przezroczystą szybę na ścianie, sięgnął ręką do środka i wyrwał stamtąd słabo umocowany toporek strażacki, po czym odwrócił się i wznosił go nad głowę.

- Daj nam siłę, o Panie, byśmy wytrwali. Dopóki nie nadejdzie dzień. Amen.

Pięści wzniosły się w powietrze. Ludzie czuli się niepewnie, lecz byli zdeterminowani.

Dillon przyjrzał się im w skupieniu.

- Wyrwał się na wolność. Krąży tu gdzieś. Ekipa ratunkowa jest w drodze z karabinami i innym gównem. W tej chwili nie ma miejsca, w którym byłoby naprawdę bezpiecznie. Radzę zostać tutaj. Nie marny szybów wentylacyjnych nad głową. Jeśli będzie chciał wejść do środka, może to zrobić tylko przez drzwi. Ustawimy strażnika, żeby nas ostrzegł, jak będzie się zbliżał. W każdym razie siedźmy cicho. Bądźmy gotowi i oczyśćmy się na wypadek, gdyby nasz czas nadszedł.

- Pieprzysz, facet - odezwał się więzień David. Jesteśmy tu zamknięci w pułapce jak szczury.

Dillon spojrzał na niego groźnie.

- Większość z was ma zachomikowane noże. Powyciągajcie je.

- Racja - mruknął William. - Myślisz, że zadźgamy nimi tego skurwysyna na śmierć?

- Nic, kurwa, nie myślę - odparł Dillon. - Może zdołasz go zranić, zanim cię wykończy.

To już coś. Masz jakieś lepsze pomysły?

William ich nie miał. Inni też nie.

- Powiadam wam - ciągnął Dillon. - Dopóki nie przybędzie ekipa ratunkowa, mamy przesrane. Przygotujcie się.

- Ja tu nie zostanę. - William już zaczął się wycofywać - Możesz się założyć.

Dillon odwrócił się i splunął w lewą stronę.

- Jak sobie chcesz.

Aaron wystukał właściwy kod, po czym umieścił na identyfikatorze odcisk kciuka.

Wewnętrzne drzwi chroniące centralę komunikacyjną odsunęły się na bok. Na tablicy rozdzielczej zapaliły się światła. Ekran oczyścił się posłusznie, podczas gdy system oczekiwał na wejście.

- W porządku - powiedział do stojącej tuż obok kobiety. - Co chcesz wysłać?

- Masz bezpośrednie połączenie z Siecią?

Gdy sprawdzał odczyt, na jego czole pojawiły się bruzdy.

- Aha. Jest włączone. Co chcesz przekazać?

- Chcę im powiedzieć, że doszło do skażenia toksycznego całego zespołu. Myślę, że w to uwierzą. Jest tu wystarczająco wiele odpadków porafinacyjnych, żeby było to wiarygodne.

Wbił w nią wzrok.

- Wygłupiasz się? Jak im to powiesz, nie przylecą tutaj. Nie wcześniej, w każdym razie, nim sprawdzą to za pośrednictwem zdalnej inspekcji. Ekipa ratunkowa zawróci.

- No właśnie.

- O czym ty mówisz? Czekamy tu jak ryby na targu. Naszą jedyną nadzieją jest, by ekipa ratunkowa przybyła tu na czas, aby zabić tego kutasa, zanim zdąży załatwić nas wszystkich.

Może mogą też zrobić coś dla ciebie? Pomyślałaś o tym? Jesteś tak pewna, że ten stwór może się uporać ze wszystkim, co oni mają, nie wiesz jednak tego na pewno. Może potrafią cię zamrozić albo wykonać jakiś rodzaj operacji. Powiedziałaś, że zbierali informacje na ich temat. Czy sądzisz, że próbowaliby zabrać jednego z nich ze sobą, gdyby nie byli pewni, że potrafią go bezpiecznie zamknąć? Cholera, nam to się udało, a nie byliśmy nawet do tego

przygotowani. Oni będą absolutnie gotowi do pojmania go. Mają technikę.

Ripley pozostała niewzruszona.

- Jedyne, co ma Towarzystwo, to chciwość zamiast rozumu. Wiem to. Miałam już do czynienia i z nim i z obcymi i, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy na dalszą metę Towarzystwo nie stanowi poważniejszej groźby. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Jedyne, co wiem na pewno, to fakt, że jeśli jeden z nich wydobędzie się poza tę planetę, pozabija wszystko, co żyje. To właśnie jest ich celem: zabijać i rozmnażać się. Nie możemy pozwolić, by ludzie Towarzystwa tu przybyli. Zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby go zabrać ze sobą. - Wydała z siebie pełen niesmaku dźwięk. - Dla zysku.

- Pierdolę cię. Cholernie mi przykro, że masz w sobie tego stwora, moja pani, chcę jednak zostać uratowany. Myślę, że pokładam więcej wiary w Towarzystwie niż ty. Tak się składa, że sądzę, iż nie patrzysz na sytuację w sposób racjonalny. Masz pewnie do tego masę powodów, co jednak nie znaczy, że muszę na to spoglądać w taki sam sposób jak ty. Tak nie jest. Gównu mnie obchodzi ta więzienna hołota. Mogą zabić tego stwora, kryć się przed nim, albo wyć hosanny ku niebu, aż padną trupem, ja jednak mam żonę i dziecko. Pobraliśmy się w naprawdę młodym wieku, tak, żeby mimo zniekształceń czasowych nadal móc spędzić ze sobą najlepsze lata, kiedy już skończę służbę tutaj. Miałem wracać następnym kursem. Ze względu na to wszystko, może uda mi się powołać na szczególne zagrożenie i wrócić na statku ratunkowym. Otrzymam wypłatę za cały okres i zapewne też premię. Jeśli tak się stanie, można będzie powiedzieć, że twój organizm ksenomorficzny wyrządził mi przysługę.

- Przykro mi. Posłuchaj, wiem, że to dla ciebie trudne - tłumaczyła starając się zapanować nad złością - ale muszę wysłać tę wiadomość. Stawka jest znacznie większa niż twoja wizja szczęśliwej emerytury na przedmieściu. Jeśli obcy wydobędzie się na swobodę na Ziemi, twoje głupkowate fantazje będą guzik warte.

- Pokładam zaufanie w Towarzystwie - odparł zdecydowanym tonem.

- Cholera, Aaron, potrzebny mi ten kod! Odchylił się do tyłu na siedzeniu.

- Przykro mi, mamuśku. Jest tajny. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym złamał przepisy, prawda?

Wiedziała, że nie ma dużo czasu i że zaczyna prze grywać sprawę. Po raz kolejny miała do czynienia z typową dla Towarzystwa postawą, z tym zamkniętym, pełnym ograniczeń światem korporacji, gdzie etykę i moralność w wygodny sposób przesłaniały przepisy.

- Posłuchaj, ty głupku, możesz sobie w dupę wsadzić swoje bezcenne przepisy. Trzeba to zrobić. Daj mi kod!

- Nic z tego, kurwa. Nie wydostaniesz ze mnie kodu, moja pani, chyba że przedtem mnie zabijesz.

Nachyliła się w jego stronę, zdołała się jednak pohamować. Po raz kolejny poczuła się niewyobrażalnie zmęczona. Dlaczego zawsze brała wszystko na siebie. Nie była nikomu nic winna, a już zwłaszcza przedstawicielom Towarzystwa. Nawet jeśli zabiorą obcego na pokład swego statku i on pozabija ich wszystkich, to co ją to obchodzi?

- Nie ma w tym nic osobistego, rozumiesz - mówił nie przestając obserwować jej starannie, uważając na wszelkie nagłe ruchy. Nie sądził, by stanowiła dla niego faktyczne niebezpieczeństwo, jednakże przez krótki czas, w którym obserwował jej działania, przekonał się, że niedocenianie jej byłoby niebezpieczne. - Myślę, że jesteś w porządku.

- Dziękuję - odparła płaskim, głuchym tonem.

- A więc ustalone. Będziemy nadal współpracować stwierdził z przesadnym zadowoleniem. - Masz jakieś pomysły?

Odwróciła się. Naprężył przez chwilę mięśnie, lecz minęła go i podeszła do pulpitu, by nalać sobie szklankę wody. Odczuwała nieustanne pragnienie, nie wywołane przez napięcie i

nerwy. Jej ciało musiało dostarczać płynów dla więcej niż jednej istoty.

- Robotnik-wojownik nie zabije mnie - stwierdziła, zatrzymując się obok niego.

Podniósł brwi.

- Czyżby? A dlaczego nie?

Pociągnęła łyk ze szklanki.

- Nie może mnie załatwić, nie narażając zdrowia embriona królowej. Choć, jak wiem, każdy z nich może wydawać na świat innych przedstawicieli swego rodzaju, to, być może, nie jest zdolny wyprodukować więcej niż jednej królowej. Za mało odpowiedniego materiału genetycznego czy coś w tym rodzaju. Nie jestem tego pewna, ale dowodem jest fakt, że jak dotąd nie próbował mnie zabić.

- Naprawdę chcesz się założyć, że ten stwór jest aż tak inteligentny?

- Inteligencja może tu nie mieć nic do rzeczy. To może być czysty instynkt. Jak zrobisz krzywdę żywicielowi, ryzykujesz przedwczesne uszkodzenie nie narodzonej królowej. To ma sens. - Spojrzała mu w oczy. - Mógł mnie zabić już dwa razy, ale tego nie zrobił. Wie, co mam w brzuchu. - Potarła brodę w zamyśleniu. - Znajdę go - oznajmiła nagle. - Przekonamy się, jaki jest inteligentny.

Wbił w nią wzrok.

- Chcesz go odszukać?

- Tak. Dość dobrze się orientuję, gdzie może być. Siedzi po prostu na strychu.

Zmarszczył brwi.

- Jakim strychu? Nie mamy tu strychu.

- To przenośnia. - Wypiła resztę wody.

- Och. - Patrzył na nią.

- Chcesz iść ze mną?

Potrząsnął głową. Uśmiechnęła się, wstawiła szklanę z powrotem do gniazdka i odwróciła się, by wyjść z pokoju komunikacyjnego. Aaron śledził ją wzrokiem.

- Ja pierdolę - szepnął nie zwracając się do nikogo w szczególności.

# 14.

Korytarz doprowadzający był pusty. Zatrzymała się i zatknęła pochodnię, którą niosła, w pęknięciu na ścianie, by przyrzeć się linii starych, zardzewiałych rur znajdujących się w pobliżu. Złapała najbliższą z nich, wyteżyła wszystkie siły i pociągnęła ją. Metal wygiął się z trzaskiem w jej stronę. Po drugim szarpnięciu rura się urwała. Zadowolona ruszyła dalej.

Ambulatorium wydawało się bardziej opustoszałe niż kiedykolwiek. Zatrzymała się, chcąc się rozejrzeć. Na wpół spodziewała się, że ujrzy Clemensa pochylonego nad swym stanowiskiem pracy i podnoszącego wzrok, by się do niej uśmiechnąć. Komputer był ciemny i milczący, a krzesło puste.

Trudno jej było podciągnąć się do znajdującego się na górze kanału powietrznego trzymając w ręku pięciostopowy odcinek rury oraz latarkę, dała sobie jednak radę. W kanale było ciemno i pusto. Nastawiwszy poobijaną latarkę na szeroką wiązkę, skierowała ją za siebie, zanim ruszyła w przeciwnym kierunku.

Nie wiedziała dokładnie, ile czasu upłynęło ani jak daleko się doczołgała, zanim zaczęła wołać. Wiedziała tylko, że słabe światło dobiegające z ambulatorium dawno już zniknęło za nią. Jej krzyki były z początku przytłumione, potem, w miarę jak strach ustępował miejsca gniewowi, stawały się coraz głośniejsze. Nie mogła uniknąć swego losu. Musiała się po prostu dowiedzieć. Spojrzeć temu stworowi prosto w oblicze.

- Chodź tu! Wiem, że tu jesteś! - Posuwała się naprzód na rękach i kolanach. - Chodź tu.

Zrób tylko to, co zawsze robisz.

Kanał powietrzny zakręcał gwałtownie w lewo. Wciąż parła naprzód, mamrocząc i krzycząc na przemian.

- Chodź tu, ty przygłupie. Czemu cię nie ma, kiedy cię potrzebuję?

Kolana miała pociierane, gdy zatrzymała się wreszcie, nasłuchując uważnie. Hałas? Czy



też jej własna wyobraźnia, pracująca w nadgodzinach?

- Gówno. - Wznosiła swą nieporadną, niewygodną wędrówkę. Minęła następny zakręt. Kanał przeszedł w niszę na tyle dużą, że mogła w niej stanąć wyprostowana. Podniosła się z ulgą na nogi i przeciągnęła się. Tu znajdował się zgrzybiały, zardzewiały agregat oczyszczający wodę, który składał się ze zbiornika o pojemności tysiąca galonów oraz labiryntu zaniedbanych rur.

Za zbiornikiem rozciągał się kanał wentylacyjny - nie kończąca się, trudna do pokonania rura pełna ciemności. Gdy zatopiła w niej wzrok, ogarnęła ją kolejna fala mdłości. Oparła się o zbiornik.

W tej samej chwili ogon obcego owinał się wokół niej i wytrącił jej latarkę z dłoni.

Latarka wylądowała na betonowej podłodze. Obróciła się wokół osi, lecz nie zgasła.

Ripley odwróciła się błyskawicznie. Dreszcz desperacji przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

Obcy pojawił się za siecią rur i przewodów, gdzie odpoczywał. Zwrócił ku niej łeb.

- Ty kutasie - mruknęła zbierając siły, po czym wyrznęła go metalową rurą prosto w klatkę piersiową.

Z rykiem budzącym ogłuszające echa obcy ruszył na nią. Metalowe rury trzasnęły jak słomki. W pełni rozbudzony i czujny przykucnął naprzeciw niej. Z zewnętrznych szczęk skapywała mu gęsta, galaretowata ślina.

Ripley nie podała tyłów. Wyprostowała się.

- No, jazda, kutasie. Zabij mnie!

Gdy nie zareagował, ponownie zdzieliła go rurą.

Z rykiem wyciągnął kończynę i odepchnął rurę na bok. Stał i "spoglądał" na nią groźnie.

Nie przestawała patrzeć prosto na niego. Pot zalewał jej twarz.

Nagle obcy odwrócił się gwałtownie i pognął w ciemność. Opadła na ziemię, spoglądając

w ślad za nim.

- Sukinsyn.

Dillon znalazł porucznik Ripley w sali zebrań. Siedziała sama w wielkim pomieszczeniu pogrążonym w głębokim cieniu. Skryła głowę w dłoniach dogłębnie wyczerpana, dogłębnie osamotniona. Dillon podszedł do niej z toporkiem strażackim zwisającym z prawej dłoni i zatrzymał się tuż obok. Musiała sobie zdawać sprawę z jego obecności, lecz nie zareagowała w żaden sposób.

W normalnej sytuacji uszanowałby jej milczenie i odszedł, lecz sytuacja nie była już normalna.

- Nic ci nie jest?

Nie odpowiedziała i nie podniosła głowy.

- Co tutaj robisz? Powinnaś się schować, tak jak cała reszta. Co się stanie, jeśli ten stwór się pokaże?

Podniosła głowę.

- On mnie nie zabije.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że mam w środku jednego z nich. Dorosły stwór nie zabije swojego pobratymca.

Dillon spojrzał na nią.

- Pieprzysz.

- Posłuchaj, widziałam go godzinę temu. Stałam tuż obok niego. Mógł mnie zjeść na obiad, ale nawet mnie nie dotknął. Uciekł. Nie zabije własnej przyszłości.

- Skąd wiesz, że masz takiego w środku?

- Widziałam go na tomografie komputerowym. To królowa. Potrafi wyprodukować

tysiące takich jak ten, który tu lata na swobodzie.

- Że niby jak królowa pszczół?

- Albo mrówek. Ale to tylko analogia. Te stworzenia nie są owadami. Mają jedynie w przybliżeniu analogiczną strukturę społeczną. Nie wiemy o nich zbyt wiele. Jak może zauważyłeś, nie stanowią łatwego przedmiotu badań.

- Skąd wiesz, że to królowa? - zapytał.

- Po pierwsze: kształt jej czaszki jest bardzo charakterystyczny. Ma z tyłu głowy wielki, sterczący kołnierz. Jego zaczątki były wyraźnie widoczne na obrazie. Po drugie: okres wylęgania odpowiedników wojownika-robotnika jest dosyć krótki. W niektórych wypadkach wynosi tylko około dnia. Przechodzą przez kolejne stadia rozwoju z niewiarygodną szybkością. - Na jej twarzy pojawił się wyraz żalu. - Ta cecha bardzo zwiększa szanse przeżycia.

Gdyby to był zwyczajny robotnik, wyszedłby już na zewnątrz, wydostając się w okolicy mostka. Ponadto dojrzewa ona w jamie macicy, a nie w klatce piersiowej. Ponieważ królowa jest znacznie bardziej skomplikowanym organizmem, najwyraźniej potrzebuje więcej zarówno czasu, jak i miejsca, by dojrzeć. W przeciwnym razie już bym nie żyła.

Widziałam taką w akcji. To nie jest ładne. Kiedy ten stwór w pełni dorośnie, będzie ogromny, znacznie większy od tego, z którym tu walczyliśmy. Z pewnością będzie to królowa, osobnik składający jaja. Miliony jaj. W niczym nie będzie przypominać tego, który biega tu na swobodzie. - Ściszyła głos. - Jak już powiedziałam, nikt nie miał doświadczenia z larwą królowej. Nie wiem, jak długiego okresu wylęgania ona wymaga, jest jednak oczywiste, że znacznie dłuższego niż u zwykłego robotnika.

Spojrzał na nią.

- Nadal mam wrażenie, że pieprzysz. Jeśli masz w brzuchu takiego stwora, to jak on się

tam dostał?

Patrzyła w dół, na własne dłonie.

- Kiedy byłam w hibernacji. Myślę, że ten okropny sen, który wtedy miałam, nie był właściwie snem. Zostałam zgwałcona, choć nie wiem, czy jest to całkowicie adekwatny termin. Gwałt to akt przemocy popełniony z premedytacją. To był akt prokreacji, nawet jeśli mój udział w nim nie był dobrowolny. My nazwalibyśmy to gwałtem, wątpię jednak, by owo stworzenie się z nami zgodziło. Ten koncept wydałby mu się zapewne..., cóż, obcy.

Miała nieobecny wyraz twarzy.

- Ten, który dostał się na pokład mojego pierwszego statku, Nostromo - wspominała z zamyśloną miną - przygotowywał się do reprodukcji, lecz on również nie był królową. Przynajmniej niektóre z nich muszą być obojnakami. Zapładniają się same, dzięki czemu nawet izolowany osobnik może zapewnić przedłużenie gatunku. Wojownik-robotnik potrafi produkować jaja, ale powoli, po jednym, dopóki nie zdoła począć królowej, która przejmie od niego to zadanie. W ten sposób mógł umieścić królową we mnie. W każdym bądź razie to jest najlepszy scenariusz, jaki zdołałam ułożyć. Nie jestem ksenologiem.

Zawahała się.

- Pięknie, co? Mam zostać matką matki apokalipsy. Nie potrafię zrobić tego, co powinnam, musisz więc mi pomóc. Musisz mnie zabić.

Postąpił krok do tyłu.

- Co ty, kurwa, mówisz?

- Nie kapujesz, prawda? Już jest po mnie. Zginę w tej samej minucie, gdy ona się narodzi, ponieważ nie będę już niezbędna do jej przeżycia. Widziałam już, jak to się dzieje. To mogę przeżyć, jeśli mogę się tak wyrazić. Byłam gotowa na śmierć już od chwili, gdy spotkałam pierwszego z tych stworów. Niech mnie jednak diabli wezmą, jeśli pozwolę tym idiotom z

Weylanda-Yutaniego zabrać go na Ziemię. Mogłoby im się przypadkiem udać, a to dla reszty ludzkości oznaczałoby koniec. Może nawet dla całego życia na planecie. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby być zdolne do rozmnażania się w każdym zwierzęciu większym niż, powiedzmy, kot. Ona musi zginąć i, aby to się stało, ktoś musi mnie zabić. Czujesz się na siłach?

- Nie musisz się o to martwić.

- To jest na swój sposób zabawne. Tyle razy ostatnio zabijałam, a teraz stwierdziłam, że nie mogę tego zrobić ten jeszcze jeden raz. Może to dlatego, że musiałam się tak mocno koncentrować na utrzymaniu się przy życiu. Musisz więc mi pomóc. - Spojrzała mu w twarz bez lęku. - Po prostu zrób to. Bez żadnych przemów. - Odwróciła się do niego plecami. - No, jazda - popędzała go. Zrób to! Podobno jesteś mordercą... Zabij mnie, Dillon. Postaraj się.

Wróc do dawnych czasów. Myślę, że potrafisz to zrobić, ty wielki, brzydki sukinsynu.

Przyjrzał się jej wysmukłej postaci, bladej szyi i opuszczonym ramionom. Jeden dobrze wymierzony cios załatwiłby sprawę, przeciął rdzeń kręgowy oraz kręgi szybko i czysto.

Śmierć nastąpiłaby niemal natychmiast. Potem zająłby się jej brzuchem, monstrualnym organizmem rosnącym wewnątrz. Zaciągnąłby zwłoki do pieca i wrzuciłby wszystko do środka. Po paru minutach byłby koniec. Podniósł toporek.

W mięśniach jego twarzy i ramion nastąpił gwałtowny skurcz. Toporek przeciął z szumem zatęchłe powietrze. Zamachnął się z całej siły... i wbił go w ścianę obok jej głowy.

Szarpnęła się usłyszawszy uderzenie, po czym mrugnęła i odwróciła się nagle w jego stronę.

- Co to ma być, do diabła? Nie wyrządziłeś mi przysługi.

- Nie lubię przegrywać w walce. Z nikim ani z niczym. Ten wielki stwór pozabijał już połowę moich facetów, a reszta siedzi i sra ze strachu. Dopóki on żyje, nie uratujesz żadnego wszechświata.

- Coś nie tak? Myślałam, że jesteś mordercą.

- Chcę go załatwić. Jesteś mi do tego potrzebna. Jeśli on cię nie chce zabić, może nam to pomóc w walce z nim.

Patrzyła na niego bezradnie.

- W przeciwnym razie pierdolę cię. Idź się zabić sama.

- Czy zabijesz mnie, jak już rozwalimy mu dupę?

- Nie ma sprawy. Szybko, bezboleśnie, łatwo. - Wyciągnął rękę, żeby wyrwać toporek ze ściany.

Pozostali mężczyźni zebrali się w hali głównej. Aaron stał na boku, popijając coś ze szklanki. Dillon i Ripley ustawili się na środku, ramię przy ramieniu, naprzeciw zebranych.

- Wybór jest taki - tłumaczył wielki mężczyzna. Albo zginiecie tutaj, siedząc na dupie, albo tam. Będziemy jednak mieli przynajmniej szansę zabicia go. To mu się należy. Zdrowo nam dopierdolił. Może uda się nam zemścić za tamtych. No więc, co robicie?

Morse spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Co ty, kurwa, wygadujesz?

- Chcę zabić tego wielkiego skurwysyna.

Aaron postąpił krok naprzód. Ogarnął go nagły niepokój.

- Zaczekaj. Ekipa ratunkowa jest w drodze. Czemu po prostu tego nie przeczekać?

Ripley spojrzała na niego przymrużonymi oczyma.

- Ekipa ratunkowa dla kogo?

- Dla nas.

- Gówna prawda - warknęła. - Im chodzi tylko o bestię. Wiesz o tym.

- Wszystko mi jedno, o co im chodzi. Nie zabiją nas.

- Nie jestem taka pewna. Nie znasz Towarzystwa tak dobrze, jak ja.

- Daj spokój. Zabiorą nas stąd. Przewiozą do domu.

- Nas. nie zabiorą do domu - zauważył Dillon.

- To jeszcze nie znaczy, że mam iść z nim walczyć jęknął Morse. - Jezu Chryste, zlituj się.

Aaron potrząsnął powoli głową.

- Wszystkim wam odpierdoliła szajba. Ja mam żonę. Mam dziecko. Chcę wrócić do domu.

Wyraz twarzy Dillona był twardy i nieustępliwy. W jego głosie pojawił się posmak nieprzyjemnej rzeczywistości.

- Myśl realnie. Gówno nas wszystkich obchodzisz, osiemdziesiąt pięć. Nie jesteś jednym z nas. Nie jesteś wierzący. Jesteś tylko człowiekiem Towarzystwa.

- Racja - przyznał Aaron. - Jestem człowiekiem Towarzystwa, a nie jakimś pierdolonym kryminalistą. Wciąż mi powtarzacie, jaki ze mnie głupek, jestem jednak wystarczająco mądry, by nie zarobić dożywotniego wyroku na tej skale i wystarczająco, by poczekać, aż pokażą się uzbrojone siły, zanim wyruszymy do walki z tym stworem.

- Racja. Słusznie. Siedź sobie tutaj na dupie. Fajnie.

Morse szarpnął głową.

- A co, jeśli to ja posiedzę sobie tutaj na dupie?

- Nie ma sprawy - zapewnił go Dillon. - Zapomniałem. Ty jesteś ten facet, który załatwił sobie z Bogiem, że będzie żył wiecznie. Reszta z was, cipy, też może to przeczekać. Ja i ona - wskazał na Ripley - załatwimy całą sprawę.

Morse zawahał się. Zauważył, że kilku innych spogląda na niego. Obliznął dolną wargę.

- Dobra. Jestem z wami. Chcę, żeby zginął. Nienawidzę tego kutasa. Pozabijał też moich przyjaciół. Dlaczego jednak nie możemy odczekać kilku godzin, żeby mieć po swojej stronie

pierdolonych techników Towarzystwa z karabinami? Dlaczego, do cholery, musimy

organizować pierdolony atak samobójczy?

- Dlatego, że oni go nie zabiją - poinformowała go Ripley. - Mogą zabić was, tylko z tego powodu, żeście go widzieli, jego jednak nie zabiją.

- To szaleństwo. - Aaron ponownie potrząsnął głową. - Zwykle pieprzenie. Nie zabiją nas.

- Tak myślisz? - uśmiechnęła się drapieźnie. - Gdy po raz pierwszy usłyszeli o tym stworze, można było poświęcić załogę. Za drugim razem wysłali garstkę żołnierzy piechoty morskiej. I ich można było poświęcić. Dlaczego sądzisz, że obchodzi ich banda facetów z podwójnym chromosomem Y, gdzieś na samym końcu przestrzeni? Czy naprawdę uważasz, że pozwolą wam się wtrącać w prowadzone przez Towarzystwo badania nad zaawansowaną bronią? Oni uważają was za śmieci. Wszystkich. Nic ich nie obchodzi żaden z waszych przyjaciół, którzy zginęli. Żaden.

Gdy skończyła, zapadła cisza. Potem ktoś z tyłu zapytał:

- Masz jakiś plan?

Dillon przyjrzał się swym kolegom, swym towarzyszom w piekle.

- To jest nie tylko kopalnia, ale i rafineria, prawda? Ten stwór boi się ognia, prawda?

Wszystko, co musimy zrobić, to zagonić pierdoloną bestię do wielkiej formierki i wylać na nią gorący metal.

Kopnął taboret, który przesunął się po podłodze.

- Wszyscy umrzecie. Pytanie tylko kiedy. To miejsce równie dobrze jak każde inne nadaje się do tego, by postawić w nim pierwszy krok ku niebu. To zależy od nas. Nie jest to wiele, ale to zależy od nas. Jedynym ważnym pytaniem w życiu jest, w jaki sposób wykorkujesz. No więc, czy chcecie to zrobić na kolanach, żebrząc o litość? Ja nie jestem za żebraniem. Nikt mi nigdy nic nie dał. No więc mówię, jebać to. Walczmy.



Mężczyźni popatrzeli na siebie nawzajem. Każdy z nich czekał, a ktoś inny przerwie ciszę, która nastąpiła. Gdy wreszcie się to stało, odpowiedzi, które padły, były szybkie i pewne.

- No. Dobra. Wchodzę w to.

- Dlaczego nie? Nie mamy nic do stracenia.

- No... dobra... racja... wchodzę.

Jeden z głosów zabrzmiał głośniejsze.

- Dajmy skurwysynowi kopa w dupę.

- Ktoś inny uśmiechnął się.

- Jak go przytrzymasz, to ja mu dam kopa.

- Pierdolę to - warknął na koniec Morse. - Chodźmy go załatwić.

Niemal cudem zdołali zapalić część świateł na korytarzach. Nie była to kwestia mocy, gdyż centralny reaktor termojądrowy produkował jej pod dostatkiem. Były jednak terminale, przełączniki i urządzenia sterujące, których od lat nie konserwowano w wilgotnym klimacie Fioriny. Niektóre korytarze i tunele doprowadzające były więc oświetlone, podczas gdy w innych nadal zalegała ciemność.

Ripley z namysłem dokonała przeglądu formiarni. Dillon i więzień Troy trzymali się blisko niej. Ten ostatni był najlepiej spośród ocalonych zorientowany w zagadnieniach technicznych, ponieważ miał za sobą krótką, udaną karierę inżyniera, która zakończyła się w chwili, gdy spotkał go ten pech, iż znalazł swoją żonę w łóżku ze swym przełożonym. Zamordował oboje, korzystając ze wszystkich umiejętności technicznych, jakie zdołał zebrać. Lekkie ataki przejściowego szaleństwa załatwiły mu bilet na Fiorinę.

Teraz zademonstrował, jak działają urządzenia sterujące i pokazał, które aparaty grają kluczową rolę w działaniu formiarni. Ripley obserwowała i słuchała z niepewnością.

- Kiedy ostatnio z tego korzystaliście ?

- Rozpaliliśmy je pięć czy sześć lat temu. Rutynowa kontrola konserwacyjna To był ostatni raz.

Wydęła wargi.

- Czy jesteś pewien, że tłok działa?

- Odpowiedzi udzielił jej Dillon.

- Nic nie jest pewne. W tym również ty.

- Mogę jedynie powiedzieć, że wskazania wszystkich mierników są pozytywne. - Troy wzruszył bezradnie ramionami. - To najlepsze, co mamy.

- Pamiętajcie - przypomniał im obojgu Dillon. Najpierw musimy go tu zamknąć. Potem naciśniemy wyzwalacz i uruchomimy tłok, a ten wepchnie skurwysyna prosto do formierki.

To jest wysoce nowoczesny zakład formowania na zimno. Koniec z jego dupą i koniec całej historii.

Ripley spojrzała na niego.

- A co, jeśli ktoś spieprzy sprawę?

- Będziemy mieli przesrane - poinformował ją spokojnie Dillon. - Mamy tylko jedną szansę. Jedna okazja, to wszystko. Nie będzie czasu na drugie podejście. Pamiętaj, że kiedy naciśniesz wyzwalacz, znajdziesz się przez kilka sekund w pułapce z tym pierdolonym stworem.

Skinęła głową.

- Dam sobie radę. Tylko wy niczego nie pochrzańcie. Bo ja na pewno nie.

Dillon przyjrzał się jej z bliska.

- Siostro, lepiej żebyś się nie pomyliła co do tego, że ten stwór ciebie nie chce. Dlatego, że jeśli będzie miał zamiar wyjść, to będzie to musiał zrobić właśnie tędy. Prosto przez ciebie.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- To by ci zaoszczędziło roboty, prawda?

Troy rzucił na nią przelotne spojrzenie, nie było jednak czasu na pytania.

- W którym miejscu będziesz? - zapytała wielkiego mężczyznę.

- W okolicy.

- A co z resztą? Gdzie oni są? - Modlą się.

Ocaleni rozproszyli się, torowali sobie drogę przez korytarze, walili głowami w ściany, by dodać sobie animuszu, przeklinali i pokrzykiwali. Nie dbali już o to, czy potwór ich usłyszy.

W gruncie rzeczy chcieli, żeby tak się stało.

Światło pochodni odbijało się od ścian korytarzy i tuneli przynosząc napiętym, lecz podekscytowanym twarzom nagłą ulgę. Więzień Gregor wyrzwał z niszy i natknął się na swego kolegę Williama głęboko pogrążonego w modlitwie.

- Hej, Willie? Wierzysz w to pieprzenie o niebie?

Drugi mężczyzna podniósł wzrok.

- Bo ja wiem.

- Ja też nie wiem.

- Pierdolę to. W co jeszcze mamy wierzyć? Trochę na to za późno, teraz gdy już tu siedzimy.

- No, czy to nie jest prawda? Więc, hej, co tam, kurwa. Mam rację? - roześmiał się serdecznie i obaj wsłuchali się w echa, które niosły się w drzwiach korytarza, wzmocnione i zniekształcone, za nimi i przed nimi.

Morse słyszał ich wszystkich: odległe echa nerwowego śmiechu i bliskiego hysterii przerażenia. Nacisnął przełącznik uaktywniający drzwi, które kazano mu nadzorować. Jęknęły... i zacięły się, częściowo otwarte. Przełknął nerwowo ślinę i wyskoczył ze szczeliny.

- Hej, wy? Zaczekajcie, zaczekajcie. Nie wiem, co się cholera, stało. Może powinniśmy ponownie to rozważyć. To jest, chciałem powiedzieć, że te pierdolone drzwi nie działają, jak trzeba. Hej, wy?

Z głębi korytarza nie nadeszła żadna odpowiedź.

Nieco dalej Gregor zwrócił się w stronę swego towarzysza.

- Co on, kurwa, mówi ?

- Cholera, nie wiem - odparł William ze wzruszeniem ramion

Więzien Kevin trzymał przed sobą długo palącą się flarę. Wymacywał sobie drogę wzdłuż ściany korytarza. Za nim szedł następny mężczyzna, a za nim jeszcze jeden i tak dalej, poprzez znaczący odcinek tunelu. W tej chwili jednak nie było widać żadnego z nich i nerwy Kevina były napięte jak postronki.

- Hej, słyszałeś coś? - mruknął do każdego, kto mógłby znaleźć się w zasięgu głosu. - Słyszałem Morse'a. Brzmiało to jakby...

Uciszył go krzyk. Rozległ się tak blisko, że był aż bolesny. Nogi gnały go naprzód, jak gdyby chwilowy paraliż umysłowy nie miał wpływu na dolną połowę ciała.

Przed nim obcy ćwiartował jego przyjaciela o imieniu Vincent, który nie miał już czym krzyżeć. Kevin wahał się tylko przez chwilę.

- Chodź tu i złap mnie, ty kutasie!

Potwór usłuchał go. Upuścił trzymany kawałek Vincenta i zaszarżował.

Kevin był w swoim czasie czymś w rodzaju sportowca. Te wspomnienia powróciły natychmiast, gdy pognał wzdłuż korytarza. Parę lat temu nie znał żadnego człowieka, którego nie potrafiłby prześcignąć. Teraz jednak nie ścigał się z człowiekiem. Nieludzkie monstrum zbliżało się szybko, nawet gdy przyspieszył do sprintu. Męczył się szybko. Im wolniej biegł, tym bardziej zbliżał się goniący go stwór z piekła rodem.

Niemal rzucił się na przełącznik. W tej samej chwili odwrócił się gwałtownie i grzmotnął plecami w ścianę korytarza. Jego klatka piersiowa poruszała się ciężko jak miech. Stalowe drzwi kontrolowane przez przełącznik zatrzęsły się.

Coś walnęło w nie zaledwie w sekundę później. Na ich środku pojawiło się wielkie wypuczenie. Pochylił lekko ciało i znalazł gdzieś tyle tchu, by wydyszeć głośno.

- Drzwi C9... zamknięte!

Na drugim końcu przebitego przed chwilą korytarza pokazał się więzień Jude. Tym razem nie miał w ręku szmaty. Zamiast niej wznosił wysoko własną flarę, oświetlając nią korytarz.

- Ju-hu. Hej, pierdolona gębo, chodź tu i złap mnie. Pokaż, co potrafisz.

Powstrzymany przez nieustępliwe drzwi obcy obrócił się wokół osi usłyszawszy nowy dźwięk, po czym pognął w jego kierunku. Jude zerwał się do ucieczki. Nie był tak szybki jak Kevin, ale miał większą przewagę na starcie. Obcy zbliżał się szybko. Po raz kolejny zadecydowały sekundy. Zamykające się drzwi odgrodziły go od ofiary.

Po drugiej stronie bariery Jude z trudem odzyskał oddech.

- Skrzydło wschodnie. Drzwi B7 bezpieczne.

W chwilę później przednia kończyna obcego przebiła się przez szklane okienko wprawione w stal. Jude odpełził z wrzaskiem wzdłuż ściany, oddalając się od atakujących zapamiętałe pazurów.

Dillon stał samotnie w korytarzu, który wybrał do patrolowania.

- Zaczęło się - mruknął do siebie.

- Jest w tunelu B - wrzeszczał Morse, biegnąc własnym przejściem. - Na pewno kieruje się do kanału A!

Na skrzyżowaniu William omal nie wpadł na Gregora w chwili, gdy obaj się spotkali.

- Słyszałem go - mruknął Gregor. - Kanał E, niech to cholera.

- Czy powiedziałeś B?

- Nie, E.

William zmarszczył brwi podczas biegu.

- Mieliśmy zostać...

- Ruszaj pierdolone dupsko! - Gregor, który nie był w nastroju odpowiednim do debaty o tym, jakie pozycje w stosunku do pozostałych powinni teoretycznie zająć, przyśpieszył bez słów. William w milczeniu podążył jego śladem.

W bocznym korytarzu Jude dołączył do Kevina. Wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Ty też?

- No! - Kevin usiłował zaczerpnąć tchu.

- Dobra. Teraz do E. Wszyscy.

Kevin skrzywił się, próbując sobie przypomnieć.

- Gdzie, kurwa, jest E?

Jego towarzysz zagestykułował niecierpliwie.

- Tędy. Ruszaj się, do kurwy nędzy.

David wciąż był sam. Przeciągająca się samotność nie cieszyła go. Według planu powinien się już z kimś połączyć. Znalazł jednak szczątki Vincenta. To sprawiło, że zwolnił, nie zatrzymało go jednak.

- Kevin? Gregor? Morse? Znalazłem Vincenta. - Odpowiedzi nie było. Nie przestawał się poruszać. Nie zamierzał się zatrzymywać z jakiegokolwiek czy czyjegokolwiek powodu. - Zamknijmy tego kutasa.

Odcinek tunelu położony bezpośrednio przed nim był ciemniejszy od tego, który właśnie

opuścił, przynajmniej jednak był pusty.

W głównym korytarzu Dillon spojrzał na Troya.

- Pomóż im.

Tamten skinął głową i skierował się do labiryntu korytarzy, dźwigając ze sobą mapę.

Więzień Eric stał tuż obok. Przenosił nieustannie wzrok z Dillona na Ripley. Zaczął obgryzać dolną wargę, a potem paznokcie.

Spojrzała na ekran monitorowy. Ukazywał on Gregora posuwającego się w jednym kierunku, a Morse'a w przeciwnym. Skrzywiła się.

- Gdzie on, kurwa, lezie? Dlaczego nie trzymają się planu?

- Ty jesteś odporna - przypomniał jej Dillon. - Oni nie.

- No, ale co oni, do diabła, wyrabiają?

Dillon skupił uwagę na przeciwległym końcu korytarza.

- Improvizują.

Oparła rękę na głównym wyłączniku tłoka. Eric gapił się na nią zlanym potem.

David szedł utykając przez zaciemniony korytarz. Trzymał flarę wysoko, usiłując przebić wzrokiem ciemność przed sobą.

- Tutaj, Kici, kici, kici. Tutaj... - Przerwał.

Obcy był wyraźnie widoczny na drugim końcu korytarza. Walił bez skutku w drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Jude.

Gdy obcy odwrócił się, David podniósł rękę.

- Tutaj, koteczku. Czas na zabawę!

Uniósł syczącą flarę. Obcy gnał już w jego stronę, zanim flara uderzyła o podłogę.

David odwrócił się i popędził ze wszystkich sił w tę stronę, z której przyszedł. Odległość do następnej bariery była stosunkowo niewielka i był pewien, że zdąży. Faktycznie dotarł za

drzwi ze sporym zapasem czasu. Jego ręka opadła z pełną siłą na zamykający je przycisk.

Drzwi osunęły się w dół... nie do końca... stanęły.

Wybałuszyl oczy, wydał z siebie cichy, miauczający odgłos i zatoczył się do tyłu, robiąc chwiejny krok za krokiem.

Wpatrywał się w drzwi, które wciąż opuszczały się w nierównych szarpnięciach. Zadrzał, gdy obcy wyrznął w nie z pełną prędkością. Metal wygiął się, lecz nie przestał się opuszczać w nierównym, szarpiącym tempie.

Łapa obcego przebiła się przez szparę i próbowała chwycić Davida za nogę. Ten odskoczył z wrzaskiem do wnęki w ścianie korytarza. Łapa wciąż miotła się wokół, usiłując go dosięgnąć, podczas gdy drzwi szarpały się w dół... w dół. W ostatniej chwili kończyła wycofała się.

W korytarzu zapadła cisza.

Dopiero po dłuższej chwili zdołał wydobyć z siebie głos, niewiele różniący się od skowytu pełnego przerażenia. - Drzwi 3, kanał F. Zamknięte... mam nadzieję.

Morse nie usłyszał go. Nadal laził na oślep wzdłuż własnego korytarza.

- Kevin? Gregor? Gdzie kurwa jesteście? Gdzie są wszyscy? K, L, M, wszystkie zamknięte i zabezpieczone. Spojrzał na tablicę umieszczoną na ścianie. - Jestem z powrotem w A.

W bocznym korytarzu Gregor w podobny sposób sprawdzał tablice.

- Kanał V bezpieczny. Kanał P trzyma.

Idący za nim William usiłował dotrzymać mu kroku.

- Powiedziałeś P czy D? - krzyknął. - Do kurwy nędzy...

Gregor odwrócił się, lecz nie zatrzymał.

- Zamknij się, kurwa mać! Naprzód!



Niepewny, gdzie się znajduje, Kevin odkrył, że wrócił w miejsce, z którego wyruszył.

- Cholera, jestem w R. Tu jest bezpiecznie. Jest bezpiecznie, prawda?

Jude usłyszał go. Podniósł głos tak, by towarzysz mógł go usłyszeć.

- Zapomniałeś, facet. R prowadzi z powrotem do F. Ja teraz idę przez F. Zaraz go zamknę. Zdezorientowany Troy zatrzymał się na skrzyżowaniu.

Posuwał się naprzód zbyt szybko. Nie zważał na mapę, ufając pamięci. Teraz spoglądał niepewnie na liczne tunele.

- Kanał F? Gdzie, kurwa... Nie ma żadnego pieprzonego kanału F.

Ruszył naprzód, lecz zawahał się i skręcił w najbliższy korytarz po prawej stronie.

Ale ten był już zajęty przez pewnego sfrustrowanego lokatora.

Dillon i Ripley usłyszeli odległe krzyki. Jak zwykle nie trwały one długo.

- Morse? - zawołał Dillon. - Kevin, Gregor?

Ripley usiłowała wypatrzeć coś poza nim.

- Co się tam dzieje?

Wielki mężczyzna spojrział na nią z napięciem.

- Nie muszą robić nic więcej jak tylko biegać po tych cholernych korytarzach.

Dźwignął toporek i ruszył naprzód.

- Zostań tutaj.

Boczny korytarz, z którego, jak się spodziewali, miał się wynurzyć ich gość, pozostawał pusty. Nie było w nim obcego. Ani ludzi. Jedynie odległe, niosące się echem głosy. W niektórych pobrzmiwała wyraźna nuta paniki.

Ukryty za jego plecami Eric wypowiedział na głos swe myśli.

- Gdzie on, do diabła, jest?

Dillon spojrział tylko na niego.

Zebrawszy się na odwagę David podszedł z powrotem do drzwi i wyjrzał przez okienko.

Korytarz za nim był pusty. Podniósł głos.

- Zgubiłem go. Nie wiem, gdzie ten pierdolony stwór się podział. Nie otworzę drzwi.

Wyszedł chyba w górę przez otwór tego kurewskiego tunelu odpowietrzającego. - Odwrócił się powoli, by obejrzyć jedyny taki otwór w tunelu ponad nim.

Miał rację.

Ripley odczekała, aż umilkną echa. Eric posuwał się naprzód. Wyraz jego oczu zwiastował nadchodzące załamanie. Jeśli ktoś czegoś nie zrobi, straci panowanie nad sobą i rzuci się do ucieczki. Uciekać nie mieli dokąd. Podeszła do niego i spojrzała mu w oczy. Usiłowała uspokoić go wzrokiem i przekazać mu w ten sposób trochę własnej pewności siebie.

Dillon zniknął w bocznym korytarzu. Odszukanie szczątków Troya nie zajęło mu wiele czasu. Rozejrzawszy się szybko, wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Morse i Jude spotkali się wreszcie. Biegli razem obok siebie... aż Jude pośliznął się i upadł ciężko na ziemię. Pogrzebał palcami w ciepłej, lepkiej masie, o którą się przewrócił.

- Niech to kurwa mać... no.

Gdy Jude podniósł to coś ku flarze, by przyjrzeć się lepiej, Morse wzdrygnął się przerażony. Potem Jude obejrzał dokładniej to, co podniósł, i obaj wrzasnęli jednocześnie.

Ripley nasłuchiwała z uwagą. Na chwilę zapomniała o Ericu. Krzyki teraz były blisko.

Dobiegały do niej bezpośrednio, nie jako echo. Nagle więzień odwrócił się i pognął w stronę wyłącznika tłoka. Pobiegnęła za nim...

W tej samej chwili pojawił się obcy pędząc korytarzem. Palce Erica zacisnęły się konwulsyjnie na wyłączniku.

W ostatniej chwili zdążyła złapać go za rękę.

- Zaczekaj! Nie jest jeszcze ustawiony! - Wysiłkiem woli zdołała powstrzymać go od zwolnienia tłoka.

To było wszystko, czego potrzebowała. Pokonany zarówno psychicznie, jak i fizycznie, opadł do tyłu, wyczerpany i drżący.

Kevin posuwał się powoli korytarzem. Zbliżał się już do niszy tłoka, która była miejscem równie bezpiecznym jak każde inne. Zrobił wszystko, czego od niego wymagano. Nie mogli żądać od niego więcej, nie w tej chwili.

Wiedziony nie uświadomionym impulsem spojrział ku górze. Obcy, usadowiony w wywietrzniku ponad nim, nie zadał sobie nawet trudu, by opaść na ziemię. Wyciągnął tylko w dół łapę i złapał go tak łatwo, jakby chwycił żabę. Trysnęła krew.

W przeciwnym końcu korytarza pojawił się Dillon. Zauważywszy miotające się w powietrzu nogi Kevina pognał naprzód i objął ramionami szarpiące się kolana. Obcy nie był przygotowany na coś takiego i obaj mężczyźni padli na podłogę.

Ripley ujrzała, jak Dillon wlecze ранego więźnia w stronę głównego korytarza.

Obrzuciwszy spojrzeniem bezużytecznego Erica, pognęła mu na pomoc.

Z szyi ранego tryskała krew. Zerwała kurtkę i owinęła ją jak najciaśniej wokół szyi.

Upływ krwi stał się wolniejszy, lecz nie w dostatecznym stopniu. Dillon objął mężczyznę szepcząc:

- Nie śmierć, tylko...

Nie było czasu, by skończyć modlitwę. Z bocznego korytarza wychynął obcy. Ripley podniosła się i zaczęła cofać.

- Zostaw ciało. Ściągnij go tutaj.

Dillon skinął głową i dołączył do niej. Razem wycofywali się w kierunku niszy kontrolnej.

Obcy obserwował ich. Poruszali się powoli. Nie mieli gdzie się skryć. W uszkodzonej postaci leżącej na podłodze tliło się jeszcze życie. Obcy skoczył naprzód, by dokończyć dzieła.

Ripley odwróciła się i wykonała w stronę Erica gest oznaczający cięcie. Tamten wypadł ze swej kryjówki i złapał ręką za przełącznik.

Tłok wystrzelił naprzód. Zmiotł zarówno ciało Kevina, jak i obcego i przepchnął ich obu w stronę szczeliny prowadzącej do pieca. Korytarz wypełnił żar i wycie powietrza.

Obcy jednak zniknął.

Zlana potem Ripley postąpiła krok naprzód. - Gdzie on, do diabła, się podział?

- Cholera! - Dillon usiłował zajrzeć za maszynerię. - Musiał się schować za tym kurewskim tłokiem.

- Za nim? - Wbiła w niego wzrok.

- Zamknąć drzwi! - ryknął. - Musimy go cofnąć na miejsce.

Wymienili spojrzenia, po czym pognali w przeciwnych kierunkach.

- Jude, Morse! - Dillon biegł ciężko wzdłuż korytarza, który wybrał, szukając ocalonych.

Ripley tymczasem ruszyła na poszukiwanie Erica i Williama. Znalazła ich, a jakże. Byli całkiem pomieszani ze sobą i już się nie martwili. O nic. Ruszyła dalej.

Morse nie biegł już, lecz się skradał. Nagle usłyszał hałas. Zatrzymał się, by sprawdzić boczny korytarz, z którego dobiegał. Odetchnął, niczego nie zobaczywszy. Zaczął się cofać tą samą drogą, którą przyszedł, z oczyma skierowanymi przed siebie.

Aż wreszcie wpadł na coś miękkiego i żywego.

- Co kur...

To był Jude. Drugi mężczyzna, równie zaskoczony, obrócił się nagle i wystawił nożyce, które trzymał jak broń. Morse, poczuwszy jednocześnie ulgę i wściekłość, złapał za bliźniacze

ostrza i skierował je ku górze.

- Nie tak. Tak, kretynie.

Trzepnął drugiego mężczyznę w bok głowy. Jude mrugnął, skinął głową i ruszył w przeciwnym kierunku.

Dillon wrócił do głównego korytarza.

- Jude! Jude! - wrzeszczał.

Ten usłyszał go i zawahał się.

Obcy był tuż za nim.

Jude pędził jak diabli w stronę Dillona, który go poganiał.

- Nie oglądaj się. Gnaj, kurwa, jak najszybciej!

Jude biegł. Walczył, walczył o własne życie. Nie był jednak Kevinem czy Gregorem.

Obcy dorwał go. Krew chlusnęła na drzwi, które Dillon zatrzaskał w desperacji.

W następnym korytarzu Ripley usłyszała to i warknęła do siebie. Czas upływał niestrudzenie, podczas gdy tłok kontynuował swą nieubłaganą i w tej chwili bezużyteczną wędrówkę ku przodowi.

Gregor krzyknął wzywając pomocy, nie było jednak w pobliżu nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Biegł na oślep przez korytarz, odbijając się od ścian na zakrętach jak kula bilardowa aż wreszcie wpadł na Morse'a, który gnał ze wszystkich sił w przeciwną stronę.

Podenerwowani, potem na wpół roześmiani, podnieśli się na nogi, spoglądając z ulgą na siebie nawzajem.

Dopóki obcy nie śmignął obok i nie wpadł na Gregora, rozdzierając go na strzępy w trakcie śmiechu.

Morse, z twarzą i tułowiem zboczonymi krwią i miazgą, usiłował odpelznąć, błagając z wrzaskiem o litość coś, co ani nie rozumiało jego rozpacz, ani nie było nią zainteresowane.

Mógł tylko gapić się, jak systematycznie patroszy zwłoki Gregora. Potem odpełznął jak szalony.

Wpadł na coś, co nie chciało ustąpić. Głowa mu podskoczyła. Stopy. Podniósł wzrok ku górze. Stopy Ripley.

Rzuciła flarą w obcego, który spróbował uskoczyć do kanału odpowietrzającego. Płonący stop magnezu zmusił go do upuszczenia zmasakrowanego ciała Gregora.

- Chodź tu, sukinsynie!

Morse patrzył zafascynowany, jak obcy, zamiast ruszyć naprzód i pozbawić Ripley głowy, skulił się, oparty o przeciwległą ścianę. Posuwała się naprzód, nie zważając na jego płaszczenie się i spluwanie.

- Chodź tu. Mam to, czego chcesz. Chodź za mną. Chcę ci coś pokazać. No chodź, do cholery!

Obcy śmignął ogonem i uderzył nim Ripley. Nie tak mocno, żeby zabić, lecz tylko by odepchnąć.

W tej samej chwili w drzwiach pojawił się Dillon. Wbił w nią wzrok. Odwróciła się błyskawicznie w jego stronę.

- Wracaj! Nie wchodź mi w drogę!

Obcy ponownie przybrał atakującą postawę i zwrócił się w stronę nowo przybyłego.

Ripley rozpaczliwie wsunęła się pomiędzy niego a Dillona, który zdał sobie nagle sprawę nie tylko z tego, co się dzieje, lecz również z tego, co kobieta próbuje zrobić.

Podszedł do niej od tyłu, złapał i przywarł do niej mocno. Obcy dostał szału, lecz zachował dystans, podczas gdy dwoje ludzi, Ripley spoczywająca w ciasnym uścisku Dillona, wycofywało się.

Podążył za nimi do głównego korytarza, trzymając się w stałej odległości. Czekał. Dillon

rzucił spojrzenie w kierunku oczekującej formierki i zawołał:

- Tutaj, głupku!

Obcy zawahał się, po czym skoczył na sufit i pognał ponad drzwiami.

- Zamknij je! - zawołała zapamiętała Ripley. - Teraz!

Dillonowi nie było trzeba tego mówić. Uruchomił drzwi znajdujące się przed nią.

Zatrzasnęły się i uwięziły ich w głównym korytarzu wraz ze stworzeniem.

Z tyłu pojawił się Morse, który zobaczył, co się dzieje.

- Wyłaźcie! Wyłaźcie stąd, kurwa!

- Zamknij drzwi! - odkrzyknęła Ripley.

Morse zawahał się.

W tej samej chwili obcy zwrócił się w jego stronę.

- Teraz!

Morse rzucił się gwałtownie do przodu i nacisnął przełącznik. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i odcięły całą trójkę od miejsca, w którym się znajdował. W chwilę później ponownie pojawił się tłok kontynuujący swe oczyszczające przejście i zasłonił ich przed nim.

Morse odwrócił się i pobiegł w stronę, z której przyszedł.

W głównym korytarzu tłok runął na obcego i obalił go do tyłu. Zapomniał on teraz o dwojgu ludziach i odwrócił się, usiłując przecisnąć kończynę przez ciężką barierę. Nie było tam w ogóle miejsca. Tłok spychał go nieustannie w stronę formierki.

Dillon i Ripley już tam tkwili. To był koniec drogi. Nie mieli już dokąd uciekać.

Morse wdrapał się po drabinie prowadzącej do kabiny dźwigu. Zastanawiał się, czy pamięta, jak się go uruchamia. Będzie musiał sobie przypomnieć. Nie miał czasu na sprawdzenie instrukcji i nie pozostał już nikt, kogo mógłby zapytać.

Masywny lądownik wzgardził kiepsko utrzymanym portem kosmicznym kopalni.

Wylądował po prostu na piasku poza nim. Ziemia i skały wzbiły się w powietrze pod uderzeniem strumienia gazów z dysz jego silników manewrujących. W parę chwil później ciężko uzbrojeni mężczyźni i kobiety popędzili w stronę głównego wejścia.

Aaron obserwował z wnętrza śluzy, jak schodzą na ląd. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Mieli logiczne karabiny maszynowe, pociski przeciwpancerne i sterowane podczerwienią oraz szybkostrzelne ręczne karabiny maszynowe. Wiedzieli, na co się natkną i przybyli przygotowani. Poprawił mundur najlepiej, jak tylko mógł i przygotował się do otwarcia śluzy.

- Wiedziałem, że zdążą. - Podniósł głos. - Hej, tutaj! Tędy! - Zaczął uruchamiać mechanizm.

Nie miał okazji tego zrobić. Drzwi eksplodowały do wewnątrz. Sześciu komandosów i dwóch oficerów medycznych wpadło do środka, zanim kurz zdążył opaść. Komandosi, w sposób całkowicie profesjonalny, rozmieścili się tak, by ubezpieczyć całą powierzchnię śluzy.

Aaron ruszył naprzód. Pomyślał, że kapitan stojący pośrodku grupy jest doskonałym sobowtórem martwego androida, który przybył na statku ratunkowym porucznik Ripley.

- Melduję się, sir - oznajmił, gdy zatrzymał się przed oficerem i zaszalutował dziarsko. - Strażnik Aaron 137512.

Kapitan zignorował go.

- Gdzie porucznik Ripley? Czy jeszcze żyje ?

Lekko urażony tą obojętnością, lecz nadal skory do pomocy, Aaron odparł szybko:

- Tak jest, sir. Jeśli żyje, jest w formierni. Wszyscy są w hucie ołowiu razem z bestią, sir.

Absolutne szaleństwo. Nie chcieli czekać. Próbowałem im powiedzieć...

Oficer przerwał mu nagle.

- Widział pan tę bestię?



- Tak jest, sir. Potworna. Niewiarygodna. Porucznik Ripley ma taką w brzuchu.

- Wiemy o tym. - Skinął pośpiesznie głową w stronę komandosów. - Przejmujemy

kierownictwo. Proszę nam pokazać, gdzie pan ją widział po raz ostatni.

Aaron skinął głową i ochoczo poprowadził ich w głąb kompleksu.

Ripley i Dillon nie przestawali się cofać w głąb formierki aż do chwili, gdy za ich plecami znalazł się ceramiczny stop i nie było już za nimi nawet skrawka miejsca, w którym mogliby stanąć. Tarcie przekładni przykuło jej uwagę. W górze dostrzegła poruszającą się maszynę.

Rafineria zareagowała w nieubłagany sposób na zaprogramowaną sekwencję.

- Wspinaj się - powiedziała swemu towarzyszowi. To nasza jedyna szansa!

- A co z tobą? - zapytał Dillon, gdy obcy dostał się do tylnej części formierki, wepchnięty tam przez masywny tłok.

- On mnie nie zabije.

- Nie pieprz! Tu będzie dziesięć ton gorącego metalu.

- Świetnie! Wciąż ci powtarzam, że chcę umrzeć.

- Tak, ale ja nie...

Wkrótce obcy miał się znaleźć tuż za nimi.

- Teraz masz szansę - krzyknęła Ripley. - Ruszaj!

Zawahał się, po czym chwycił ją.

- Zabieram cię ze sobą. - Popchnął ją przemocą ku górze.

Wspinał się pomimo jej oporu. Ujrzawszy, że bez niej nie pójdzie, podążyła z niechęcią za jego przykładem i ruszyła przed nim w górę po ścianie formierki. Obcy odwrócił się od tłoka, zauważył ich i ruszył za nimi.

Na szczycie formierki Ripley usadowiła się bezpiecznie na jej krawędzi i sięgnęła ręką w dół, by pomóc Dillonowi. Wewnętrzne szczęki ścigającego go obcego wystrzeliły na

zewnątrz. Dillon wierzgnął nogą w dół i ciął toporkiem.

Ripley podjęła dalszą wspinaczkę, podczas gdy Dillon odpierał ataki. Dodatkowy hałas przyciągnął jej uwagę ku suwnicy bramowej, która zaczęła nagle funkcjonować. Dostrzegła w środku Morse'a, który przeklinał i walił pięścią w tablicę rozdzielczą.

Na wierzchołku platformy obserwacyjnej pojawiła się grupka żołnierzy Towarzystwa. Ich dowódca ogarnął jednym spojrzeniem wszystko, co działo się na dole. Morse dostrzegł, że krzyczą coś do niego, lecz zignorował ich, pracując jak oszalały nad urządzeniami sterującymi.

Płynny już teraz stop zakipiał w chwili, gdy pojemnik przechylił się.

- Nie rób tego! - zawołał kapitan nowo przybyłych. - Nie!

Obcy był już teraz bardzo blisko, lecz nie wystarczająco blisko. Nie całkiem. Rozżarzony do białości płynny metal spłynął w dół obok Ripley i Dillona. Intensywne gorąco bijące od strumienia zmusiło ich oboje do osłonięcia twarzy dłońmi. Metalowa kaskada uderzyła obcego, który runął z piskiem z powrotem do formierki. Gdy go zmiotła, płomienie wystrzeliły we wszystkich kierunkach .

Wysoko nad nimi Morse podniósł się i spojrzał w dół przez okienko dźwigu. Jego twarz upodobniła się do wyrażającej satysfakcję maski.

- Nażryj się, ty nędzny kutasie!

Dillon dołączył do Ripley na krawędzi formierki. Oboje wpatrywali się w dół, zasłaniając twarze przed gorącym buchającym z jeziora kipiącego metalu. Nagle jej uwagę przyciągnęło poruszenie po drugiej stronie hali.

- Są tutaj! - chwyciła z rozpaczą swego towarzysza. - Dotrzymaj obietnicy!

Dillon wbił w nią wzrok.

- Naprawdę tego chcesz'?

- Tak. Mam go w brzuchu! Przestań się opierdalać!

Niepewnie objął rękoma jej gardło.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Zrób to!

Zacisnął palce. Lekki nacisk, szarpnięcie i skręciłby jej kark. To było wszystko. Chwila wysiłku, wyężenia. Nie chodziło o to, że nie wiedział, jak to zrobić, że nie robił tego już kiedyś, dawno temu.

- Nie mogę! - Odmowa wydarła się z jego gardła, na wpół krzyk, na wpół krakanie. - Nie mogę tego zrobić! - Spojrzał na nią niemal z błaganiem.

Wyraz jego twarzy przeszedł w przerażenie, gdy odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z płonącym i dymiącym obcym. Pozbawiony nadziei pozwolił wciągnąć się w jego objęcia.

Obaj zniknęli pod zmaconą powierzchnią stopionego metalu. Ripley spoglądała na to zdumiona, z obrzydzeniem i fascynacją zarazem. W chwilę później ponownie pojawiła się zakrzywiona czaszka obcego. Ociekając płynnym metalem zaczął z wysiłkiem wydobywać się z formierki.

Rozejrzała się wokół szaleńczo. Dostrzegła łańcuch awaryjny. Był stary i skorodowany i to samo mogło dotyczyć urządzeń sterujących, które uruchamiał. Nie miało to jednak znaczenia. Nie pozostało jej nic innego. Szarpnęła gwałtownie.

Woda trysnęła z wielkiej wieży gaśniczej zawieszanej ponad krawędzią formierki. Ripley zaplątała się w łańcuch. Nie mogła się uwolnić. Przemoczył ją strumień wody, pod wpływem którego zakręciła się, zataczając ciasne spirale. Łańcuch nie chciał jednak puścić.

Zimna woda uderzyła w obcego i w jego płaszcz z gorącego metalu. Głowa eksplodowała jako pierwsza, za nią reszta ciała, a na końcu formierka, z której posypały się kawałki przechłodzonego metalu oraz buchnęła para. Morse'a rzuciło na podłogę kabiny dźwigu, który

zakołysał się na swych podporach. Oddział komandosów padł odruchowo na ziemię w poszukiwaniu schronienia.

Ciepła woda i szybko stygnący metal opadły na formierkę niczym deszcz.

Gdy potop się skończył, ekipa komandosów ponownie zaczęła się zbliżać. Nie wcześniej jednak niż kołysząca się na łańcuchu Ripley zdołała się wdrapać na platformę dźwigu. Morse wyciągnął rękę, by jej pomóc.

Gdy już tam się znalazła, oparła się o barierę ochronną i spojrzała w dół do wnętrza pieca. Znowu nadszedł czas na wymioty. Ataki nudności i bólu pojawiały się ostatnio coraz częściej. Dostrzegła ludzi Towarzystwa idących w górę po schodach w kierunku dźwigu. Aaron szedł na czele. Próbowwała uciec, nie miała już jednak dokąd pójść.

- Nie zbliżajcie się! - krzyknęła. - Zostańcie na miejscu.

Aaron zatrzymał się.

- Zaczekaj. Oni chcą ci pomóc.

Spojrzała na niego. Czowała litość do biednego prostaczka. Nie miał pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra i co by się zapewne z nim stało, gdyby Towarzystwo wreszcie zdobyło to, czego pragnęło. Tylko że do tego nie dojdzie.

Ogarnęła ją kolejna fala mdłości. Zachwiała się oparta o poręcz. Gdy się wyprostowała, zza pleców uzbrojonych komandosów wyłoniła się jakaś postać. Wbiła w nią wzrok, niepewna z początku, co widzi. To była twarz, którą знаła.

- Bishop? - usłyszała własne niepewne mamrotanie. Zatrzymał się. Pozostali stali tuż za nim, czekając na rozkazy. Postać nakazała im gestem spokój, po czym zwróciła się w jej stronę z uspokajającym uśmiechem.

- Chcę tylko pani pomóc. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

- Dość tego pieprzenia! - warknęła. Była tak słaba, że potrzebowała wysiłku, by jej okrzyk

zabrzmiał przekonywająco. - Właśnie poczułam, jak ten cholerny stwór się poruszył.

Wszyscy obecni obserwowali, jak zbliża się do krawędzi platformy suwnicy. Coś

uderzyło ją w płuca. Zadrżała, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z postaci przed nią.

To był Bishop. Nie, nie Bishop, lecz jego doskonały duplikat. Całkowicie panujący nad sobą, bezbłędny aż do porów na skórze podbródka sobowtór żałośnie rozczłonkowanego i

cybernetycznie zmarłego Bishopa. Bishop II, powiedziała sobie w odrętwieniu. Bishop, czyli

goniec. Goniec ponownie wprowadzony do gry. Goniec do pionka cztery. Goniec bije

królową.

Nie, dopóki ta pani żyje, pomyślała z determinacją.

- Wie pani, kim jestem - powiedziała postać.

- Aha. Androidem. Tego samego typu co Bishop. Przysłało cię pierdolone Towarzystwo.

- Nie jestem androidem typu Bishop. Ja go zaprojektowałem. Dlatego też, naturalnie,

ukształtowałem jego twarz na podobieństwo własnej. Jestem w pełni człowiekiem. Przysłano

mnie tu, by pokazać pani przyjazną twarz i zademonstrować, jak ważna jest pani dla nas. Dla

mnie. Brałem udział w tym projekcie od samego początku. Znaczący dla mnie bardzo dużo,

porucznik Ripley. Dla bardzo wielu ludzi. Proszę, niech pani zejdzie. Chcę tylko pani pomóc.

Mamy tu wszystko, czego do tego potrzeba, Ripley. - Spojrzał na nią z troską. Rozpoznała

teraz stroje, które miało na sobie dwóch towarzyszy Bishopa II. To byli technicy biomedycyjni.

Pomyślała o Clemensie.

- Pierdołę was. Wiem wszystko o "przyjaznych" twarzach Towarzystwa. Ostatnia, którą

widziałam, należała do chuja nazwiskiem Burke.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny.

- Okazało się, że wybór pana Burke'a na członka naszej poprzedniej misji okazał się

tragicznym błędem. Był to osobnik zainteresowany raczej własnym wywyższeniem niż

realizacją polityki Towarzystwa. Zapewniam panią, że nie powtórzymy już tego błędu.

Dlatego właśnie jestem tu ja zamiast jakiegoś niedoświadczonego, nadmiernie ambitnego pracownika o niższej randze.

- A pan, rzecz jasna, nie ma żadnych osobistych ambicji.

- Chcę tylko pani pomóc.

- Jest pan kłamcą - powiedziała cicho. - Gówno pana obchodzi ja czy ktokolwiek inny.

Chce pan po prostu zabrać go ze sobą. Te stwory mają kwas zamiast krwi, podczas gdy wy, faceci z Towarzystwa, macie zamiast niej pieniądze. Nie widzę szczególnej różnicy.

Bishop II wpatrywał się przez chwilę w podłogę, zanim ponownie podniósł wzrok ku samotnej postaci stojącej na szczycie platformy dźwigu.

- Ma pani mnóstwo powodów do ostrożności, lecz, niestety, niewiele czasu. Chcemy tylko zabrać panią do domu. Nie obchodzi nas już, co się stanie z tym stworem. Wiemy, przez co pani przeszła. Okazała pani wielką odwagę.

- Pieprzysz!

- Myli się pani. Chcemy pani pomóc.

- A co to oznacza?

- Chcemy go wyjąć z pani brzucha.

- I zatrzymać sobie?

Bishop II potrząsnął głową.

- Nie. Zniszczyć go.

Stała, chwiejąc się na nogach. Chciała mu uwierzyć.

Wyczuwając jej wahanie, ciągnął pośpiesznie.

- Ripley, jest pani zmęczona. Wyczerpana. Proszę dać sobie chwilę czasu. Zatrzymać się i zastanowić. Leży mi na sercu wyłącznie pani dobro. Statek, którym przyleciałem, *Patna*, jest

wyposażony w najnowocześniejszą salę operacyjną. Możemy usunąć płód, larwę, czy jak zechce pani to nazwać. Nie nadaliśmy jeszcze nazw poszczególnym stadiom rozwoju.

Operacja się uda! Czeka panią długie, satysfakcjonujące życie.

Spojrzała w dół na niego, spokojna teraz i zrezygnowana.

- Dziękuję, miałam już życie. Takie, o które nie musiałam nikogo prosić ani przed nikim za nie odpowiadać.

Błagalnym gestem podniósł rękę w górę.

- Nie myśli pani jasno, Ripley! Przyznaję, że popełniliśmy błędy. Brak nam było wiedzy.

Możemy to jednak pani wynagrodzić. Wszystkie utracone możliwości, cały ten czas. Może pani jeszcze mieć dzieci. Wykupimy pani kontrakt. Otrzyma pani wszystko, na co pani zasłużyła. Jesteśmy to pani dlužni.

Zawahała się.

- Nie zabierzecie go ze sobą?

- Nie. Zdajemy już sobie sprawę, z czym mamy do czynienia. Od początku miała pani rację. Ale czas ucieka. Proszę nam pozwolić na załatwienie tej sprawy. Sala operacyjna na statku jest przygotowana.

Biotechnik stojący tuż za nim wystąpił naprzód.

- To będzie bardzo szybkie. Bezbolesne. Parę nacięć. Będzie pani nieprzytomna przez dwie godziny, to wszystko. Potem stanie pani na nogi jak nowa. Z powrotem cała.

- Jaką mam gwarancję, że zniszczycie tego stwora, kiedy już go ze mnie wyjmiecie?

Bishop II postąpił kolejny krok naprzód. Teraz był już całkiem blisko. Spoglądał na nią.

- Musi mi pani po prostu zaufać. - Wyciągnął rękę w przyjacielskim geście. - Niech mi pani zaufa. Proszę. Chcemy tylko pomóc.

Zastanawiała się, wykorzystując czas, który jej pozostał.

Ujrzała obserwujących ją Aarona i Morse'a. Przeniosła wzrok z powrotem na Bishopa II.

Zatrzasnęła drzwi pomiędzy nimi.

- Nie...

Skinęła głową do Morse'a, który nacisnął przycisk na pulpicie operatora, wprawiając dźwig w ruch. Odtoczył się z dudnieniem od schodów w stronę pieca. W tej samej chwili Bishop II rzucił się w stronę Ripley, usiłując ją złapać. Wyrwała się i utykając uciekła od niego. Komandosi zareagowali i Morse oberwał kulą w bark, po czym padł na podłogę za pulpitem operatora.

Aaron podniósł kawałek złamanej rury.

- Ty pierdolony androidzie! - mruknął.

Rura wylądowała na głowie Bishopa II.

Odgłos był głuchy. Cios zatrzęsł mężczyznę, który zachwiał się na nogach. W tej samej chwili jego żołnierze zastrzelili p.o. naczelnika. Z rozbitej czaszki Bishopa II popłynęła prawdziwa krew.

- Nie... jestem... androidem - wymamrotała zaskoczona krwawiąca postać osuwając się na podłogę.

Ripley złapała się za klatkę piersiową.

- Rusza się.

Ludzie Towarzystwa pognali do leżącego Bishopa II. Ten przekręcił się na bok, by ją obserwować.

- Jest pani nam to dłużna. Jest to pani dłużna samej sobie.

Błogi uśmiech przemknął przez jej twarz.

Potem niemal warknęła:

- Nic z tego!



Platforma dźwigu znajdowała się teraz bezpośrednio nad kotłem. Poczowała uderzenie w żołądek. Zachwiała się na nogach. Spokojna, całkowicie opanowana, podeszła do krawędzi. Pod jej stopami kipiało jezioro roztopionego metalu, wyobrażenie piekła, wywołujące pęcherze na jej skórze, z którego wzbijały się w górę przywołujące ją wici gorąca.

- Jest za późno!

- Nie jest! - błagał ją Bishop II.

Chwiejąc się na nogach, złapała się obiema rękami za pierś ponad falą wznoszącego się gorąca.

- Żegnajcie.

- Niecee! - zawył Bishop II.

Zeszła z platformy i po chwili zniknęła w kipieli na dole.

Morse wyprostował się chwiejnie na czas, by zobaczyć, jak spada. Złapawszy się za ranne ramię obserwował ją szepcząc: "Ci, którzy umarli, nie umarli. Odeszli. Odeszli wyżej."

Biotechnicy, którym nie pozostało nic innego do roboty, zabandażowali Morse'a.

Pozostali ludzie Towarzystwa, milczący, nie rozmawiający nawet pomiędzy sobą, przystąpili metodycznie do zamykania pieca, rafinerii oraz całej reszty Ośrodka Pracy Poprawczej Weyland - Yutani Fury 361.

W przestrzeni sygnały nie zanikają. Duchy transmisji radiowych unoszą się bez końca - echa słów dawnych i istnień, które odeszły. Od czasu do czasu wykrywa się je, odbiera, zapisuje. Czasami oznaczają one coś dla tych, którzy je słyszą, częściej zaś nic. Czasami są długie, innym razem krótkie. Jak na przykład...

- Mówi Ripley, ostatni żyjący członek załogi *Nostramo*. Koniec zapisu.

KONIEC